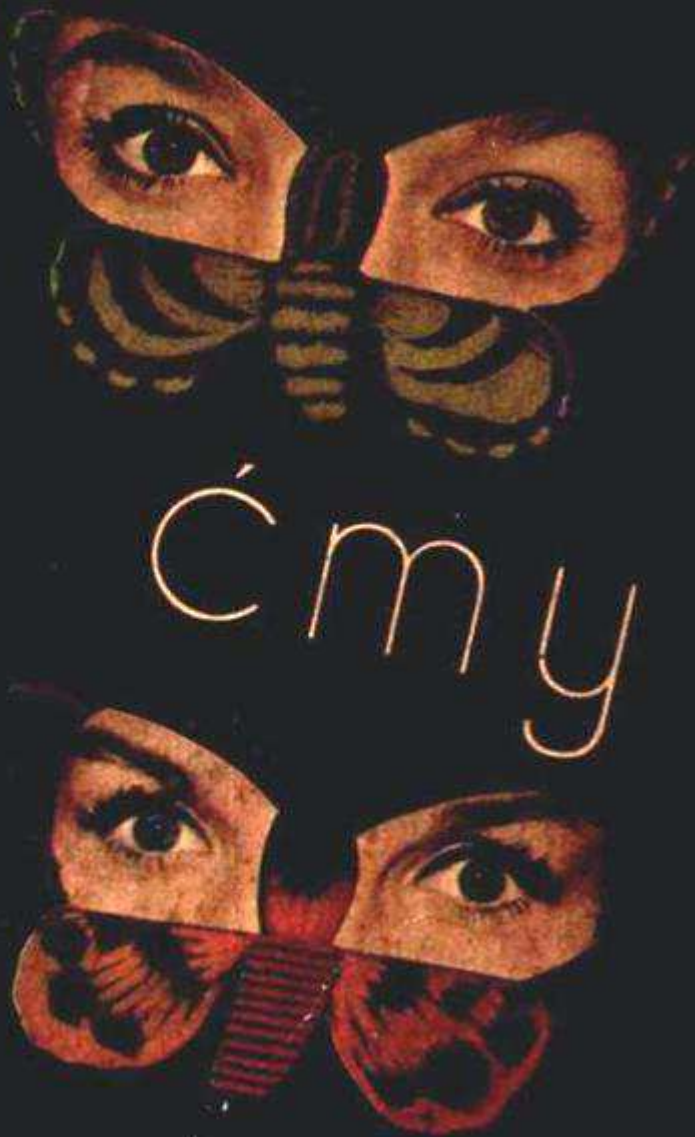


Barbara Gordon



MINY

Čm y





...Może zdziwi panią zawartość tejteczki. Stosunkowo niewiele znajdzie w niej pani oficjalnych dokumentów, protokołów, raportów i ekspertyz. Wypadek zdarzył się kilka lat temu. Po to, żeby wykryć mordercę, musiałem sięgnąć po zupełnie inne środki aniżeli mikroskop elektronowy i chemiczne analizy, chociaż z tego też nie

rezygnowaliśmy. Musiałem poznać dokładnie środowisko, w którym rozegrał się dramat, wniknąć w losy i charaktery jego uczestników. Zbierałem więc różne materiały, wszystko, cokolwiek mogło mi uzupełnić zarysy poszczególnych postaci. Robiłem notatki, nieoficjalne, nieurzędowe, po prostu prywatne, osobiste...

Cena zł 27.—

Barbara Gordon

# Ćmy



ISKRY • WARSZAWA • 1976

Okładkę projektował  
MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Redaktor  
DANUTA ŁUKAWSKA

Redaktor techniczny  
WALDEMAR ROSPIERSKI

Korektor  
JOLANTA ROSOSIŃSKĄ

P R I N T E D I N P O L A N D

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,  
Warszawa 1976 r.

Wydanie I.

Nakład 100.000 + 275 egz.

Ark, wyd. 10,7. Ark, druk. 16,5.

Papier druk, sat, kl. VII. 60 g rola 75 cm.

Druk ukończono w styczniu 1976 r.

Zakłady Graficzne

„Dom Słowa Polskiego”.

zam, nr 3089/A/75 B-60

Cena zł 27.–

– Chce, pani, żebym opowiedział o jakiejś sprawie niezwykle, niecodziennej – kapitan Sebastian Chmura uśmiechnął się pobłaźliwie. Jego szarozielonkawe oczy wyrażały życzliwość.

– Właśnie – potwierdziłam. – Chodzi mi o sprawę nieprzeciętną. Taką na przykład, w której nie odgrywają roli ani chęć rabunku, ani porachunki gospodarczego podziemia, ani szantażowanie kogoś z tytułu okupacyjnej przeszłości.

Chmura spoważniał:

– Różnimy się, pani Barbaro, w naszych poglądach. Ja uważam każdą sprawę kryminalną za niezwykle, niecodzienną i nieprzeciętną. Każde naruszenie porządku społecznego i jego prawnych norm stanowi wyjątek, ale nie regułę. Nawet jeśli określony rodzaj przestępstw zdarza się dość często albo częściej niż inne.

– Ma pan rację – przytaknęłam skwapliwie. – Widocznie źle się wyraziłam. Po prostu chciałam usłyszeć o takim wypadku, w którym tradycyjne metody śledztwa okazują się bezużyteczne, a jego wynik zaskakujący.

– Nie ma tradycyjnych metod śledztwa, pani Barbaro – poprawił mnie znów Chmura – one się wciąż zmieniają i doskonalą. Rozwój

nauki i techniki umożliwia nam coraz skuteczniejsze zwalczanie przestępczości.

– Wiem o tym – odparłam z przekorą – i właśnie proszę pana o przypomnienie sobie zdarzenia, wobec którego były bezradne wszystkie wasze laboratoria, ekspertyzy i kartoteki.

Na biurku zadzwonił telefon. Chmura podniósł słuchawkę. Kobięcy dyszkancik, który się w niej rozlegał, docierał aż do moich uszu. W powodzi słów rozróżniłam „odprawa”.

– Tak – powiedział Chmura do szezebioczącej słuchawki. – Dobrze. Zaraz będę.

Westchnęłam z rezygnacją i z zawiedzioną miną zaczęłam pakować do torebki rozłożony na biurku notes oraz długopis.

– Zdaje się, że nic z tego na dzisiaj, panie Sebastianie. Zadzwonię do pana w przyszłym tygodniu.

– Ależ nie, pani Barbaro – widocznie Chmurze zrobiło się mnie żal i postanowił okazać się wspaniałomyślny. – Zrobimy inaczej. Przypomniałem sobie o pewnej sprawie, która chyba panią zacieka wi.

Podszedł do szafki, stojącej w rogu pokoju i wyjął z niej dość grubą teczkę. Położył ją przede mną. Stary spryciarz. Chyba leżała już tam z góry dla mnie przygotowana. W Komendzie Głównej MO nie ma przecież zwyczaju, żeby jakiegokolwiek akta spraw zakończonych wałęsały się po szafach pracowników. Od tego jest archiwum. Sebastian Chmura nie uważał jednak za stosowne tłumaczyć mi się z czegokolwiek. Wyjaśnił tylko:

– Może zdziwi panią zawartość tej teczki. Stosunkowo niewiele znajdzie w niej pani oficjalnych dokumentów, protokołów, raportów

i ekspertyz. Wypadek zdarzył się kilka lat temu. Po to, żeby wykryć mordercę, musiałem sięgnąć po zupełnie inne środki aniżeli mikroskop elektronowy i chemiczne analizy, chociaż z tego też nie rezygnowaliśmy. Musiałem poznać dokładnie środowisko, w którym rozegrał się dramat, wniknąć w losy i charaktery jego uczestników. Zbierałem więc różne materiały, wszystko, cokolwiek mogło mi uzupełnić zarysy poszczególnych postaci. Robiłem notatki, nieoficjalne, nieurzędowe, po prostu prywatne, osobiste. Pozostały jednak w tej teczce, bo... – uśmiechnął się po swojemu, z nieśmiałym zażenowaniem – no, bo to one w rezultacie stały się podstawą do wyciągnięcia ostatecznych, wniosków. Tak zdecydował mój bezpośredni zwierzchnik.

– Dziękuję, panie Sebastianie. Myślę, że zdążę to przejrzeć, zanim pan wróci z odprawy.

Skinął mi na pożegnanie głową i odszedł równym, niezbyt spiesznym krokiem. Tak chodzą ludzie wytrwali. Kiedyś Chmura tłumaczył mi, że nauczył się tak chodzić w partyzantce podczas wojny.

Ja zaś zostałam sam na sam z różową teczką, związaną nieco kokieteryjnie czarną tasiemką na misterną kokardkę.

Z korytarza dobiegały do mnie zwykle odgłosy urzędowej krzątania: otwierały się i zamykały drzwi, ktoś rozmawiał z kimś półgłosem, gdzieś dzwonił telefon, stuknęła maszyna do pisania. Z drugiej strony, zza okna, przypominało o swym istnieniu miasto: o chodnik stuknęły obcasy przechodniów, turkotały i zgrzytały tramwaje, popiskiwwały opony samochodów skręcających z jezdni Puławskiej na podjazd komendy.

Po chwili przestałam to wszystko słyszeć. Rozwiązałam czarną

tasiemkę i dość zaskoczona zaczęłam przerzucać materiały, zgromadzone w różowej teczce, na której oprócz normalnych adnotacji archiwalnych widniał wykaligrafowany czarnym tuszem napis, oznaczający kryptonim sprawy:

## ĆMY

### 1.

Wycinek z pisma „Świat Ekranu”, ilustrowany barwnymi zdjęciami reportaży dziennikarza Romualda Dudki z cyklu: „Twórcze plany naszych filmowców”. Na marginesie wycinka dopisano długopisem: MIEJSCE ZBRODNI.

Dziennikarz pisze:

«Zorganizowanie spotkania ze Sławomirem Barsem nie należy bynajmniej do rzeczy łatwych. Trudno się temu dziwić. Twórca tej miary, któremu nasza kinematografia zawdzięcza niejednego światowy sukces, nie jest panem własnych dni i godzin. A jednak muszę przeprowadzić z nim wywiad. Miliony ludzi w Polsce – a także zapewne i na świecie – zapytują niecierpliwie: co nowego tworzy nasz czarodziej srebrnego ekranu? Jaką niespodzianką nas uraczy? Czym zaniepokoi nasz intelekt i pobudzi go do intensywnego wysiłku? Miliony widzów czekają z biciem serca na nowe dzieło Sławomira Barsa. Pragną dreszczu zaskoczenia w naszym świecie, zunifikowanym i przesyconym technicystyczną automatyzacją cywilizacji...

Pytam o mistrza w Zespole Realizatorów Filmowych „Wir”.



Niestety, nie ma go. Sekretarka wyjaśnia mi, iż kierownik artystyczny „Wiru”, pan Bars, znajduje się chyba w wytwórni. Ale w wytwórni też go nie ma. Podobno „kręci w plenerze”. Czekam kilka dni. I oto nareszcie dobra wiadomość: Sławomir Bars gotów jest przyjąć wysłannika pisma „Świat Ekranu” w swojej podwarszawskiej willi, gdzie w ciszy i odosobnieniu tworzy zarysy koncepcji nowego dzieła.

Wysiadam z kolejki, mijam lasek jeden i drugi, jak to podwarszawskie laski – przeredzone i zaśmiecone, poprzetykane gdzieś niedzie jednorodziymi domkami – i oto nagle na tle tej tuzinkowej szarzyzny wyrasta przed moimi oczami widok jak z bajki. Bungalow – cudo w zaczarowanym ogrodzie. To nieomylny smak gospodarza zestroił w całość harmonię natury i twór ludzkich rąk. Ciemnobłękitna zieleń świerków kontrastuje z lekko kremową bielą bloków piaskowca, z których zbudowano dom. Potrzeba było usilnych starań ogrodnika, aby otoczenie domu sprawiało wrażenie uroczego, dziewiczego zakątka boru. Wśród bujnych kęp paproci błękitnieją łany leśnych dzwonek. Tu – zagonek borówek, ówdzie – czarnych jagód i gąszcz jeżyn. Miałbym ochotę zerwać pięknego borowika potyskującego ciepłym brązem wśród mchu, lecz pan domu czyni ostrzegawczy gest. Nie wolno tu niczego ruszać. Tak ma być: jak gdyby nie stąpnęła tu nigdy ludzka noga...

Ale łąką, spływającą łagodnie po zboczu niewysokiego pagórka, wśród trawy wysokiej po pas, wśród rumianków i maków można dojść do luksusowego basenu kąpielowego, wykładanego błękitnymi kafelkami. Na trampolinie smukła postać przygotowuje się do skoku. Sławomir Bars pozdrawia ją skinieniem dłoni i zachętą. I oto za chwilę zgrabna kobieca sylwetka łagodnym, pięknym łukiem

przecina powietrze i niknie pod wodą. Nie pomyli się nikt, kto poświęca choć trochę uwagi naszej rodzimej kinematografii. Tak: to małżonka Sławomira Barsa, Bożena Norska, która stworzyła niezapomniane kreacje w takich wybitnych filmach, jak „Zawracanie nocy”, „Balbina się budzi”, „Donikąd” i „Droga we mgle”.

Sławomir Bars zaprasza mnie do wnętrza domostwa. W obszernym salonie, spełniającym zarazem rolę jadalni, utrzymanym w stylu południowoamerykańskim wypijamy na stojąco po czareczce prawdziwej herba mate. Pytam mistrza, czy to jest jego ulubiony napój i czy nie ma kłopotów z zaopatrywaniem się w ten egzotyczny smakołyk.

– Ja osobiście najchętniej pijam jaśminową herbatę. A tego przywieźliśmy trochę na próbę z Kostaryki. Właśnie stamtąd wróciliśmy z żoną. Reprezentowaliśmy tam naszą kinematografię na Pierwszym Festiwalu Filmowym w Limonie.

Z szacunkiem skłaniam głowę – bez komentarza. Cała nasza prasa pisała o wielkim sukcesie, jaki odniósł w Limonie nasz film „Ich dwoje i nic”. Wprawdzie pod naciskiem zachodnich producentów filmowych nagrodę „Złotej Cytryny” przyznano „Negatywowi” Antonioniego, ale twórca filmu „Ich dwoje i nic”, Sławomir Bars, w jednej osobie jego scenarzysta i reżyser, wyróżniony został niezwykle cenioną w kołach filmowych nagrodą specjalną Stowarzyszenia Recenzentów Filmów Niekasowych. Bożena Norska za tytułową rolę w tym filmie otrzymała „Srebrne Lusterko”, którym fryzjerzy miasta Limon mają zamiar każdorazowo nagradzać najoryginalniej uczesaną na festiwalu aktorkę.

– Czy oprócz państwa jeszcze ktoś z Polski uczestniczył w tym ambitnym nowym festiwalu? – pytam z zaciekawieniem.

Sławomir Bars rozkłada ręce:

– Niestety, mogliśmy pojechać tylko my dwoje. Pan rozumie: dewizy...

Przechadzamy się wolnym krokiem po siedzibie państwa Barsów. Salon-jadalnia, o którym już wspomniałem, stanowi środek oryginalnej budowli. Szerokie oszklone drzwi prowadzą z tego pokoju prosto do ogrodu przez taras, który obiega dookoła cały budynek. Nie ma tu nigdzie zbędnych korytarzy i sionek. Z salonu-jadalni oprócz wyjścia na taras troje drzwi wiedzie w różnych kierunkach. Jedne drzwi poprzez fragment tarasu, urządzone na podobieństwo przedpokoju, gdzie można zrzucić płaszcz na szeroką ławę przykrytą afkańskim kilimem, prowadzą do alei, na której końcu znajduje się brama wjazdowa oraz furtka na ulicę. Drugie drzwi z salonu – gdy otwarte – ukazują olbrzymią, supernowoczesnie zorganizowaną kuchnię. Krząta się tu gospodyni, pani Katarzyna, przygotowująca posiłki pod kierunkiem pana domu, słynącego z kulinarnych talentów i smakosza, jakich już niewiele w Polsce – kraju barów mlecznych i samoobsługowych zakładów zbiorowego żywienia. Drzwi trzecie albo gdy kto woli – czwarte, przeciwległe do kuchennych, otwierają przed nami świat jak z bajki; to prawdziwa feeria kolorów. Staję zdumiony. Czyżbym się znalazł nagle w pracowni uczonego, przyrodnika?

Sławomir Bars uśmiecha się pobłaźliwie. Jest wyrozumiały dla przeciętnego śmiertelnika, którego zaskakuje głębia i wielostronność osobowości wielkiego twórcy.

– Niektórym się zdaje – mówi półgłosem, w zamyśleniu, jak

gdyby tylko do siebie – że warsztat reżysera to tylko kamera filmowa, umiejętność wyszukania tematu i zdolność kierowania aktorami według powziętego zamysłu. Tak nie jest. Tak można pracować tylko nad filmem tuzinkowym, przeznaczonym dla błażej rozrywki masowego widza. Ale jeżeli twórca filmu traktuje poważnie swoje powołanie, jeżeli tworzenie w tej dziedzinie wypływa z jego najgłębszej potrzeby wewnętrznej, musi szlifować stale swój intelekt, gromadzić przeżycia, wzbogacać swoje odczucie świata. Oczywiście we właściwy dla siebie sposób, dla innych czasem dziwaczny albo niezrozumiały. Trzeba szeroko żyć, nie skąpiąc sobie niczego, co czyni życie barwnym. A potem można stanąć oko w oko z każdym problemem i z tego swojego dystansu popatrzeć z góry albo z boku, obiektywnie, na rzecz, którą zamierzamy zużytkować jako tworzywo.

– Tak jak my w tej chwili patrzymy na te piękne motyle – wtrąciłem nieśmiało, gdy Sławomir Bars zamilkł.

– Może właśnie tak – uśmiechnął się zagadkowo.

Znajdowaliśmy się w pokoju, w którym nie było prawie mebli w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Jasnokremowe ściany od góry do dołu zawieszono były oszklonymi gablotkami, a pod szkłem, jak gdyby na dnie płytkiej przezroczystej wody, przypięte do dna ostrymi szpileczkami, barwiły się wszystkimi kolorami tęczy niezliczone motyle. Na środku pokoju umieszczono także gabloty, tym razem stojące, również oszklone i również zapełnione motylimi eksponatami. Olbrzymie okno zajmowało całą szerokość ściany, światło i słońce dodawały blasku aksamitnym skrzydłom owadów, które wydawały się żywe i trzepoczące, chociaż były martwe

i nieruchome w swoich szklanych trumienkach.

– Zbieranie motyli to moje hobby – dodał Sławomir Bars. – Traktuję to zresztą naukowo i bardzo serio, jak pan widzi.

Podeszliśmy do szerokiego parapetu okna. W skrzynkach, skrzyneczkach i słoikach umieszczono tu całe laboratorium, niezbędne przy tego rodzaju pracy. Nie znam się na tym, więc trudno mi było pytać o szczegóły. Pochyliłem się tylko nad leżącą na parapecie gablotą, z której na chwilę usunięto szkło, widocznie po to, by przegrupować w niej bądź też uzupełnić kolekcję.

– Największe motyle świata – wyjaśnił gospodarz – i chyba najpiękniejsze. Amerykańska ćma gigant, *Erebius agrippina Thysania*, rozpiętość skrzydeł 27 centymetrów. Ten egzemplarz zielonkawo-błękitny to niezwykle rzadki Machaon Maaka, czyli *Papilio bianor maacki* z ussuryjskiej tajgi. Ten okaz, zielono-czarno-różowawy z potrójnymi wypustkami na końcu skrzydeł, to madagaskarska Urania. To znów trupia główka, *Acherontia atropos*, widzi pan pośrodku odwłoka wyraźny, kształt ludzkiej czaszki. Nazywa się groźnie, prawda? Trupia główka, jedyna spośród motyli nocnych i dziennych, wydaje słynny „krzyk”.

– Krzyk? – zdziwiłem się. Nie przyszło mi nigdy do głowy, że motyle albo ćmy mogą krzyczeć. Mówi się wszak o „bezszelestnym locie” tych bezgłośnych stworzeń.

– Właśnie. Wydaje ostry, skrzypiący, świszczący dźwięk, wypychając z przewodu pokarmowego strumień powietrza.

– A to nowa zdobycz? – spytałem, wskazując na piękny okaz, przygotowany do umieszczenia w gablocie, na razie spoczywający osobno na podkładce z ligniny. Na ciemnobrązowym tle odcinały

się jaskrawo na górnych skrzydłach dwa pasy błękitne, na dolnych pomarańczowe.

– Przywiozłem sobie teraz z Ameryki. Nimfalida południowo-amerykańska, czyli *Nessaka Obrinus*.

– Ładna – pochwaliłem.

Sławomir Bars uniósł lekko brwi ku górze. Dziwił się, iż użyłem tak niewłaściwego określenia.

– W kolekcji – pouczył mnie wyrozumiale – nie jest ważne, żeby okazy były „ładne”, jak pan powiedział. Ja na przykład najbardziej lubię przypatrywać się takim niewielkim, szarobrunatnym ćmom. – Przystanął nad jedną z gablot. – Proszę spojrzeć na te dyskretne złociste prążki rozmieszczone w poprzek skrzydełek. Albo ten okaz: wzór na skrzydłach przypomina słoje drzewa. To jest prawdziwe piękno. Subtelne, wyrafinowane, powściągliwe.

– Reguła, którą pan stosuje w swoich dziełach filmowych – podpowiedziałem, pragnąc skierować naszą rozmowę na tor zarówno bezpieczniejszy dla mnie, jak i bardziej pożądanym.

Wydawało mi się, że Sławomir Bars uśmiechnął się z satysfakcją. Porównanie to widocznie sprawiło mu przyjemność. Wyszliśmy z pracowni, zajrzeliśmy jeszcze tylko na moment na pierwsze piętro, gdzie mieściły się łazienka i dwie sypialnie – jedna urządzona w stylu rokoko, pani Bożeny, i druga, Sławomira Barsa, utrzymana w surowym stylu średniowiecznej rycerskiej komnaty – i oto znów znaleźliśmy się w obszernym środkowym pokoju, pełnym egzotycznych roślin, murzyńskich masek i totemów, meksykańskich rzeźb, indiańskich tkanin, garnków i plecionek.

Milczał. Czekał, żebym ja zadał to pytanie.

Odważyłem się nie bez tremy:

– Co pan teraz tworzy?

Sławomir Bars zdjął okulary, przetarł oczy ruchem znamionującym znużenie i przez chwilę wzrok jego wędrował po zieleni łąki, przetykanej makami i rumiankami, zanim mi odpowiedział:

– Noszę się teraz z zamiarem przełożenia na język filmowy naszego największego arcydzieła, a mianowicie „Pana Tadeusza”. Powstają już pewne zarysy podstawowej koncepcji ekranizacji naszej epepei narodowej. Ale na szczegóły jeszcze za wcześnie.

– Rozumiem – skłoniłem głowę z szacunkiem – ten trud wymaga ogromnego skupienia i napięcia twórczego. Ostatni zajazd szlachecki! Wielkie sceny zbiorowe! Polowanie, grzybobranie! Powitanie wojsk napoleońskich! Stroje, charaktery, rozmach!

– Nie, nie – zaprzeczył mi łagodnie, lecz stanowczo. – Nie tak powinniśmy dziś odczytywać to wielkie dzieło, jeżeli chcemy je zbliżyć do dzisiejszego widza. Zrywam maskę sielanki z „Pana Tadeusza”. Wydobywam i ujawniam istotne konflikty. Konflikt władzy. Konflikt prowincjonalizmu z duchem epoki, niosącym powiewy z szerokiego świata. Moim zdaniem głównym bohaterem jest Hrabia. On czuje zagrożenie ginącego świata, on wie, jak samotna jest jednostka w obliczu zagłady, postawiona w sytuacji ostatecznej. Poza tym jego zafascynowanie trzynastoletnią Zosią jest o wiele bardziej frapujące aniżeli nieskomplikowana młodzieńcza miłość Tadeusza. Para Tadeusz-Zosia to ukłon Mickiewicza w stronę konwenansu epoki. Ale zainteresowanie Hrabiego to wątek z naszych czasów. To cały Nabokov! To kompleks Lolitki... Dojrzały, doświadczony mężczyzna i kobieta-dziecko.

Poczułem się oszołomiony tą wizją:

– A więc będzie to film filozoficzno-psychologiczny? Kameralny?

– Jak najbardziej. Dużo zbliżeń, sceny zbiorowe przedzielać będą tylko poszczególne sekwencje.

– Końcowy polonez...

– O tak, ale potraktowany zupełnie inaczej. Z wydobyciem dziejowego podtekstu. Wszak przecucie klęski napoleońskiej jest niezwykle intensywne w „Panu Tadeuszu”. Wyobrażam więc sobie scenę końcową w takim mniej więcej ujęciu: w takt poloneza barwny wąż tancerzy odświętnie ustrojonych wyrusza ze staropolskiego dworku przez park w piękny letni dzień i wije się przez pola, na których dojrzewa zboże. Nadlatuje wichura, strąca liście z drzew, kładzie pokotem łany, zdziera z tańczących piękne stroje, płącze długie włosy kobiet. Szyk tancerzy miesza się, każdy na własną rękę szuka ratunku i osłony. Zaczyna padać śnieg, coraz gęściejszy. Wśród śnieżnej kurzawy, która przysypuje tancerzy, mającą sanie zaprzęgnięte w białe konie. Zaprząg obojętnie mija tancerzy, usiłujących daremnie wydostać się z zasp. To Napoleon rozwiewa polskie sny o wolności. Z zawiei zaczynają ku nam wychodzić w takt poloneza niedobitki napoleońskiej armii, w łachmanach poplamionych krwią. Wśród nich Tadeusz z ręką na temblaku, podpira się kijem, kuleje, nogi ma prawie bose, owinięte w szmaty. Wlecz się w stronę wiejskiego cmentarzyka, pod którego murem stoi Hrabia z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Długo i wymownie patrzą sobie w oczy. Mgła. Wśród krzyży cmentarza błąka się postać kobieca w żałobie. Nie wiemy, czy to Zosia, czy Telimena nad grobem Zosi. Wszystko przesłania śnieżna zamieć. Na podkładzie muzycznym



poloneza, granego coraz bardziej nieskładnie, nierytmicznie, wreszcie już zupełnie fałszywie.

– To wspaniała wizja – powiedziałem. – Nasz wieszcz chyba w najśmielszych swoich rojeniach nie przeczuł, że ktoś tak może odczytać jego tekst.

Sławomirowi Barsowi widocznie spodobało się moje zrozumienie dla jego koncepcji, gdyż zwierzył mi się z czymś, co może niewątpliwie zaciekać naszych czytelników:

– Zastanawiałem się, czy tej ostatniej sceny, tego ujęcia nie rozegrać w scenerii wysypiska śmieci. Śmietnik na trwałe wszedł do skarbcza naszego słownictwa filmowego. To znakomite, proste a wymowne upostaciowanie, lapidarne i dramatyczne zobrazowanie zagubionych, polskich ludzkich losów. Ale do epoki napoleońskiej lepiej chyba pasuje zadymka.

Tym ostatnim słowem Sławomira Barsa przysłuchiwała się z uwagą małżonka, pani Bożena. Stała w drzwiach balkonowych, już po kąpieli, otulona w miękkiej, uszyty z puszystego materiału, popielato-złocisty płaszcz. Odcinały się od niego długie, lśniące czarne, gładko na twarz szczesane włosy i jasnoniebieskie oczy. Na rękach trzymała pięknego kota. Był to syjamski kot o jasnoniebieskich oczach, czarnej mordce i sierści płowej, koloru mlecznej kawy.

Chciałem go pogłaskać, bo bardzo lubię koty. Ale pani domu cofnęła się o krok, a pan domu przestrzegł mnie:

– Yogi to dzikus. Nie lubi obcych. Może pana bardzo boleśnie podrapać.

Odjechałem, żegnany uprzejmie przez nasze sławne filmowe małżeństwo. W imieniu czytelników naszego pisma podziękowałem bardzo serdecznie za udzielony mi czas i tak interesujące informacje.

Cała Polska z niecierpliwością oczekiwać będzie teraz chwili, kiedy ukaże się w prasie naszej zapowiedź: Już dziś premiera – Nowy polski supergigant – Barwna panorama – Epopea narodowa „Pan Tadeusz” – Według Adama Mickiewicza scenariusz: Sławomir Bars – Reżyseria: Sławomir Bars – W rolach głównych Bożena Norska i Michał Prot...«

\*

Po przeczytaniu reportażu Romualda Dudki jeszcze raz dokładniej przyjrzałam się rozmieszczonym w tekście zdjęciom. Nie odpowiadał mi styl mojego kolegi dziennikarza, ale przyznać trzeba, że opisy jego okazały się dokładne. Oto zdjęcie tytułowe na okładce pisma, zapowiadające wywiad ze znakomitym reżyserem i jego żoną, równie znakomitą aktorką: dwie pary lekko skośnych, bladoniebieskich oczu, oczy kobiety i oczy kota. Yogi także doczekał się apoteozy. Co to jednak znaczy być własnością sławnych ludzi! I jakie to zgrane: ciemne futerko kociego łebka i smolista grzywa kobiecej główki, płowa kocia sierść i tej samej barwy kąpielowy płaszcz naszej gwiazdy!

Drugie zdjęcie, już obok wywiadu, pokazuje Sławomira Barsa na tle jego posiadłości w Dzieżmoli. Widzimy na nim wysoką, barczystą, nieco przygarbioną sylwetkę w spłowiałych, podniszczonych dzinsach i niedbale rozpiętej zamszowej kurtce. Nieodłączna fajka, zaciśnięta w dłoni o krótkich, grubych palcach, uzupełnia ten portret. W tle – sławetna łąka z makami i rumiankami.

Trzecie zdjęcie stanowi majstersztyk zręczności fotografa:

obejmuje zarówno ów afrykańsko-meksykańsko-indiański salon z widokiem na taras i ogród, jak i fragmenty dwóch bocznych pomieszczeń – na lewo gabinetu z motylami i na prawo kuchni podobniejszej do pracowni fizyka-atomisty niż do miejsca, gdzie sieka się kotlety.

To tu, w tym salonie popełniono zbrodnię.

## 2.

Nadal nie rozstaję się z Romualdem Dudko. Zastanawiam się: Dudko czy Dudką? Językoznawcy nakazują odmieniać nazwiska kończące się na „o”. Mimo to pewien poeta ogłosił publicznie manifest, w którym uznał za osobistą obrazę, jeśli ktoś odważy się odmieniać jego nazwisko kończące się na „o”. Nie wiem, jakie jest zdanie kolegi Dudko (Dudki?) w tej mierze. Interesuje mnie natomiast, dlaczego Chmura tak uporczywie kolekcjonował w toku sprawy wszystko, co Romuald Dudko zamieszczał wtenczas na łamach różnych czasopism.

Oto bowiem następnym dokumentem w różowej teczce, noszącym numer kolejny „2”, jest recenzja tegoż autora z filmu „Ich dwoje i nic”, wydrukowana w terenowym dwutygodniku kulturalnym „Obok i dalej”. Chmura niektóre części recenzji pominął, niektóre, prawdopodobnie jego zdaniem warte zastanowienia, obwiodł jak ramką mocnym pociągnięciem grubego, czerwonego ołówka. Ja zatem także skoncentrowałam się na tych akapitach:

»Film „Ich dwoje i nic” należy niewątpliwie do rzędu najwybitniejszych dzieł naszej powojennej kinematografii. Jest to film

ambitny, podejmujący istotne problemy, nurtujące współczesnego człowieka jako jednostkę. Wyobcowanie ze środowiska pogłębia niemożność znalezienia wspólnego języka bohaterów...

Błahe i płyciutkie, pozbawione wszelkich walorów intelektualnych i treści filozoficznych opowiadanko Jolanty Kordes, które posłużyło za osnowę filmowej opowieści, nie mogłoby oczywiście stanowić odpowiedniego tworzywa, gdyby nie wziął go na swój warsztat tak doświadczony twórca jak Sławomir Bars. Jego to pełna zasługa, że tak niewiele tu pozostało z literackiej wersji utworu. W scenariuszu, którego jest autorem, znać drapieżny lwi pazur. Wy-mowa filmu może się wydać gorzka i okrutna, lecz nie umniejsza to w niczym jego głębokich walorów ogólnoludzkich – odwrotnie, uwypukla je...

Reżyser Sławomir Bars udoskonalił jeszcze to, czego dokonał Sławomir Bars – scenarzysta. Otrzymaliśmy dzieło dojrzałe pod każdym względem.

Czołowa para aktorów, Bożena Norska i Michał Prot, stanęli na wysokości zadania i znakomicie wywiązali się z zasugerowanego przez reżysera ujęcia filmowych postaci...»

### 3.

Doprawdy, pojęcia nie mam, do czego to było Chmurze przy śledztwie potrzebne. Ta sprawa ma jednak chyba swój jakiś dalszy ciąg, gdyż następnym, trzecim z kolei dokumentem z różowej teczki odsłania jej kulisy. Są to kopie, bądź też oryginały korespondencji między Zespołem Realizatorów Filmowych „Wir” i nieszczęsną, zmiążdżoną

przez recenzenta Dudkę (Dudko?) Jolantę Kordes, autorką opowiadania „Ich dwoje i nic”. Te arkusiki spięto razem. Pierwszy list pochodzi z roku 1964, ostatni nosi datę o dwa lata późniejszą. W tym to okresie opowieść Jolanty Kordes o niefortunnej miłości dwojga młodych przybrała formę scenariusza, została sfilmowana, weszła na ekrany naszych kin i szybko z nich zeszała, chociaż krytycy okadzili ją pochlebstwami ponad wszelką miarę („Bars! Wielki Bars!”). Ponadto zyskała laury na festiwalu w Limonie i na tym nie koniec, bo wystąpiliśmy z tym arcydziełem jeszcze na kilku międzynarodowych imprezach, po czym sprzedaliśmy je za dewizy tak chłonnym odbiorcom jak Angola, Pernambuco i Rwanda-Burundi. Tak więc korespondencja, którą tropił pracowity Chmura, dotyczy, rzecz by należało, prehistorii owego dzieła. To coś w rodzaju trudu paleontologa, który na podstawie zarysów poszczególnych kości, odcisniętych w miększu skalnym, odtwarza kompletny szkielet, a nawet w całej okazałości postać dinozaura. Oto więc historia wlotu, nadziei, kłęski i gorzkiego zawodu Jolanty Kordes, pisarki, której marzyły się filmowe laury. Historię tę można odczytać między wierszami zwykłej urzędowej korespondencji.

W. Pani Jolanta Kordes

Warszawa, Miedzeszyńska 108.

Szanowna Pani,

Nasz Zespół Realizatorów Filmowych zainteresował się Pani opowiadaniem, wydrukowanym na łamach tygodnika „Kobieta Nowoczesna”. Jeden z naszych reżyserów pragnąłby podjąć pracę nad ekranizacją „Ich dwoje i nic”. Prosimy zatem o skomunikowanie się z nami celem podpisania umowy oraz o dostarczenie nam w/w

opowiadania co najmniej w trzech egzemplarzach.

Z poważaniem  
(-) Tadeusz Firko

W. Pani Jolanta Kordes  
Warszawa, Miedzeszyńska 108.

Szanowna Pani,

W załączeniu przesyłam umowę na ekranizację opowiadania „Ich dwoje i nic” oraz umowę na scenariusz. W odpowiedzi na Pani telefoniczne zapytanie wyjaśniamy, że niestety, nie możemy dać Pani za ekranizację wyższej stawki niż 6 tysięcy złotych, ponieważ jest to Pani debiut. Umowa na scenariusz, tak jak uzgodniliśmy ustnie, dotyczy Pani oraz reżysera Gustawa Nieczuły jako współautorów scenariusza. Tak więc zgodnie z umową, całość honorarium płatna jest po połowie, czyli po 10 000 złotych. 25% z tego płatne jest po podpisaniu umowy, następne 25% po złożeniu scenariusza, reszta zaś po zaakceptowaniu scenariusza do produkcji. Prosimy odesłać nam obie umowy po ich podpisaniu.

Z poważaniem  
(-) Tadeusz Firko

Zespół Realizatorów Filmowych „Wir”  
Warszawa, Puławska 61.

W załączeniu przesyłamy scenariusz filmowy pt. „Ich dwoje i nic”. Ponieważ obydwójce znajdujemy się w tej chwili w Zakopanem, gdzie pracowaliśmy nad scenariuszem, prosimy przekazać nam drugą ratę honorarium na adres: Dom Pracy Twórczej ZAIKS, Zakopane.

Z poważaniem  
(-) Jolanta Kordes (-) Gustaw Nieczuły

Zespół Realizatorów Filmowych „Wir”

Warszawa, Puławska 61.

W imieniu własnym i reżysera Gustawa Nieczuły przesyłam poprawiony egzemplarz scenariusza filmu „Ich dwoje i nic”. Po czterokrotnych wielogodzinnych dyskusjach z Waszym kierownikiem artystycznym reżyserem Sławomirem Barsem, kierownikiem literackim Pawłem Bodziaczkim oraz kierownikiem produkcji Tadeuszem Firką, a także po trzykrotnym uzupełnianiu, skracaniu i przerabianiu scenariusza, wersja, którą przedkładamy, jest już chyba ostateczna i najbardziej odpowiada naszym zamysłom.

Z poważaniem  
(-) Jolanta Kordes

Zespół Realizatorów Filmowych „Wir”

Warszawa, Puławska 61.

Minęło już pół roku od chwili złożenia przeze mnie i przez reżysera Gustawa Nieczułę scenariusza filmu pt. „Ich dwoje i nic”. Dotychczas nie wiem, czy scenariusz został przyjęty, czy też odrzucony. Współautor scenariusza, reżyser Gustaw Nieczuło jest, niestety, nieobecny w kraju, gdyż nakręca oświatowe filmy na Hawajach. Kilkakrotnie próbowałam porozumieć się z reżyserem Barsem oraz szefem produkcji Waszego Zespołu, Tadeuszem Firko, ale nie mogłam żadnego z panów zastać ani telefonicznie, ani osobiście. Sekretariat również nic nie wie. Proszę więc uprzejmie o powiadomienie mnie w powyższej sprawie. Poza tym po raz trzeci proszę o odesłanie mi kopii umowy, zawartej ze mną, która zgodnie z prawem, winna znajdować się w moim posiadaniu.

Z poważaniem  
(-) Jolanta Kordes

W. Pani Jolanta Kordes Warszawa, Finlandzka 5.

Niestety Zespół nasz nie widzi możliwości zrealizowania filmu na podstawie scenariusza, przedłożonego nam przez Panią oraz reżysera Nieczułą. Na poparcie naszego stanowiska przesyłamy do Pani wiadomości jedną z trzech recenzji osób fachowych i kompetentnych spoza naszego Zespołu.

Z poważaniem  
(-) Paweł Bodziaczek  
Kierownik Literacki

Recenzja – dot, scenariusza pt. „Ich dwoje i nic” Nic gorszego nie mogłoby się polskiej kinematografii przytrafić, gdyby ktoś spróbował nakręcić film według tego scenariusza. Wątpia fabuła, wydumane sytuacje, realia wzięte z sufitu, papierowe postacie bohaterów. Nie podejmuję się głębszej analizy. To jest po prostu piramidalny niewypał.

(-) Romuald Dudko

Zespół Realizatorów Filmowych „Wir”

Warszawa, Puławska 61.

Kilka miesięcy temu Wasz Zespół „ odrzucił scenariusz filmu pt. „Ich dwoje i nic”, napisany wspólnie przeze mnie i reżysera Gustawa Nieczułą. Obecnie dowiaduję się z notatek prasowych, że Zespół Wasz realizuje film pod powyższym tytułem i że reżyseruje go Sławomir Bars. Proszę uprzejmie o wyjaśnienie, na podstawie jakiego scenariusza jest realizowany powyższy film.

Z poważaniem  
(-) Jolanta Kordes



W. Pani Jolanta Kordes  
Warszawa, Finlandzka 5.  
Szanowna Pani,

Dostarczony nam przez Panią i reż. Nieczułą scenariusz nie nadawał się do realizacji i został przez nas odrzucony, o czym powiadomiliśmy Panią oraz członka naszego Zespołu reżysera Nieczułą. Nowy scenariusz opracował osobiście kierownik artystyczny naszego Zespołu p. Sławomir Bars i jest to zupełnie nowy scenariusz, różniący się zasadniczo od poprzednich wersji.

Z poważaniem  
(-) Tadeusz Firko

W. Pani Jolanta Kordes  
Warszawa, Finlandzka 5.

Na Pani „, prośbę zwróciliśmy się do Zespołu Realizatorów Filmowych „Wir” i otrzymaliśmy do wglądu realizowany obecnie scenariusz filmu pt. „Ich dwoje i nic”. Zgodnie z Pani życzeniem porównaliśmy ten scenariusz z dostarczoną nam przez Panią zszywką trzech wersji scenariusza napisanego przez Panią oraz p. Nieczułą. Stwierdzamy z całą odpowiedzialnością, iż scenariusz p. Sławomira Barsa rzeczywiście różni się zasadniczo od wersji trzeciej Pani scenariusza, którą Państwo uznaliście za ostateczną i przedłożyliście Zespołowi, a którą „Wir” odrzucił. Stwierdziliśmy natomiast, iż bez żadnej wątpliwości scenariusz przedłożony nam przez Zespół R. F. „Wir” jako dzieło p. Sławomira Barsa jest niemal dosłownie identyczny z pierwszym Państwa scenariuszem przed wprowadzeniem do niego poprawek, czyli z wersją pierwszą. Stanowi to w pewnym sensie naruszenie praw autorskich Pani oraz p. Nieczułą, aczkolwiek

z prawnego punktu widzenia sprawa jest nieco skomplikowana. Niemniej jednak nasze Biuro Prawne deklaruje w każdej chwili swą gotowość do wystąpienia w Pani sprawie, jeżeli udzieli nam Pani takiego pełnomocnictwa.

(–) Podpis nieczytelny  
Radca Prawny Związku Autorów  
i Kompozytorów Scenicznych.

Na tym kończy się plik korespondencji w sprawie przyjscia na świat filmu pod tytułem „Ich dwoje i nic”.

#### 4.

Nie wiem jeszcze nic o Jolancie Kordes poza tym, że napisała jakieś tam opowiadanko, że nie potrafiła przerobić go na scenariusz, chociaż piękny pejzaż tatrzański powinien był zapłodnić jej twórczą wyobraźnię, zwłaszcza iż wspomagał ją w tym dziele fachowiec, wprawny w reżyserskim rzemiośle. Właśnie: rzemiośle czy sztuce? Kim jest. Gustaw Nieczuło? Rzemieślnikiem w swoim fachu czy artystą w swej sztuce? Czy dorównuje wielkiemu Sławomirowi Barsowi? Jest miernotą, która rozpycha się uparcie łokciami, by znaleźć się w pierwszym szeregu, czy wielkim talentem, spychanym w dół przez mniej zdolnych, ale za to mocnych? Też jeszcze nie wiem, podobnie nie jest mi wiadome, w jaki sposób ostatecznie posłużyła się Jolanta Kordes przychylną dla niej ekspertyzą stowarzyszenia, dzielnie broniącego naruszanych praw autorskich.

Dobry Chmura pozostawił mi jednak pewną szansę. Ta szansa przeznaczona jest dla tego, kto posiada uzdolnienia fizjonomisty, czyli potrafi określić czyjąś osobowość na podstawie obserwacji

rysów twarzy. Oto bowiem z koperty, noszącej w teczce kolejny numer „4”, wysuwa się kilka zdjęć. Typowe fotografie pamiątkowe, chociaż nie brak także jednego portretowego powiększenia. Nie wiem, czy potrafię na podstawie tych odbitek przeniknąć moją wyobraźnią myśli i uczucia Jolanty Kordes –« ale przynajmniej mogę już ją opisać zewnątrz. I to nawet dość dokładnie, gdyż niektóre fotografie są kolorowe. Jej wiek określiłabym na lat 35 do 40. Ani za szczupłą, ani za tęga. Twarz pociągła, cera śniada, oczy piwne. Niezbyt ładne, tkwiące trochę za głęboko w oczodołach i trochę za blisko wąskiego, długawego noska. W takich wypadkach próbuje się skorygować błąd natury odpowiednim makijażem: można przedłużyć kredką powieki w kierunku skroni. Pani Jolanta nie od razu zaczęła stosować ten sposób: na zdjęciach, na których jest najwiśdoczniej młodszą, lekceważy kosmetyczne zabiegi, jej twarz, rzecz by można, jest naga. Naga i często gniewna. Zacięta i chmurna, chociaż raz towarzyszy jej przystojny blondyn, a scenka rozgrywa się na biwaku nad jeziorem. Blondyn z miną odrobinę znudzoną rozpinamamiot, Jolanta zaś miesza łyżką w kocherze, stojącym na prymusie. Musiał być wszakże jeszcze ktoś trzeci, kto to fotografował, bo zachodzące słońce położyło jego cień na trawie niemal pod same nogi krzątającej się pary.

Kto to był? Może ten chłopiec, który na innym zdjęciu razem z Jolantą Kordes odbywa przejażdżkę kajakiem? Ma chyba 14–15 lat, podobny jest z rysów twarzy i gęstej blond czupryny do mężczyzny, rozpinającego namiot. Czyżby zatem ten blondyn był jej mężem, a chłopiec synem ich obojga? Możliwe. Nie opuszcza mnie wszakże natarczywa myśl, że znam tego jasnego mężczyznę.

Do tej samej epoki, co zdjęcia biwakowe, należy portret Jolanty Kordes, wykonany starannie i ze skromną elegancją przez stary, zasłużony zakład fotograficzny J. Miernickiego na placu Trzech Krzyży, specjalizujący się w uwiecznianiu różnych znakomości warszawskiego wielkiego świata. Ciemne, gładkie włosy, zaczesane do tyłu, nadają Jolancie na tym portrecie wyraz nieco surowy i dostojny. W sukience zapiętej pod szyją, z białym kołnierzykiem – tak mogłaby wyglądać dyrektorka przedwojennej pensji dla zamożnych panierek. Zwracają jedynie uwagę usta. To chyba najbardziej interesujący rys tej twarzy. Pełne, miękko wykrojone wargi rozchylone są w lekkim uśmiechu, chociaż oczy pozostają poważne. Brwi nad tymi zbyt blisko siebie osadzonymi oczami, uniesione lekko ku górze, wyrażają zdziwienie. W sumie wygląda to wszystko tak, jak gdyby Jolanta Kordes, zażenowana faktem, że ktoś pragnie utrwalić na zdjęciu jej zupełnie przeciętną urodę, świadoma faktu, iż nie jest zbyt efektowną kobietą i trwale tym zasmucona – rozbawiona i zaskoczona zabiegami fotografa zapragnęła, by mistrz kamery jej przekonaniu zaprzeczył. Na matowej, lekko chropowatej powierzchni portretowej fotografii widnieje wzruszająca, choć mało oryginalna dedykacja:

*Najdroższemu Musiowi w piętnastą rocznicę naszego ślubu – kochająca Jolanta*

Zwracam uwagę, iż data, figurująca pod tym czułym małżeńskim podpisem pochodzi mniej więcej z tego samego czasu, co pierwszy list Zespołu Realizatorów Filmowych „Wir”. Kobieta, nie wierząca w swoje życiowe szczęście, widocznie nagle zawierzyła nowej szansie zdobycia powodzenia. Stąd ta mała ekstrawagancja, ten portret zrobiony prawdopodobnie nadprogramowo przy zwykłym

zamówieniu zdjęć do dowodu. Z czego to wnioskuję? Kobieta pewna siebie i swojej urody na pewno nie ubierze się tak zgrzebnie, gdy idzie do fotografa, by zamówić pamiątkowy portret, mający uświetnić rodzinną uroczystość. To zdjęcie było przypadkiem, zaaranżowanym przypuszczalnie przez fotografa.

Kolejna odbitka to zdjęcie grupowe. Kolorowe. Przez krótką chwilę zastanawiam się, skąd znam tło, podkładające się malowniczo pod rozbawione towarzystwo. Wahanie moje nie trwa długo. Wystarczy rzucić okiem na leżący jeszcze tuż pod ręką i nie schowany do teczki numer „Świata Ekranu”. Tak, zabawa uwieczniona na grupowym zdjęciu, odbywała się na terenie posiadłości państwa Barsów. Moda, prezentowana na nim przez panie, stanowiła szczyt elegancji w połowie lat sześćdziesiątych. A zatem, po podpisaniu umowy na scenariusz, Jolanta Kordes weszła w krąg towarzyski polskiego filmu. Może to tu właśnie i może właśnie wtedy odbywały się owe nieskończone konsultacje, dysputy nad koncepcją mającego powstać filmu? Nie, chyba się mylę. Jolanta już musiała tkwić w tym środowisku, zanim w modnej sukience wzniosła do góry kieliszek z szampanem, jak to uwiecznił nie znany mi autor fotografii. Może nie z racji własnych zalet – może zawdzięczała ten zaszczyt pozycji swego męża?

Przystojny blondyn, który na poprzednich zdjęciach biwakował z Jolantą nad jeziorem, wygląda na tej odbitce jak ktoś o wiele swobodniej zdomowiony u państwa Barsów niż jego żona. W jej postawie czuje się pewien rodzaj skrępowania. Jest sztywna, napięta i czujna, wyraźnie upozowana do zdjęcia. Z pewnością musiała zważać na każdy swój gest, każde słowo. Blondyn natomiast jest za

pan brat z towarzystwem. Jednym muskularnym ramieniem obejmuje poufale Bożenę Norską, żonę Barsa, drugim przygarnia do siebie niewysoką kobietkę o bujnych włosach, spływających luźno na ramiona.

Wszyscy się śmieją. Czy dlatego, że im po prostu wesoło, czy też, że tak wypada, czy może bawi ich, że biesiada odbywa się nie przy elegancko nakrytym stole, ale przy takim zwykłym, z desek przybitych do krzyżaków, jak na jakimś starodawnym wiejskim weselu lub na dożynkach we dworze, w cieniu rozłożystej lipy. Nawet obrusa nie ma. Ale za to szampan mrozi się w kubelku z lodem, a w kryształowych czarkach czerwienią się poziomki poprószone słodkim pudrem jak śniegiem. Wszyscy zaś siedzą obok siebie rzędkiem, nie w wygodnych plecionych fotelach, jakich nie brak w ogrodzie Barsów, lecz na zwykłych, chłopskich ławach. To dopiero zabawa!

Oprócz Jolanty, jej męża, Bożeny Norskiej i kobietki o bujnych włosach dostrzegam jeszcze na zdjęciu Sławomira Barsa oraz dwóch mężczyzn, o których niewiele mogę powiedzieć poza tym, że jeden, uczesany na jeża, szokuje miną wyniosłą i znudzoną jak angielski lord, drugi zaś, ubrany z artystyczną niedbałością, ma twarz pucołowatą i zadarty nos.

Biorę do ręki kolejne zdjęcie i oto dzieje się rzecz dziwna. To tak, jak gdyby dwie osoby opuściły nagle zgromadzone na *garden party* u państwa Barsów towarzystwo i poszły sobie razem gdzieś w Polskę. Niesłusznie zlekceważyłam pucołowatego jegomościa z zadartym nosem Okazuje się, że to postać znacząca wiele w życiu Jolanty Kordes. To on bowiem, już tylko on jeden, towarzyszy odtąd Jolancie w górskich wycieczkach, na nadmorskiej plaży, na

warszawskiej ulicy. Wyraźnie nadskakuje jej, jest czuły i uprzedzająco grzeczny, służy jej przy zapalaniu papierosa ogniem z zapalniczki, podaje rękę przy wspinaczce, ochrania przed atakiem potężnej morskiej fali. I tu, na tych kilku zdjęciach obserwuję, jak Jolanta Kordes przeistacza się z nieciekawej, przeciętnej osóбки w całkiem efektowną i ponętą kobietę. To już nie kurka domowa, ale prawie rajski ptak. Nie szarotka – ale róża. Poszła za radą kosmetyczki; umiejętnie podmalowane oczy patrzą na nas tajemniczo i kusząco. Posłuchała także zapewne fryzjera; zręcznie przystrzyżone włosy wydają się gęściejsze i, bardziej lśniące. A może Jolanta poddała się jeszcze komuś – najmądrzejszemu doradcy w kobiecej sztuce upiększania się – miłości?

Koperta jest już pusta, widocznie Chmura nie potrzebował więcej zdjęć, aby wyrobić sobie obraz stosunków między tymi ludźmi.

Kiedy przez palce przesuwają się fotografie w ich powrotnej wędrówce w głąb koperty, oczy moje jeszcze raz krzyżują spojrzenie ze wzrokiem dorodnego blondyna, według mojego domysłu – męża Jolanty Kordes. To nasze skrzyżowanie spojrzeń przywodzi mi na myśl pojedynek szpadzistów. I chociaż ja z nas dwojga tu jestem żywa – gdyż on jest tylko postacią z fotografii – trafił mnie. W pojedyńku na szpady przy trafieniu jednego zawodnika przez drugiego zapala się światełko na stojaku przy planszy. Wzrok dorodnego blondyna jest przeszywający jak ostrze szpady. Jest to spojrzenie bezczelne i aroganckie, cyniczne i wyzywające, ale zarazem niezwykle pociągające. Uwodzicielskie i zdobywcze. Z góry pewne sukcesu w urzeczywistnieniu każdego zamierzonego celu życiowego.

I teraz już wiem, kim jest ten człowiek czarujący i bezwzględny.

Jakże mogłam nie poznać od razu wielokrotnego partnera Bożeny Norskiej, czołowego bohatera licznych filmów Sławomira Barsa, ulubieńca kinomanek, naszego znakomitego aktora Michała Prota?

Ta kobietka zaś, tuląca się do niego na pikniku u Barsów – to dość znana tancerka. Od kilku lat występuje na różnych scenach z własnym zespołem nowoczesnego tańca. Telewizyjna kamera nieraz ukazała mi zbliżenie jej twarzy. Znam ją również z widzenia. Jest niezwykle interesująca, chociaż, moim zdaniem, mało kobieca. Nie ma w niej nic z łagodnych wypukłości, miękkich owali, delikatnych łuków. Cała składa się z kantów i surowych płaszczyzn, jak gdyby rzeźbiarz niedbałymi ruchami szpachli pozaznaczał tylko w glinie zarysy tego oblicza. Pozaznaczał i odszedł, nie kończąc dzieła. Tak więc czoło jest płaskie i szerokie, od ostro zarysowanych kości policzkowych spadzista linia wiedzie ku spiczastemu i wysuniętemu do przodu podbródkowi. Gdy całe ciało jest w tanecznym ruchu, często żywiołowym i namiętnym, ta twarz zawsze pozostaje martwa i kamienna. Cały ciężar wyrażenia idei tańca Mariola powierza swemu drobnemu, zwinnemu, silnemu ciału. Przypomina chwilami wiewiórkę żonglującą ciałkiem w sposób zaprzeczający prawom fizyki. Mariola ma też, tak jak wiewiórka, ostre, białe, nieco wystające ku przodowi ząbki i zupełnie okrągłe, bardzo duże czarne oczy. Za duże, jak na jej twarz.

Jej debiut przypada na ten sam rok, w którym Jolanta usiłuje zostać scenarzystką. W każdym razie wtedy zaczęło być o niej dość głośno w sferach artystycznych. Że to nie takie sobie zwykłe fikanie



ładnymi nogami – ale prawdziwa, wielka sztuka wyrażania najgłębszych treści za pomocą ruchów ciała. Pewien krytyk recenzując występ Marioli na festiwalu baletu estradowego w San Marco stwierdził, iż nikt jeszcze nie wyraził tak oszczędnie, ale sugestywnie groźby zagłady atomowej zawisłej nad ludzkością, jak Mariola w swoim tańcu.

Krytyk ten nie jest postacią całkowicie mi nie znaną. To on ma minę znudzonego angielskiego lorda na przyjęciu w ogrodzie państwa Barsów. Obnosi tę swą minę, przyozdobioną jeszcze prawdziwą angielską fajką, wszędzie, gdzie wypada. Zwłaszcza po kawiarniach i kawiarenkach, gdzie lubi gromadzić się skwaśniała śmietanka sfer artystycznych i literackich. A każdy tym kwaśniejszy – im lepiej mu się powodzi. Ten krytyk nazywa się Paweł Bodziaczek i był w tamtym czasie kierownikiem literackim Zespołu Realizatorów Filmowych „Wir”. To jego podpis figurował pod listem „Wiru” do Jolanty Kordes, tłumaczącym jej cierpliwie, że napisała nie scenariusz, ale tak zwaną w artystycznym żargonie chałę.

Paweł Bodziaczek dobrze wie, kogo trzeba chwalić i kogo ganić. Kogo, za co i kiedy. W ten sposób wykonuje arcydziwne salta i akrobacje, z którymi, zaiste, mógłby iść śmiało w zawody z Mariolą. Dzieje się tak dlatego, że prądy, kierujące kursami na giełdzie krytyków, nie mają kierunków stałych jak prądy oceaniczne. Te prądy są zmienne i – *nomen omen* – nie brak tu zdradliwych wirów. Prądy te w dodatku często bywają niedostrzegalne na powierzchni, działają w głębiach albo tuż przy dnie. Zależą od wielu czynników, formujących tak zwane „układy”. Wystarczy, aby jeden czynnik się zmienił – czasami jest nim eliminacja jednego człowieka – a cały „układ”

ulega dekompozycji. Tak więc Paweł najbardziej niespodziewanie, zarówno dla opinii publicznej, jak i prawdopodobnie dla siebie samego – tę samą rzecz raz wychwala pod niebiosa, innym znów razem miesza z błotem. Przy tym niesłuszne byłoby porównywanie go do wrony, która kracze tak jak pozostałe: wrony zawsze wiedzą, czemu kraczą i czemu robią to raz tak, a raz inaczej. Natomiast Paweł Bodziaczek nie zawsze wie. Ale kracze.

Kiedy Mariola pozowała wraz z resztą towarzystwa do pamiątkowej fotografii na *garden party* u Barsów, niewiele się jeszcze o niej pisało, nie pamiętam więc, jakie nazwisko figurowało wówczas przy dźwięcznym imieniu Mariola. Wiem natomiast z całą pewnością, że obecnie pisze się o niej jako o Marioli Prot.

Pozostało mi do ustalenia jeszcze jedno nazwisko, a mianowicie puciołowatego jegomościa z zadartym noskiem. Ten uczestnik przyjęcia w ogrodzie państwa Barsów towarzyszy Jolancie Kordes w jej późniejszych wędrowkach po Polsce. Z korespondencji Jolanty z Zespołem Realizatorów Filmowych „Wir” wiemy, że wspólnie z reżyserem Gustawem Nieczułą pracowała nad scenariuszem w Zakopanem. Należy więc przypuszczać, iż właśnie ten z pozoru jowialny mężczyzna wyglądający na chłopca, który lubi jadać bez umiaru ciastka z kremem, to Gustaw Nieczuło. Zawdzięczamy mu prawdopodobnie pewną ważną dla całości sprawy okoliczność: zamiast klasycznego trójkąta małżeńskiego, składającego się z Jolanty Kordes, Michała Prota i tej trzeciej, Marioli – mamy o wiele bardziej życiowo stabilny kwadrat, czyli dwie pary. Michał i Mariola, Jolanta i Gustaw.

## 5.

Na pewno Chmura też był ciekaw, jak doszło do tego układu par. Sięgnął w tym celu do akt sądowych i porobił sobie z nich notatki. Jak wskazuje data, akta te powstały w okresie między podpisaniem przez Jolantę Kordes umowy na ekranizację jej opowiadania i złożeniem scenariusza wspólnie przez nią i reżysera Gustawa Nieczułą. No i po ofiarowaniu Michałowi Protowi przez Jolantę zdjęciowego portretu z czułą małżeńską dedykacją. Może zatem to zdjęcie było jeszcze jedną próbą przywrócenia do opamiętania niewiernego męża? Miało mu zwrócić uwagę na fakt, że ludzie nie rozchodzą się tak łatwo i gładko po piętnastu latach małżeństwa. Są to zazwyczaj próby żałosne, z góry skazane na niepowodzenie.

I ta również okazała się nieudaną, skoro po kilkudziesięciu dniach Sąd Powiatowy Wydziału Cywilnego w mieście stołecznym Warszawie w osobie sędziego Ryszarda Żemły orzeka:

„... rozwiązać małżeństwo stron, zawarte w dniu 11 I 1951 przed urzędnikiem Stanu Cywilnego, przez rozwód z winy pozwanego Michała Prota.

2. Opiekę nad nieletnim Andrzejem Protem powierzyć powódce Jolancie Kordes-Protowej z prawem dla pozwanego Michała Prota okresowego widywania syna oraz współudziału w jego wychowywaniu.

3. Ustalić udział pozwanego Michała Prota w kosztach utrzymania i wychowania nieletniego. Andrzeja Prota w kwocie złotych 1000. (jeden tysiąc) miesięcznie.

4. Zasądzić od pozwanego Michała Prota na rzecz powódki Jolanty Kordes-Protowej koszty procesu”.

Sąd postanawia, iż dwoje ludzi, którzy przyrzekli sobie i społeczeństwu nierozdzielność wspólnej drogi ze wszystkimi wynikającymi z tego przyrzeczenia obowiązkami, prawami, smutkami i radościami, może się rozejść, każde w inną stronę, uwolnione od ciężaru, który okazał się nadmierny. Ale czy ten sąd ma zawsze pełny obraz win i krzywd, składających się na tak zwany rozkład małżeńskiego pożycia? Żaden sąd nie ułowi tej chwili, nie dojdzie do drobnego czasami zdarzenia, kiedy któreś z dwojga po raz pierwszy poczuło niechęć do partnera. Ta niechęć dyktuje następny krok: „zrób to, co mu niemiłe” albo: „nie rób tego, bo sprawisz jej radość”. Potem jest już coraz gorzej i gorzej. Sąd wkracza już na gruzy. Daremnie próbuje namówić, aby tych dwoje odbudowało to, co legło w ruinie. Może nie chcą, może i nie potrafią, może już nikomu nic z tego by nie przyszło. Sąd może już tylko zadbać, aby z tego powodu jak najmniej materialnej krzywdy doznały dzieci, jeżeli takie istnieją.

W każdym bądź razie stwierdzam, iż wiele rzeczy musiało się dzieć w rodzinie Protów, o których sąd orzekający ich rozwód nie wiedział i chyba nie dowiedział się nigdy. Świadczy o tym taki chociażby dokument, jak ugoda, zawarta przez Protów jeszcze przed sprawą rozwodową w obecności mecenasa Nikodema Surmacza, późniejszego reprezentanta Jolanty w sądzie. Zatrzymuję się na fragmentach obwiedzionych chyba przez kapitana Chmurę czerwonym ołówkiem:

„Jolanta Protowa, urodzona Kordes, zamieszkała w Warszawie przy ul. Miedzeszyńskiej 108, zobowiązuje się niniejszym do:

1. Wyrażenia zgody na rozwód ze swym mężem Michałem Protem;

2. Opuszczenia natychmiast po rozwodzie wspólnie zajmowanego z mężem mieszkania przy ulicy Miedzeszyńskiej 108 i przeniesienia się do lokalu przy ulicy Finlandzkiej 5, zajmowanego dotychczas przez ob. Mariannę Mariolę Kamską;

3. Nie używania po rozwodzie nazwiska Prot.

Ze swej strony Michał Prot zobowiązuje się:

1. Wziąć na siebie wyłączną winę za rozkład pożycia małżeńskiego;

2. Przeprowadzić urzędowo przydział mieszkania na Finlandzkiej dla Jolanty Kordes;

3. Wyplacić Jolancie Kordes poza alimentami, które przyzna sąd na utrzymanie nieletniego syna Andrzeja, sumę złotych 100 000 (sto tysięcy złotych) w czterech ratach kwartalnych. W razie niemożności uiszczenia powyższej kwoty gotówką, Michał Prot wręczy Jolancie Kordes równowartość w biżuterii lub walucie obcej”.

Jakaż to nieprzyjemna umowa! Już sam fakt jej zawarcia dowodzi, jak mało zaufania mieli do siebie nawzajem małżonkowie. Michał Prot bezwarunkowo i raz na zawsze chce się pozbyć Jolanty, tak dalece, iż nie życzy sobie nawet, by używała nadal jego nazwiska. Czyżby Jolanta kompromitowała go w jakiś sposób? Czy małżeństwo z nią nie pozwalało mu na osiągnięcie pełni życiowego i zawodowego sukcesu? Czy po prostu aż do tego stopnia zakochał się w Marioli, że gotów był zapłacić każdą cenę, aby tylko móc stale ją mieć przy sobie? A Marioli zależało widocznie na nazwisku znanym publiczności i chciała go używać dla ułatwienia sobie kariery artystycznej.

Ze swej strony Jolanta powiada: „Dobrze, mój miły. Chcesz wolności, mogę ci ją zwrócić. Ale będzie to ciebie drogo kosztowało.

Co najmniej sto tysięcy oprócz alimentów dla Andrzeja, no i to miłe mieszkanko na Finlandzkiej... Ależ tak, wiem, że tam mieszka twoja Mariola; bardzo często widywałam ciebie, gdy wślizgiwałeś się do tego domu, ukradkiem, oglądając się na wszystkie strony – jak złodziej. Ukradłeś mi – siebie. Nie będę cię skazywać na dożywotnie więzienie, czyli życie ze mną. Żądam tylko odszkodowania czyli pieniędzy. Mówisz, że ich nie masz, że komplikuję i obrzydzam ci życie. Oczywiście, masz rację. Taki mam zamiar. Nie sądziłeś chyba, że będę wam dwojgu sypać róże pod nogi. Będę was gnębić. Nic mnie nie obchodzi, skąd weźmiecie le pieniądze. Są mi potrzebne, żebym mogła się jakoś urządzić”.

Tak niewątpliwie mogła przemawiać Jolanta, kiedy prowadziła zdrajcę do adwokata. Tak rozumuje i tak postępuje pewien typ kobiet. Ale ten typ kobiet popełnia też pewne błędy. Zanadto przeciąga strunę. Zobaczmy później, czy to się sprawdzi na przykładzie Jolanty Kordes.

Owe dokumenty to jeszcze nie wszystko, co z gruzów życia rodzinnego Protów wygrzebał Chmura. Mam przed sobą także inne urzędowe stwierdzenia.

Dwa z nich powstały mniej więcej w rok po rozwodzie Jolanty i Michała. Jedno pochodzi z Urzędu Probierczego na Elektorальной, adresatem zaś jest Jolanta Kordes. Widocznie w tym czasie, dotrzymując zobowiązania wobec swojego eksmęża, używała już wyłącznie panieńskiego nazwiska, którym zresztą nigdy nie przestała posługiwać się w swojej pracy dziennikarskiej i literackiej. Urząd pisze:

„Przedłożone nam do ekspertyzy wyroby: pierścionek, bransoletka,

wisiorek na łańcuszku oraz kolczyki wykonane są ze stopu metali nieszlachetnych, bardzo cienko pozłacanego. Jest to imitacja osiemnastowiecznego wzoru”.

Spółdzielnia „Ingram”, mieszcząca się na rogu Litewskiej i Marszałkowskiej tak ocenia kamienie, wprawione w ten stop:

„Egzemplarze przedłożonej nam do ekspertyzy biżuterii zawierają fałszyfikaty brylantów i szmaragdów. Są to syntetyki”.

Podpisy. Pieczętki.

Wszystko jak należy, na życzenie pani Jolanty Kordes, aby mogła... Właśnie, aby co mogła zrobić? Co biedaczka miała zrobić, gdy poprzednio pochopnie i łatwowiernie wręczyła Michałowi Protowi pokwitowanie takiej treści:

„Niniejszym potwierdzam, iż otrzymałam od Michała Prota garnitur biżuterii, składający się ze złotej bransoletki, pierścionka, kolczyków oraz wisiorka z łańcuszkiem, wysadzanych brylantami i szmaragdami. Wartość szacunkowa kompletu z uwagi na walory artystyczne wynosi 120 000 złotych.

Stwierdzam ponadto, iż tym samym wygasają wszelkie moje roszczenia finansowe w stosunku do Michała Prota poza płatną co miesiąc sumą 1000 złotych tytułem alimentów dla naszego syna Andrzeja.

Jolanta Kordes”.

Poprzednio, kartkując dokumenty w teczce, nie zauważyłam tego kwitu. Obecnie wysunął się spod ekspertyzy „Ingramu”, stwarzając swoim istnieniem nową zagadkę, stawiając nowy znak zapytania. Kto tu kogo oszukał? Czy Michał Prot, likwidując swoje zobowiązania wobec byłej żony, wręczył jej fałszywą biżuterię, niewartą

może i tysiąca złotych? Czy też Jolanta zaniósła do ekspertyzy garść bezwartościowych szkiełek, aby móc nadal absorbować swoim istnieniem i swymi pretensjami nowe stadło małżeńskie państwa Protów? Mogły też istnieć jeszcze inne wersje tej sprawy. Skąd Prot wziął tę biżuterię? Może ją nabył w dobrej wierze od jakiegoś oszusta, może odziedziczył po kimś z rodziny, kto dawno już temu, będąc w potrzebie wymienił klejnoty na szkiełka? A może to cudowne przemienienie się antycznych cacek w podrobione świcidelka nastąpiło już wówczas, gdy znalazły się w posiadaniu Jolanty? Odłożyłam kwit. Po cóż będę fantazjować, na pewno Chmara postarał się o wyjaśnienie tej zawilej kwestii, skoro w ogóle nią się zajął. Dowiem się o tym we właściwym czasie.

Następne stwierdzenie urzędowe, jak gdyby zamykająca cykl dokumentów, obrazujących sprawę rodzinne Protów, dotyczyło Andrzeja, syna Jolanty i Michała. Nosiło datę najpóźniejszą ze wszystkich poprzednich i składało się z kilku kartek.

Kartka pierwsza zawierała wyciąg z wyroku sądu, zrobiony wiadczenie na życzenie Chmury. Czerwonym ołówkiem podkreślone w nim były następujące zdania:

„...z uwagi na wysoce szkodliwy społecznie charakter przestępstw, dokonanych przez oskarżonego oraz brak gwarancji należytej opieki rodzicielskiej...

...Sąd orzeka umieszczenie nieletniego Andrzeja Prota w domu poprawczym aż do chwili uzyskania przez niego pełnoletności, to znaczy na przeciąg lat trzech...”

Dwie kartki przypięte spinaczem do wyroku stanowiły wyciąg z protokołu sądowej rozprawy i zawierały fragmenty zeznań obojga rodziców podsądnego. Odpowiedzi Jolanty Kordes i Michała Prota,



udzielane sądowi, całkowicie usprawiedliwiały tę część werdyktu, który poddawał w wątpliwość ich rodzicielskie kwalifikacje wychowawcze.

Oto, co mówiła Jolanta Kordes, odpowiadając na pytania sędziego Józefa Bylicy:

Sędzia: Kiedy zaczęły się pani trudności wychowawcze z synem?

Jolanta: Straciłam na niego całkowicie wpływ po rozwodzie z mężem.

Sędzia: W czym to się przejawiało?

Jolanta: Robił mi na złość. Wystarczyło, żebym kazała mu coś zrobić, natychmiast postępował odwrotnie. Wagarował, nie uczył się, chociaż poprzednio miał dobre stopnie. Został na drugi rok w tej samej klasie. Nie pomogły żadne korepetycje. Uciekał z domu czasami na kilka dni.

Sędzia: Dokąd uciekał i jak wracał? Czy pani go sprowadzała do domu siłą?

Jolanta: Różnie bywało. Czasami nocował u kolegów, czasami wypuszczał się z nimi na włóczęgę, jak to oni nazywali „w Polskę”, ale najczęściej uciekał do ojca. Nie zawsze wiedziałam o tym od razu, nie informowano mnie. Na przykład w związku ze swoją pracą jego ojciec przebywa często w plenerze, kiedy kręcą jakiś film. Oczywiście to było o wiele ciekawsze dla Andrzeja niż wielogodzinne wysiadywanie w szkole i odrabianie lekcji. Na początku okropnie denerwowałam się. Dzwoniłam do wszystkich kolegów i koleżanek. Nieraz od nich dowiadywałam się, gdzie jest. To było dla mnie bardzo bolesne i żenujące. Jeżeli nie udawało mi się niczego dowiedzieć tą drogą, szukałam go przez milicję. Parę razy milicja mi pomogła, sprowadziła go do domu. Wtedy powiedział, że jeżeli

jeszcze raz to się powtórzy, nie zobaczę go więcej albo zrobi mi taki skandal, że żyć mi się odechce. Więc dałam spokój. Po prostu czekałam. Czekałam, aż wróci.

Sędzia: I kiedyś nie wrócił.

Jolanta: Tak. To było miesiąc temu, kiedy go aresztowano z całą tą bandą...

Sędzia: Za napad rabunkowy na dom ogrodnika Rososza, podczas którego zginął człowiek. Stara bezbronna kobieta.

Jolanta: Ale to przecież nie mój syn ją zabił..

Sędzia: Nie zostało udowodnione, kto ją pchnął finką. Jeden zwała winę na drugiego. Ale finka należała do pani syna. I to on powiedział: „Róbmy koniec”,

Jolanta: Miał na myśli chyba wycofanie się z napadu. Nie wierzę, żeby mógł zrobić coś takiego.

Sędzia: Przewód sądowy to wyjaśni. Proszę mi jeszcze powiedzieć, skąd pani syn brał pieniądze na te swoje eskapady?

Jolanta: Z początku dawałam mu trochę pieniędzy, żeby zapobiec próbom z jego strony zdobywania środków w sposób niewłaściwy...

Sędzia: Ile mu pani dawała, jak często?

Jolanta: Sto, dwieście złotych tygodniowo. Potem żądał więcej. Twierdził, że mu nie wypada świecić pustą kieszenią. Ale ja nie mogłam mu już więcej dawać. Warunki finansowe mi na to nie pozwalały.

Sędzia: Wtedy zaczął podkraść w domu to i owo... Pieniądze, rzeczy. Ostatnio podobno miał większą sumę, był hojny dla swoich wspólników. Zrobili wyprawę do Zakopanego, hulali tam nie najgorzej.

Jakieś nieznajomej dziewczynie, przygodnie poznanej w pociągu, ofiarował pierścionek... Podobno cenny.

Jolanta: Nic mi o tym nie wiadomo. Może ojciec mu dał.

Sędzia: Pani nie zgłaszała milicji żadnej większej kradzieży w domu?

Jolanta: Nie.

Sędzia: Pani mówi, że ojciec mu dawał pieniądze. Pan Prot płacił pani tysiąc złotych miesięcznie na utrzymanie syna.

Jolanta: Andrzej był przyzwyczajony do dobrobytu, nigdy niczego mu się nie żałowało, miał wszystko od najmłodszych lat, o czym tylko zamarzył. Po rozwodzie nie mogłam już mu zapewnić takiej stopy życiowej. Moje własne zarobki nie są duże...

Sędzia: Czy pani dawała synowi do zrozumienia, że odejście męża spowodowało te trudności życiowe?

Jolanta: Nie miałam powodu, by to przed nim ukrywać. Ze strony mojego męża to była złośliwość, to była specjalna taktyka... to dawanie mu pieniędzy bez mojej wiedzy i zgody. Nieraz chciałam, żeby mi dodał, kiedy trzeba było coś Andrzejowi kupić. Ale on wolał tę sumę albo jeszcze większą dać mu do ręki na „zachcianki”, jak mówił. I kazał mu to przede mną ukrywać. Chciał mnie z Andrzejem poróżnić. Chciał, żeby mnie syn znieawidził. Podrywał mój autorytet. Napuszczał go na mnie. On go po prostu demoralizował. Syn uczestniczył w różnych jego hulankach i eskapadach. Wystarczyło, żeby podjechał pod dom swoim mercedesem i zagwizdał z dołu, a Andrzej już rzucał wszystko w kąt i leciał jak szalony...

A oto dialog Michała Prota i sędziego Bylicy:

Prot: Niestety, proszę Wysokiego Sądu, to nie ja demoralizowałem syna, lecz jego matka, moja była żona. Wypada żałować, iż wbrew moim protestom podczas rozvodu sąd przyznał opiekę nad synem jej, a nie mnie. Ja mam życie rodzinne obecnie ustabilizowane, ożeniłem się, w domu moim panuje ład i porządek, bywa w nim dużo interesujących osób ze sfer artystycznych. Niewątpliwie te warunki stanowiły dla Andrzeja atrakcję. Za każdym jednak razem, gdy szedł do mnie, matka robiła mu piekielne awantury. Oskarżała mnie o Bóg wie co. Dzięki zarobkom moim i obecnej mojej żony oraz dzięki jej gospodarności nieźle się nam powodzi. Mamy samochód. Rzeczywiście, często zabierałem chłopca na przejażdżki i wycieczki, chciałem go wyrwać z ponurej i zgniłej atmosfery tamtego domu... Andrzej bardzo zaprzyjaźnił się z Mariolą, moją obecną żoną. Jego matka zaniedbywała go. Ileż to razy przychodził do nas brudny i obdarty. Moja żona przyszywała mu brakujące guziki przy ubraniu, czyściła plamy na płaszczu, kupowała skarpetki.

Sędzia: Pan uważa, że matka nie zajmowała się synem w sposób właściwy? Może po prostu nie było jej na to stać.

Prot: Byłoby ją na to stać, gdyby prowadziła inny tryb życia. Zarabia pisaniem, chyba nie najgorzej. Do tego tysiąca, który ja płaciłem regularnie co miesiąc, powinna była dokładać drugi tysiąc. Za dwa tysiące można utrzymać chłopca. Ale jeżeli ktoś utrzymuje jeszcze osobę trzecią i stawia wymagania tej osoby ponad wszystko inne...

Sędzia; Przecież pana była żona, pani Kordes, nie wyszła po raz drugi za mąż.

Prot: Tym gorzej. Pan Nieczuństwo, jej kochanek, wcale się do tego

nie palił, żeby się żenić. Poznał dość dobrze charakter mojej byłej żony, kiedy pracował razem z nią nad scenariuszem. To kobieta bezwolna, bierna, nie umiejąca zorganizować sobie ani życia, ani domu. Przepraszam za określenie: „bałaganiarka”. Ani poczucia czasu, ani świadomości wartości pieniądza. Nigdy w życiu nic jej się nie udawało. Nawet placek, jeżeli już brała się, co nie daj Boże, do kucharzenia. Lubi mówić, że ma pecha. Ale ten pech po prostu tkwi w niej samej, w jej stosunku do ludzi, do otoczenia. Trudno znieść bez przerwy jej utyskiwania, narzekania, lamenty. Zawsze ma wszystkim wszystko za złe. Że ktoś inny ma talent, powodzenie w miłości, że komuś się coś udało. Zawsze niezadowolona, z takim kwaśno-gorzkim uśmiechem na ustach. Jej zawiść jest po prostu patologiczna. O ile mi wiadomo, bo mówi się o tym w sferach filmowych, pan Gustaw Nieczułło miał jej dość, podobnie jak ja swego czasu. Od kiedy się poznali, miał już niejedną nową sympatię. Na to potrzeba pieniędzy, a on, niestety, nie jest wielkim reżyserem, ani nigdy nim nie będzie. Więc zarabia miernie. Moja ekszona usiłowała utrzymać go przy sobie, nie żałując grosza na jego wszystkie zachcianki.

Sędzia: Czy pan Nieczułło mieszka razem z panią Kordes? Jakie były stosunki pomiędzy nim i pańskim synem?

Prot: Stosunki były jak najgorsze. Andrzej nie znosił tego typu, wiele razy mówił o nim z największą pogardą, chociaż Nieczułło robił, co mógł, żeby zdobyć sobie sympatię mojego syna, zapewne za namową pani Kordes. To on zresztą nauczył Andrzeja palenia papierosów i picia alkoholu. A czy mieszka na Finlandzkiej, trudno mi powiedzieć. W każdym bądź razie często tam nocuje i przesiaduje

całymi dniami, to wiem na pewno. Opowiadał o tym niejednokrotnie mój syn. Właśnie wtedy uciekał z domu. Nie chciał patrzeć na to, co się działo, nie chciał wysłuchiwać kłótni pomiędzy matką i jej, co tu dużo mówić, utrzymankiem.

Sędzia: Czy w rozmowach z synem krytykował pan postępowanie jego matki?

Prot: Oczywiście. Nie mogłem przecież pozwolić na to, by brał sobie ten tryb życia za wzór. W młodości trzeba wyrabiać krytycyzm w stosunku do otoczenia.

Sędzia: Czy nigdy nie zwracał pan synowi uwagi, że źle robi, zaniedbując obowiązki szkolne i przebywając w niewłaściwym towarzystwie?

Prot: Dzisiejsza młodzież kwituje wszelkie pouczenia dorosłych słowem „trucie”. Nie chciałem zniechęcać do siebie syna nadmiernym moralizowaniem. Poza tym uważam, że młodzież musi się wyszumieć. Musi zakosztować samodzielności. Ja też jako chłopiec byłem krnąbrny, a jednak osiągnąłem w życiu powodzenie. Mogę śmiało powiedzieć: zrobiłem karierę. Z przykładowych uczniów rzadko wyrastają wielcy ludzie.

Sędzia: Ale tym razem samodzielność działania posunęła się chyba zbyt daleko, czy nie sądzi pan?

Prot: Oczywiście. Ale ja w tym wypadku nie poczuwam się absolutnie do winy. Gdyby miał inną matkę, nie doszłoby do tego.

U dołu ostatniej kartki pozostało jeszcze sporo nie zapisanego miejsca. Wypełnił je Chmura adnotacją, dokonaną czerwonym ołówkiem: „Koniecznie przesłuchać Andrzeja Prota. Według informacji kierownika zakładu poprawczego, w dniu morderstwa Andrzeja nie było w zakładzie. Sprytnie zorganizował ucieczkę, lecz

wrócił dobrowolnie po dwóch dniach, twierdząc, że musiał zobaczyć się z matką”.

## 6.

Odłożyłam na bok przestudiowane kartki. Przedemną piętrzył się jeszcze spory stos do przeczytania. Stanowczo Chmura bawi się ze mną w zagadki. Przed wręczeniem mi tej teczki musiał chyba starannie i podstępnie przemieszać jej zawartość. Przecież wykluczone, żeby normalne, porządne śledztwo zaczynało się od lirycznych opisów dziezmolsko-meksykańskiej hacjendy naszych sław filmowych, opisów tracących kiczem, a być może, po prostu wiernie opisujących kicz. I zaraz potem Chmura serwuje mi rodzinny melodramat, damsko-męski kwadrat, w środku którego, w miejscu przecięcia się przekątnych, beznadziejnie zaplątał się piętnastoletni smarkacz.

Porządne, normalne śledztwo powinno się zaczynać od protokołu, sporządzonego przez milicjanta z najbliższego posterunku i zaczynającego się od słów: „Zapodaję niniejszym, iż dnia 5 września zawezwany zostałem telefonicznie o godzinie 21 do domu w Dziezmoli przy ulicy Skowronków 17 przez właściciela wyżej wymienionej posesji obywatela Barsa Sławomira na okoliczność morderstwa, popełnionego na osobie...”

Potem powinien nastąpić szczegółowy opis sytuacji, jaką zastał wezwany funkcjonariusz MO, środki przez niego przedsięwzięte dla zabezpieczenia ewentualnych śladów, związanych z popełnioną zbrodnią, i uwaga końcowa, dotycząca przejęcia dalszego śledztwa przez czynniki wyższe. A tu nic z tego. Nawet jeszcze nie wiem, kto został zabity...

Ale oto najwidoczniej kapitan Sebastian Chmura zdecydował, że dość już wystawiania mojej cierpliwości na próbę. Mam przed sobą spory plik kartek. Jest to maszynopis. Na jego pierwszej stronie widnieje tytuł:

### Tragedia w Dzieźmoli

oraz wyjaśnienie dopisane ręcznie przez Chmurę:

„Na moją prośbę uczestnik przyjęcia w Dzieźmoli, Paweł Bodziaczek, opisał dokładnie przebieg zdarzeń tego popołudnia, kiedy popełnione zostało morderstwo. Paweł Bodziaczek jest z zawodu pisarzem; uważałem, że jego pisarska intuicja i spostrzegawczość mogą nam wyświecić wiele szczegółów, które zatraciłyby się w toku urzędowych przesłuchań. Obywatel Bodziaczek zgodził się na moją propozycję. Przyznał, że będzie się czuć w tego rodzaju wypowiedzi bardziej swobodnie niż w trakcie krępującego przesłuchania, stwarzającego nerwowe napięcie. Oczywiście traktuję ten literacki opis nieoficjalnie, wyłącznie jako materiał pomocniczy. Nie stanowi on materiału dowodowego i nie zaliczam go do protokołów śledztwa”.

Rozumiem, że Chmura musiał się tak obwarować przed ewentualnymi zarzutami przełożonych czy kpinami kolegów, że bawi się w literaturę, zamiast prowadzić sprawę zgodnie z przepisami i zdrowym rozsądkiem. A może próbował w ten sposób rozwiązać własne wątpliwości? Czy bowiem relacja osoby, niezaprzeczenie uwikłanej w cały splot powiązań między uczestnikami fatalnego przyjęcia, może być w pełni wiarygodna?

Nie wiem. Ale zobaczmy, co pisze o tragedii w Dzieźmoli Paweł Bodziaczek, nasz pisarz, skrywający za maską angielskiej spleenowanej flegmy nerwową rozterkę – komu i czemu ma służyć jego



twórczość. Jak pisać, gdzie pisać, za kim i przeciwko komu, o czym, co, ile i za ile? O czym milczeć, jak milczeć, z kim milczeć i dla kogo? Zawiała kalkulacja. Nic dziwnego, że Bodziaczek chodzi stale sfrustrowany.

A więc Paweł Bodziaczek, z wykształcenia polonista, z zawodu pisarz, kierownik literacki zespołu filmowego „Wir”, urodzony w Warszawie, w wieku około pięćdziesiątki, żonaty, lecz trzymający żonę i córeczkę na uboczu wyłącznie do użytku prywatnego; lekko łysiejący szatyn o szarych oczach, właściciel trzypokojowego mieszkania spółdzielczego na Mokotowie i domku kempingowego nad Zalewem Zegrzyńskim; spędzający marzec w Zakopanem, czerwiec w Kazimierzu, wrzesień w Bułgarii lub Jugosławii, godziny południowe dni powszednich w kawiarni literackiej, a wieczorne w SPATiF-ie. Gra w tenisa, pali tylko angielską fajkę Dunhilla nabitą tytoniem amerykańskim; flirtuje z rozmysłem, na zimno dobierając partnerki; pije, ale nigdy się nie upija; jeździ zielonym alfa romeo kupionym podczas dłuższego pobytu na zagranicznym stypendium; na wszelkich naradach zabiera głos pod koniec, przemawiając krótko, w bok od tematu i tak niejasno, że nikt nie może do niego o nic mieć pretensji. I jeszcze: wiedział, kiedy należy w porę wycofać się z nazbyt czynnego udziału w życiu politycznym na teren ziemi ni-czyjej, pasa międzygranicznego. W szufladzie hoduje podobno niewydane dzieła. Twierdzi, że nie puszcza ich cenzura, koledzy obstają przy wersji, że odrzuciły mu je wszystkie kolejne wydawnictwa. Tego oczywiście nie ma w różowej teczce Chmury – po prostu mnie osobiście przypomina się to i owo, gdy widzę kunsztownie wykali-grafowany na końcu maszynopisu podpis: Paweł Bodziaczek. Paweł

Bodziaczek chyba pierwszy raz w życiu napisał utwór, którym ani chęłpić się nie może, ani go w żaden sposób spieniężyć. I pewno srodze nad tym boleje. Chyba że przy tej okazji załatwi z kimś jakieś porachunki.

Oto owe dziełko. Oto opisana przez Pawła Bodziaczka

### Tragedia w Dzieżmoli

»Nic smutniejszego niż przyjęcia u Barsów. I nudniejszego zarazem. Tak bywa, kiedy spotykają się ludzie, którzy zbyt dobrze się nawzajem znają – przy tym od nie najlepszej strony. Oczywiście niepisany kodeks towarzysko-zawodowy nakazuje trzymanie języka za zębami pod hasłem nieświadomie, lecz żywcem wyjętym z „Doktora Faustusa” Tomasza Manna: „Wiesz-li co, zmilcz”. Doprawdy, iście diabelski nakaz, lecz zarazem jedyna formuła umożliwiająca wygodną egzystencję na naszym Parnasie. Jeśli ktokolwiek niebacznie wyrwie się z jakąś rewelacją, śmiało może spisać swoją osobę na straty w artystycznym świecie. To nic, że poparcelowani jesteśmy na klany i kliki, wzajemnie sobie częstokroć wrogie, o rodowodach przypominających poskręcane fantastycznie korzenie tatrzańskich świerków, o parantelach jawnych i skrytych, o zależnościach historycznych i rodzinnych, ideowych lub czysto pekuniarnych; że nakładające się na siebie kolejno, jak geologiczne warstwy, okresy społeczno-polityczne ukształtowały nas na swoje podobieństwo – a więc różnorodnie, porzucając nas po drodze w momencie swego zaniku i skazując na dalsze trwanie w warunkach całkowicie odmiennych i nie zawsze nam sprzyjających. Im krótsze są te okresy, im szybciej następują po sobie, im bardziej odcinają się od poprzednich i bronią się przed jakimkolwiek związkiem z nimi, tym gorzej dla nas, twórców,

w których każdy z tych okresów pragnąłby mieć swoich piewców. Zbyt gwałtowne kołysanie okrętu nie stwarza warunków ani do pisania wierszy, ani do malowania obrazów, ani śpiewania arii operowych. Trudno także o twórcze uniesienie, gdy okręt osiada czasami na mieliznie. Jak chwalić mieliznę? W tych warunkach, między miotaniem się po fali i mielizną, następuje w środowisku twórczym dwojakiego rodzaju reakcja. Z jednej strony mimikra – znane w świecie przyrody zjawisko przystosowania się do otoczenia. Nazywa się to u nas różnie: oportunistem, konformizmem, lizusostwem, karierowiczostwem. Niektórzy alibiści twierdzą, że spełniają po prostu zamówienie społeczne – ale to nie zawsze jest prawdą. Zamówić społecznie można odpowiedni asortyment obuwia w różnych kolorach i o odpowiedniej numeracji. Pod zamówienie społeczne podkłada się u nas albo wykoncypowaną przez urzędników formułkę, albo podsumowanie przypadkowych ankiet i listów napływających do radia, telewizji czy różnych redakcji. Zamówienie to ogłaszane jest często przez recenzentów różnych branż – ale i ono jest kłamliwe. Przynajmniej w większości wypadków. Recenzenstwo u nas stanowi wypadkową osobistych ambicji (często nie zaspokojonych ambicji twórczych), interesów poszczególnych ugrupowań twórczych, snobizmów obcego chowu i nałogu zwykłego, pieniaczkiego krytykanctwa. Zamiast o „zamówieniu społecznym” najeżałoby mówić o „społecznej, narodowej potrzebie” – tak jak rzeczą nie do zdefiniowania w wytycznych „konkursu na zaangażowaną powieść o osiągnięciach dwudziestopięciolecia w dziedzinie produkcji elementów prefabrykowanych – chociaż każdy rozsądny obywatel wysoko sobie ceni postępy w tej ważnej dziedzinie. Sztuka, stanowiąca

istotną, narodową, społeczną potrzebę jest chyba bliższa medycynie niż referatom na okolicznościowych akademiach. To i bezlitosny skalpel chirurga, i analiza chorych tkanek, i bakteriologia, i diagnoza, i profilaktyka, i psychoanaliza, i lekarstwo tym skuteczniejsze, im bardziej gorzkie przy zażywaniu. A cóż wspólnego ma z tym to wszystko, co dziś tworzymy? Wielu i coraz bardziej wielu, z nas przypomina wraz ze swymi tworamia nać, wyrastającą na wiosnę z kartofli w piwnicy. Błade, brzydkie, długie i kruche pędy z wysiłkiem ciągną się ku odrobinie światła w okienku.

To z jednej strony. A z drugiej dopomina się o swoje instynkt samozachowawczy, instynkt samoobrony. Na podobnej zasadzie, na jakiej w średniowieczu dla ochrony interesów określonego środowiska powstawały konfraternie i cechy, pilnie strzegące zawodowych tajemnic, i my, tak różni i skłócen, wytworzyliśmy bez jakiegokolwiek umowy pisanej, bez uchwał i głosowania, samorzutnie i mechanicznie, nawet czasami bez uświadamiania sobie tego faktu – pewnego rodzaju cech. Zamknięty, izolowany, hermetycznie odgrodzony od ingerencji z zewnątrz. Oczywiście nie jest to zjawiskiem dodatnim. Zaczynamy przypominać coraz bardziej nurków, zanurzonych w batyskafie w głębinach morza. Obserwujemy życie podwodnych stworzeń, przepływających wokół nas, ale, dalibóg, nie poznawalne są dla nas cele, ku którym one zmierzają, przyczyny nakazujące im poruszać się w określonych kierunkach, sposoby ich porozumiewania się między sobą. Tak ja na przykład idę sobie czasami ulicami Warszawy wśród tego najgęściejszego tłumu, który koło godziny czwartej ,przetacza się dwiema lawinami przez skrzyżowanie Kruczej i Alei Jerozolimskich i pytam siebie: kim są ci ludzie?

Co myślą? Jakie mają cele? Jak żyją? Czy ktokolwiek z nich czytał choćby jedno zdanie z moich utworów? Czy z kimkolwiek z nich znalazłbym wspólny język? I – ponieważ nie umiem odpowiedzieć sobie na te pytania – ogarnia mnie przerażenie i rozpacz.

A więc – ta cechowa ekskluzywność, to odgrodzenie się i ode-  
rwanie zarazem od otoczenia, abyśmy mogli zachować wolność  
twórczą, bodącą rzecz jasna tylko naszym złudzeniem – rodzi także  
swoistą cechową solidarność. Właśnie owego mannowskiego diabła,  
na którego powołałem się na początku. Tego, który proponuje nam,  
zmowę milczenia o naszych profesjonalnych i osobistych sprawach  
wobec ludzi z zewnątrz. I nie tylko profesjonalnych – o wielu in-  
nych, ważnych, ogólnych sprawach także.

Co grozi łamiącym ów zakaz? Oczywiście nikt ich nie zakuwa w  
kajdany ani nie poddaje torturom. Ale to, co się z nimi dzieje, ozna-  
cza dla twórcy tyle samo, co śmierć – a może coś więcej. Bo znika  
nie tylko twórca, lecz także jego dzieło. To, które stworzył, i to tak-  
że, które mógłby jeszcze stworzyć. Jest to więc niejako śmierć na  
wyrost, umieranie w przyszłość. Wszystkie dziedziny naszej sztuki  
obfitują w takie grobowce. Różne się stosuje metody wobec takiego,  
który skalął artystowskie gniazdo. Czasem jest to uporczywe, twarde  
i bezlitosne potępienie – słowem i drukiem. Bywa kpina podawana z  
ust do ust, czasem jedno słowo, jedna insynuacja, obrastająca w  
miarę rozpowszechniania się jak podwodny kamień wodorostami –  
śliską, powiewną płataniną plotek, kłamstw i domniemań. Bywa i  
donosik, podsunięty tu i ówdzie, skąd spłynąć może na szczonego

niełaska. Zarówno ta niełaska, jak izolacja w twórczym środowisku znaczą bardzo wiele. Nikt z nas nie żyje właściwie z twórczości w czystym tego słowa znaczeniu. Najistotniejsze są tak zwane „boki”. Jakieś doradztwo, jakieś recenzje, jakiś udział w jury, jakaś audycja, ekranizacja, tłumaczenie zagraniczne, jakiś wyjazd z delegacją, jakieś stypendium, jakaś nagroda, drugie i trzecie wydanie, premia, jakaś często fikcyjna „spółka”, ileś tam autorskich wieczorów – udział w kolegium redakcyjnym tu i ówdzie – to są źródła naszego istnienia. A tu: ktoś się skrzywił, ktoś bąknął: „może lepiej nie”, ktoś mruknął, że są jakieś tam zastrzeżenia – i żegnaj, kieso. A nie wydrukowanym wierszykiem nie zapłacisz rachunku za światło ani za mieszkanie.

Najbardziej jednak dotkliwą karą jest milczenie. Za gadatliwość – milczenie. Milczenie o twórcy – to jest właśnie kara główna, której lękać się należy najbardziej. Niby istniejesz, niby coś robisz, a tu właściwie nie ma ciebie. Jeden próbuje to przetrwać, licząc na większą przychylność w przyszłości – drugi się załamuje.

Dlaczego o tym wszystkim piszę tak szczerze? Tak otwarcie, że chyba to zakrawa na swoisty ekshibicjonizm? Po pierwsze dlatego, że – jak zapewnił mnie pan kapitan Chmura – ta moja spowiedź nie ujrzy światła dziennego, pozostanie w archiwach komendy. Po drugie dlatego, że w moim własnym interesie leży wyjaśnienie tajemnicy morderstwa w Dzieźmoli, gdyż jestem jednym z podejrzanych – a tajemnicy tej nie da się wykryć inaczej, jak sięgając w głąb stosunków, panujących w naszym gronie. Trzeba zrozumieć atmosferę, w jakiej żyjemy i w jakiej wychylaliśmy również kieliszki znakomite zamrożonego szampana owego fatalnego popołudnia, aby zaryzykować

skonkretyzowanie oskarżenia pod adresem kogokolwiek z nas.

Stanowiliśmy piękne grono osób nie tylko świadomych wzajemnie wszystkich grzechów i grzeszków, ciężących na naszych sumieniach, lecz także gotowych w każdej chwili do utopienia co najmniej kilku pozostałych uczestników *garden party* w łyżce wody. Ale przecież spotykaliśmy się tak już nieraz. Spotykaliśmy się nawet bardzo często w tym samym lub prawie identycznym komplecie i nigdy do żadnego zamachu na czyjekolwiek życie nie doszło. Nie doszłoby też do zbrodni i tym razem, gdyby nie został zagrożony nasz opiekuńczy diabeł: nasza cechowa solidarność. Gdyby nie postawiono nas wobec» perspektywy załamania się naszej zmywy milczenia. Jednym słowem – przyjęcie u Barsów z okazji piątej rocznicy ich ślubu byłoby jeszcze jednym tuzinkowym, nudnym, aczkolwiek wystawnym przyjęciem, które kwituje się ziewnięciem po powrocie do domu – gdyby Jolanty nie opętało przekorne, powiedziałbym prowokacyjne wręcz gadulstwo.

Zaprosiła mnie na ów fajf osobiście Bożena Norska, Chciałbym zwrócić uwagę adresatów niniejszej relacji, iż na ogół nie jest przyjęte w naszych sferach, aby kobiety używały nazwisk mężowskich – chyba że to nazwisko jest jedynym atutem życiowym małżonki twórcy. O ile jednak kobieta jest czymś więcej niż tylko żoną i sama posiada jakąkolwiek pozycję zawodową, używa własnego nazwiska bądź pseudonimu. Mariola Protowa stanowi pod tym względem dość niezrozumiały wyjątek. Bożena natomiast starannie przestrzega konwenansu. Chodzi jej niby – podobnie jak innym – o podkreślenie, iż bynajmniej nie zawdzięcza swojej kariery artystycznej związkowi

z człowiekiem o ugruntowanej pozycji na Parnasie, iż jej to własna zasługa, gdy przy obsadzaniu ról w zaplanowanym filmie powiada się: „Tej roli mogłaby się podjąć tylko Norska!”. Bogać to prawda. W każdym razie nikt, kto pragnie dobrze do siebie ustosunkować naszą gwiazdę, nie powinien mówić o niej jako o „pani Barsowej”,

Bożena zadzwoniła do mnie w dniu poprzedzającym przyjęcie. Odczułem to jako pewnego rodzaju despekt. Kolejność zaprosin też się u nas liczy. Od kilku dni już wiedziałem o mającej nastąpić uroczystości rodzinnej Barsów. Zdradził mi ten sekret Tadeusz Firko, kierownik produkcji naszego zespołu „Wir”. Spotkaliśmy się w sekretariacie zespołu, gdzie odbierałem przeznaczone dla mnie do czytania maszynopisy scenariuszy. Zdziwiony, przyglądałem się trzem czy czterem teczkom, które wręczyła mi sekretarka. Koledzy po piórze nagabywali mnie już od dłuższego czasu w kawiarni Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu, zapytując o losy ich scenariuszy, złożonych w „Wirze”. Jedni, podejrzewali mnie o złośliwość, inni o kumoterstwo. Ktoś wręcz czynił mi niedwuznaczne propozycje podzielenia się ze mną honorarium, jeżeli „przepcham” mu jego dzieło do produkcji marzyły mu się wielkie afisze uliczne z jego nazwiskiem wydrukowanym ogromnymi literami jako rekompensata za doznane ostatnio niepowodzenia w dziedzinie poezji. Niestety, wśród doręczonych mi scenariuszy nie było maszynopisów, o które kolegom chodziło. W ogóle zauważyłem, iż w ostatnich tygodniach kierownictwo zespołu dba o to, abym się zbytnio nie przemęczał pracą. Zdarzało się coraz częściej, że wstąpiwszy do



lokalu zespołu lub telefonując z miasta, dowiadywałem się, iż nie mają dla mnie nic do opiniowania. Zbierało mi się na zasadniczą rozmowę z Barsem, ale on najwidoczniej unikał wyjaśnień. Okoliczności sprzyjały mu w tym uchylaniu się: to był za granicą, to „kręcił w plenerze”, to znów odpoczywał w domowym zaciszu. Tym razem zdenerwowałem się. Zacząłem robić wymówki Bogu ducha winnej sekretarce. Bąknęła coś niewyraźnie, że pan Dudko jeszcze nie, odesłał, a ja już miałem wybuchnąć, bo od kiedy to dochodzący z miasta recenzenci mają pierwszeństwo w dostępie do materiałów scenariuszowych przed kierownikiem literackim zespołu – gdy ktoś łagodnym, ale stanowczo hamującym gestem położył mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się. Był to Firko, którego nie zauważyłem dotychczas, zaabsorbowany moją sprawą i sytuacją, która z żenującej i niezręcznej zaczynała przekształcać się po prostu w jednoznaczną. Ktoś chce mnie stąd wyślizgać.

Firko stał trochę z boku koło stolika, przeznaczonego dla mniej ważnych interesantów, jedną ręką powstrzymując mnie przed zbyt pochopną awanturą, a w drugiej, trzymając telefoniczną słuchawkę. Skinieniem głowy dał mi do zrozumienia, żebym zamilkł, sam zaś kończył rozpoczętą rozmowę. Wynikało z niej, że darzy cenioną i zasłużoną firmę ogrodniczą pana Nowakowskiego z ulicy Pięknej nieograniczonym zaufaniem. Nie będzie się fatygował, by osobiście wybrać dwadzieścia jeden herbacianych róż, które mają być przesłane dnia 5 września o godzinie jedenastej rano w pięknym koszu pani Bożenie Norskiej do Dzieźmoli. Wierzy, iż pracownia pana Nowakowskiego zadba o odpowiedni kształt hołdu, który wierny sługa ośmiela się złożyć u stóp naszej sławy – tak jak firma nie wątpi,

że pan dyrektor Firko niezwłocznie ureguluje dość pokaźny rachunek.

– Na wiosnę posyłałeś jej orchidee – zauważyłem nie bez złośliwości, gdy odłożył słuchawkę.

Uśmiechnął się z wyrozumiałym poczuciem wyższości człowieka, który więcej wie niż jego rozmówca i w dodatku potrafi wyciągać z tej swojej przewagi maksimum korzyści dla siebie. Nie cierpię go za ten sarkastyczny uśmiech – iw ogóle go nie cierpię. Jego widok budzi we mnie zawsze uczucia mieszane: odrazy i czujnego niepokoju, może nawet podświadomego lęku. Wiem, że trzeba mieć się przed nim na baczności. Nigdy nie wiadomo, co knuje. Wysoki, chudy i kościsty, z zapadniętą piersią i ramionami pochylonymi ku przodowi, z ciemną i źle ogoloną twarzą, przypominającą pysk szakala ze staroegipskich wizerunków, o rozbieganych ciemno-burych oczkach, niedbale uczesany i niechlujnie ubrany – wzbudza we mnie nawet fizyczny wstręt. Wiem przy tym, że inni myślą o nim to samo i wiem także, iż on o tym wie, chociaż nic nie robi, aby usposobić do siebie otoczenie nieco przychylniej. I za to właśnie szuka na nas odwetu w rozmaity sposób, czyli, jak powiada dzisiejsza młodzież, daje nam w kość.

– Sam powiedziałaś: „na wiosnę” – mruknął z tajemniczym uśmieszkiem, jakby rozbawiony moją naiwnością czy też ignorancją – a teraz mamy jesień. Może na Nowy Rok warta już będzie tylko kaktusa...

Sekretarka parsknęła cichutkim, dyskretnym chichotem. Może sobie na to pozwolić. To „jego człowiek” w naszym zespole, dzięki czemu nic, co się tu dzieje, nie ukryje się przed okiem i uchem wszechwładnego Firki. Zgromił ją niemyim spojrzeniem i umilkła

natychmiast. Myślałem, że zaprosi mnie do swojego gabinetu i porozmawiamy o sprawach zespołu, które moim zdaniem szły ostatnio coraz gorzej i nie wróżyły pomyślnych perspektyw w najbliższej przyszłości. Myślałem, że przy filizance kawy i kubańskim cygarku, które namiętnie palił, dowiem się od niego najświeższych plotek, co pozwoli mi przewąchać, jakie stanowisko zajmuje Firko wobec mnie. Porcja bowiem i dobór gatunkowy plotek, udzielanych sobie wzajemnie w naszym środowisku, jest w pewnym sensie miernikiem pozycji człowieka. Gdy akcje jego na naszej giełdzie stoją wysoko, opowiada mu się o rzekomo czy naprawdę planowanych posunięciach odgórnych i projektowanych zmianach na wyższych stanowiskach. Osobom, przeznaczonym na złom, udziela się informacji o tym, kto z kim się rozwiódł albo właśnie rozwodzi. Gdy o niepowodzeniu jakiegś, dajmy na to, imprezy artystycznej rozmawia się z człowiekiem, dobrze widzianym przez decydujące czynniki, mówi się, że zawinili twórcy. Grymaszącym lub wręcz krytycznie do aktualnego politycznego kursu ustosunkowanym twórcom mówi się, że winien wszystkiemu jest ten właśnie kurs.

Moje oczekiwania nie spełniły się. Przyjaznym, lecz zdecydowanym gestem zmusił mnie do zajęcia miejsca przy stoliku dla natrętnych grafomanów i aktorek, daremnie dobijających się o jakąkolwiek rolę w najbliższym filmie. Stolik ten stoi w sekretariacie tuż obok skrzypiącego wieszaka, na którym wszyscy wieszają okrycia. Oczywiście tu nie ma mowy o żadnych poufnych zwierzeniach. Mówi się rzeczy zdawkowe albo przeznaczone dla powszechnej wiadomości. Toteż było mi bardzo nieprzyjemnie, kiedy tak niemal publicznie zagadnął:

– Czy masz już zaproszenie na ten wielki jubel u Barsów?

Na pewno wiedział, drań, że nie mam. To była jawna szykana z jego strony. Odpowiedziałem nonszalancko pytaniem na pytanie:

– To ma być taki wielki jubel?

– Podobno. Z racji tej prześmiesznej, między nami mówiąc, nagrody na festiwalu w Limonie. Podobno pół Warszawy wybiera się do Dzieźmoli. A ty? – Ponaglał, naciskał, nie dawał za wygraną. Koniecznie musiał mnie pogięć i upokorzyć. Chciał, żebym się przyznał do afrontu, jaki mi zrobili Barsowie.

Powiada się u nas: „Jak cię nie zagryzą, to cię zlizą”. Postanowiłem nie dać się zjeść ani w pierwszy, ani w drugi sposób. Jeżeli się chce utrzymać na powierzchni, nie zaś iść na dno wraz z całym stadem piszących (może nawet zdolnych) niedorajdów i safandulów, biernych, a więc i bezbronych – należy ruszać się żwawo. Atakować i kontratakować. Podgryzać innych i nie być ostatnim w kolejce do „zlizywania” ofermy z areny. To nieprawda, że się ocaleje, jeżeli będzie się stało z boku i uprawiało w cichości ducha swój ogródek. Zadepczą ci go, jeżeli ty przedtem nie zdemolujesz grządek sąsiada. Nie skłóceni z nikim są obcy wszystkim. Obcy, a zatem obojętni. Skoro zaś obojętni, nikomu nie zależy na tym, aby pozwolić im żyć i tworzyć. A już broń Boże – wybić się ponad przeciętność. Tak więc: nie defensywa, lecz nie przebiegająca w środkach ofensywa. Odprowadziłem cios ostro, chociaż usiłowałem nadać mojemu głosowi ton skrajnego znudzenia:

– Nagroda? Masz rację, rzeczywiście nie ma się czym chwalić. Raczej miła uroczystość rodzinna z powodu piątej rocznicy ślubu.

Tak mi się przynajmniej zdaje, o ile pamiętam. Gdybym nawet dostał zaproszenie, nie wiem, czybym z niego skorzystał.

Obojętna maska drgnęła. Pojawił się na niej wyraz zainteresowania. Firko przyglądał mi się uważnie i badawczo. Nie pomyłę się, jeżeli odtworzę tok jego myśli w jaki mniej więcej sposób: „Oho, to i on już coś słyszał. Wiadomo, szczury uciekają z tonącego okrętu. Ostatnie zdanie, które wypowiedział, świadczy również o tym, że musi mieć w kimś gdzieś oparcie. Albowiem odrzucenie zaproszenia Barsów oznacza zerwanie z nimi. A zerwanie to odejście z zespołu. Kierownictwo literackie zespołu filmowego nie jest posadą, którą porzuca się bez zastanowienia. Taka posada świetnie plasuje faceta w środowisku. Tylko dlatego koledzy drukują mu w pismach, jego wypociny, że liczą na jego protekcję w «Wirze». Znaczyłoby to, że Bodziaczek, ma w zanadru coś przynajmniej nie gorszego niż «Wir». A może coś lepszego? Trzeba będzie zbadać, z kim widuje się go ostatnio. I czy jego żona, Skowronkiewiczówna, ma coś wspólnego z tym Skowronkiewiczem, który uczestniczył w naszej delegacji do ONZ? Bałwan z tego Barsa, że chce zamienić Bodziaczka na to zero kompletne, Dudkę. Może Bodziaczek przerósł ostatnio Barsa, a nasz Sławomirek tego nie lubi...”

Firko uniósł się z fotelika, ujął mnie przyjaźnie pod ramię i szepnął konfidencjonalnie:

– Chodźmy do mnie do gabinetu. Tam spokojnie sobie pogadamy.

Do sekretarki zwrócił się władczym tonem:

– Zrób nam dwie kawy. Kategorii S.

Już przy tej kawie, w jego gabinecie, kawie specjalnej, nie lurze,

którą podaje się przypadkowym rozmówcom, gdy otoczyliśmy się kłębamii dymu, ja – fajki, on – cygara, wyjaśniłem Firce mój punkt widzenia, licząc oczywiście na to, że przynajmniej część moich wynurzeń dotrze za jego pośrednictwem do Barsa, o co mi też chodziło. Niech ten pozer nie myśli, że uda mu się wyślizgać mnie bezszelestnie. Powiedziałem:

– „Wir” się kończy. Wiesz o tym lepiej niż ja. I Bars się kończy. Miał dwa czy trzy wielkie trafienia, ale to były fuksy. Wyczuł koniunkturę, a że zna rzemiosło, udało mu się. Wielki koncepcjonista to on nie jest. Już zaczyna się powtarzać, kiedy robi sam. Zarabia na debiutantach. Nawet nie wie, co oni tam kręcą, ale za nadzór forszę bierze. A ja muszę się szanować. Nie podobają mi się nasze plany produkcyjne na najbliższe lata. Jak Bars powiada – „zamierzenia artystyczne”. Żadnego artyzmu tam nie ma. Chała i szmira. I będzie z tego wielki klops Przede wszystkim finansowy. Ale w tym, co Bars przepycha na, kolegium, są role dla Bożenki. Tu leży pies pogrzebany. Nie mogłaby to ona grać w innym zespole, musi nas uszczęśliwiać? Powiedziałem o tym Barsowi. Odpływam. Mam kilka propozycji. W telewizji, w nowym miesięczniku, na placówkę mnie ciągną. Przy ONZ mógłbym się zgrabnie zaczepić. Ale jak się już z tego naszego „Wiru” wydostanę, to kropnę w „Kulturze” albo gdzie indziej wielki, zasadniczy artykuł, co myślę o sytuacji w naszym filmie. Dlaczego breja. Z własnych doświadczeń.

Gdybym naprawdę miał coś na widoku, nie puściłbym pary z ust, żeby mi nie naświniono. Ale z tym ONZ-tem to była oczywiście bujda. W telewizji próbowałem już sobie coś załatwić, lecz wielkich nadziei mi nie robiono. Miesięcznik to było najbardziej realne,

wszakże dział, który mi proponowano, nie miał żadnego znaczenia. Musiałem jednak bluffować. Poskutkowało.

W błysku przymrużonych oczu Firki dostrzegłem coś w rodzaju uznania. Protekcyjnalny ton schował na inną okazję. Po impertynencji nie pozostało śladu. Życzliwy kumpel i równy chłop rytmicznym ruchem głowy przytakiwał mojej diagnozie. Przy sposobności mogłem podziwiać, jak jego zmierzwione, zaniedbane włosy starannie przykrywają łysinkę na czubku głowy.

– Taak – powiedział przeciągle, akcentując owo „a” nieco z angielska – masz dużo racji w tym, co mówisz.

Ale nie wiem, czy wybrałeś dobry moment na te igraszki ze Sławomirem. Wiesz, że NIK siedzi nam na karku.

Wiedziałem, oczywiście. Inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli prawie nie opuszczali gmachu na Puławskiej. Czuli się już jak u siebie w domu. Bez przerwy grzebali w papierkach i niczym amatorów starożytności interesowało ich zawsze to, co miało dawniejszą datę.

– Co mi do tego – mruknąłem lekceważąco. – Nie będę świecił oczami za Barsa. Ani bronił istnienia „Wiru”. Wolę tu nie być, kiedy bomba pęknie.

Nie wspomniałem celowo, że nie zamierzam również stawać w szranki w obronie czci Tadeusza Firki. Bawmy się w sojuszników.

Miał pobłażliwą minę dobrodusznego wujaszka, który przestrzeżga dziecko, by nie kładło palca między drzwi, kiedy wystrzelił do mnie pociskiem najcięższego kalibru:

– Popelniasz, bracie, zasadniczy błąd. Jest takie przysłowie: „Nieobecni nie mają racji”. Cokolwiek kontrola w końcowych wnioskach wysunie jako zarzut przeciwko „Wirowi”, łatwo będzie przypisać twojej winie. Wszyscy w „Wirze” będą to potwierdzać

solidarnie i nikt nie stanie w twojej obronie. Bo ciebie już tu nie będzie. I jak się obronisz? Odpowiadać będziesz jeszcze po latach za każdy spaprany film. Za każdą nie zrealizowaną umowę. Za odrzucone scenariusze, nie nadające się do realizacji, które akceptowałeś w pierwszej fazie roboty. A jest tego... wiesz ile. Pełna szafa. Ciężkie pieniądze. Nie wygrzebiez się nigdy. Jeżeli możemy unieść cało głowy przed pogromem, to tylko zbiorowo. Solidarnie. Wszyscy razem. Ostatecznie istnieją tak zwane okoliczności obiektywne. Postawi się je w stan oskarżenia, ale ich istnienie musimy stwierdzić wszyscy bez wyjątku. A one już sobie z NIK-iem poradzą, bo często w ogóle nie istnieją. I tobie w tej sytuacji zebrało się na inkwizytorski artykuł w „Trybunie” czy „Kulturze”, sprowadzający sprawę odpowiedzialności do konkretnych nazwisk? Zlituj się, nawet w oficjalnych przemówieniach tego się nie praktykuje! Możesz Barsowi prywatnie choćby wszystkie zęby wybić, jeżeli masz do niego pretensje, ale nie próbuj atakować go w prasie. To ci się nie opłaci. Przemysł to sobie. Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Dobrze radzę.

Zdusił cygaro w obrzydliwie brudnej i wyszczerbionej popielniczce z grubego szkła i spojrzął na zegarek. Wymamrotał przeprosającym tonem:

– Wybacz, ale musimy już przerwać naszą rozmowę. Jadę zaraz do wojska w sprawie rekwizytów. Po naszym przedostatnim filmie nie mogą doliczyć się jakiejś armaty czy karabeli, diabli wiedzą, gdzie się to żelastwo podziało. Pewnie chłopaki, których braliśmy do statystowania, opylili w składnicy złomu na wódkę.

Zrozumiałem. Chciał być górą. Musiał mieć ostatnie słowo. Już teraz nie da mi szansy riposty. A może zagrałem źle? Może za



wcześniej odkryłem karty? Dopuszciliem do sytuacji, w której zostałem bezlitośnie zaszantażowany. Wstałem i pożegnałem się w miarę grzecznie, w miarę chłodno. W drzwiach przypomniałem sobie, że chciałem go jeszcze o coś zapytać:

– Ale powiedz mi, Tadek, dlaczego w najbliższym czasie zamierzasz obdarzyć naszą gwiazdę kaktusem?

– Kaktusem? – zdziwił się.

– Tak się wyraziłeś. Że na Nowy Rok...

– Ach tak! – uśmiechnął się, ale twarz jego przy tym dziwnie się skurczyła i bardziej niż kiedykolwiek przypominała mi profil szakala. – Myślę, że do tego czasu rozejdzie się z Barsem i będę mógł odpłacić jej za parę tęgich świństw, które zrobiła... Ale o tym innym razem.

– I naprawdę byś to zrobił? – nalegałem, bo wyczułem, że unika komentarzy. Pewnie żałuje, że mi coś takiego w ogóle powiedział.

– Owszem. A najchętniej trujący kaktus. Z jakiejś amerykańskiej dżungli.

Wyobraziłem sobie starcie tych dwojga drapieżników. Szakala Firki i tygrysy Bożeny. Byłoby na co popatrzeć. A może ta walka już trwa? Przyjrzałem się uważnie Firce i sam się przestraszyłem, chociaż tym razem groźba została skierowana nie pod moim adresem. Jego przebiegłe, pochmurne oczy pełne były skrajnej, śmiertelnej nienawiści.

Tak właśnie zostałem poinformowany nieoficjalnie o mającym nastąpić galowym przyjęciu u Barsów. Oficjalne zaproszenie przedstawiło mi tę sprawę w zupełnie innym świetle, a ja, po rozważeniu w domu argumentów Firki, dojrzałem całkowicie do decyzji przyjęcia owego zaproszenia bez zbytecznych dąsów.

Bożena mówiła do mnie przez telefon swoim sztucznym, afektowanym głosem, z nutką pretensji, jak gdybym to ja był winien, że sprawy nie układają się według jej życzenia:

– Przyjdź koniecznie. To będzie małe przyjętko w ścisłym kółku najbliższych przyjaciół. Pamiętaj, o piątej. I wybaczone, że dopiero teraz do ciebie dzwonię. Sławek miał się z tobą porozumieć, ale wiesz, jaki on jest. Najpierw obiecuje, a potem zapomina.

– Roztargnienie, przywilej geniuszy – odpowiedziałem jej z taką emfazą, że każdy średnio inteligentny człowiek natychmiast zrozumiałby, że to ironia. Każdy, ale nie Bożena.

Mówiła dalej, jakby w ogóle nie dosłyszała moich słów:

– Wiesz, z początku planowałam duże przyjęcie. Ostatecznie mamy tyle obowiązków towarzyskich, nasza pozycja do tego nas zmusza.

Prawie płakała, a ja zachowywałem się jak dentysta, świdrujący w chorym zębie bez zwracania uwagi na łzy w oczach pacjenta:

– No i co, nie wyszło ci to duże przyjęcie?

Wyobrażałem sobie, jak naszej gwiazdce zależało na zaplanowanej galówce.

– W pewnym sensie... – zwierzała mi się z rozbrajającą naiwnością. – Musiałam je przesunąć na inny termin pod pretekstem, że źle się czuję po powrocie z zagranicy. A to wszystko przez Sławka.

– Władca ma humory – zauważyłem współczująco.

– Kiedyś mnie te jego humory irytowały, ale teraz przestałam je po prostu przyjmować do wiadomości – oświadczyła sucho. – Ale

wystaw sobie, jaki mi zrobił kawał. Zaprosił na przyjęcie Jolanę.

– Jolanę? Ekspanią Protową? – Staralem się nadać głosowi ton najgłębszego zgorzenia.

To rzeczywiście dziwny wyskok ze strony Barsa, pomyślałem. Nie dlatego nawet, że między nami nie mówiliśmy o niej inaczej, jak z lekceważeniem „ta grafomanka”, ale dla nikogo nie były tajemnicą ani napięte stosunki między zespołem „Wir” i Jolaną Kordes, ani pogrózki, jakie miotła Jolanta pod naszym adresem. A w ogóle Jolanta sprawiała ostatnimi czasy wrażenie osoby – ogłędnie mówiąc – niezrównoważonej psychicznie. Docierały już do mnie słuchy o jakichś awanturach, które po pijanemu wyprawia od czasu do czasu w restauracji SPATiF-u.

– No właśnie – potwierdziła z goryczą Bożena. – Podobno spotkał ją przypadkowo gdzieś w kawiarni czy na ulicy i ich rozmowa przybrała taki obrót, że nie wypadało mu jej nie zaprosić. Oczywiście zrobiłam piekielną awanturę, a on, wyobraź sobie, roześmiał się tylko i powiedział, że to nic nie zaszkodzi przyjęciu. Że goście będą mieli dodatkową atrakcję. Zwłaszcza jeżeli się da Jolancie trochę za dużo wódki. Ale ja nie mam zamiaru robić w moim domu przedstawienia na pół Warszawy. I zredukowałam wielkie przyjęcie do rozmiarów malutkiego *garden party*. No i zemściłam się...

Nie wątpię, że Bożena nie puści płazem Barsowi jego nietaktu. Nie daruje zmarnowanej okazji zabyśnięcia swoją urodą i toaletą na „pół Warszawy”.

– Słusznie – przytaknąłem skwapliwie.

W walce z Barsem wolałem mieć Bożenę jako sojuszniczkę po mojej stronie. Wyczułem już, że coś źle się dzieje w państwie

barskim. Co mi szkodzi pogłębić ten konflikt.

W głosie Bożeny brzmiały nutki triumfu. Zachowywała się jak dziecko, które na złość mamie chce odmrozić sobie uszy.

– Wiesz jak? Na to nasze małe rozkoszne przyjętko zaprosiłam Protów, to znaczy Michała z Mariolą, i Nieczułą razem z tą jego nową sympatią, Lilianą. Chce Sławek przedstawienia, to je będzie miał.

Tak, przemknęło mi przez myśl, teatralność Barsa jest niezwykle dokuczliwa. Na co dzień musi być nie do zniesienia.

– A ja? – zapytałem tonem szczerze oddanego sprawie spiskowca. – Po co ja? Jaka ma być moja rola w tym seansie?

Bożena odkrywała przede mną bez żenady swoje karty:

– Ty i Firko po to, żeby mnie nie posądzono o celową złośliwość. Osoby neutralne. Dobór gości? Proszę bardzo: nasi najbliżsi współpracownicy i przyjaciele. A w razie czego będziesz poskramiać Jolantę. Ona się ciebie boi...

Doszedłem do wniosku, iż przedstawienie istotnie może być przedniego gatunku. Nie wypadało mi już zresztą wobec Bożeny wycofywać się z udziału w przyjęciu. Sprytnie zobowiązała mnie do uczestnictwa w nim, powierzając mi zakulisowe tajemnice całej afery. Więc nie uchylę się, zresztą mogę na tym coś skorzystać.

– Mam pomysł – odpowiedziałem Bożenie. – Wiesz co, zaprosz jeszcze Dudkę. Miałbym ochotę przeprowadzić z nim publiczną dyskusję na temat teorii sztuki filmowe na wysokim poziomie intelektualnym...

Nie wątpiłem, że Bożena wie o planie Barsa zastąpienia mnie

Dudką na stanowisku kierownika literackiego „Wiru”. Zachichotała:

– Aha. Chcesz go zrobić na idiotę. Rozumiem...

Tak porozumieliśmy się z Bożeną Norską co do charakteru, jaki ma mieć „małe rozkoszne przyjątko” w willi państwa Barsów w Dzieźmoli z okazji ich piątej rocznicy ślubu oraz uzyskanej na festiwalu w Limonie nagrody. Przewidywałem więc z góry, iż nie będzie to tuzinkowe przyjęcie podszyte nudą i że jego przebieg obfitować będzie w krótkie spięcia. Ale doprawdy nie jest naszą winą – ani Bożeny Norskiej, ani moją – że sprawy na tym przyjęciu przybrały obrót zgoła dla nas nieoczekiwany i że doszło do takiej tragedii.

Trudno mi w tej chwili stwierdzić z dokładnością co do minuty, o której godzinie przybył każdy z nas do Dzieźmoli piątego września na przyjęcie u Barsów. Chyba jednak nie pomylę się, jeżeli powiem, że zjawialiśmy się kolejno w odstępach parominutowych między piątą i piątą piętnaście. Nikt się nie spóźnił więcej niż o przepisany „akademicki kwadrans” i na pewno piętnaście po piątej zasiedliśmy już wszyscy w komplecie na polance przed tarasem, przy słynnym chłopskim stole i na chłopskich ławach, wydumanych przez Barsa, które po cichu nazywaliśmy meblami Piasta-Kołodzieja. Dalibóg, o wiele wygodniej byłoby rozsiąść się na normalnych ogrodowych fotelach i leżakach, nabytych w MHD. To nie byłoby jednak „stylowe”. Jeśli idzie o kolejność przybycia, uszeregowałbym nas następująco: ja i Firko przyjechaliśmy moim alfa romeo pięć po piątej i zastaliśmy już Dudkę, a więc on był pierwszy. Po nas przyjechali Protowie swoją syrenką. Nieczuło przywłókł się na końcu pieszo ze swoją nową panią serca, plastyczką, niejaką Lilianą Runicz. Też

pomysł, żeby jeździć do Dzieźmoli kolejką! Podobno musiał sprzedać swego starego fiata – po kątach narzeka, że go Liliana rujnuje. Ja jednak w to nie wierzę, zawsze był pieczeniarem. Już raczej ona dokłada do tego interesu, zwłaszcza że przyjęła się w świecie artystycznym. Raz po raz wpadnie jej jakaś chałturka scenograficzna. Po prostu: Guccio jest piekielnie skąpy. Szkoda mu pieniędzy na benzynę, a wśród nas zawsze znajdzie kogoś, kto go podwiezie w pożądanym kierunku

Zaprzagnąłem choćby najbliższym gestem zmanifestować mój bunt i niezawisłość. Przyniosłem z mojego samochodu angielski kraciasty pled i rozścieliłem go na trawie.

– Chodź, Lilianko – pokiwałem dłonią na flamę Nieczuły – będzie nam tu wygodniej. „Na traw pościeli... Jak piknik, to piknik Kocham łono przyrody.

Wszyscy obejrzeni się zgorszeni, ale ja udawałem, że nic sobie z tego nie robię. Liliana podobała mi się, chętnie bym ją odbił Gucciowi. Klasyczna przedstawicielka młodego pokolenia. W miarę szczupła, wysoka, o silnych, zgrabnych nogach, niewiarygodnie długich. Proste, niedbale rozpuszczone kasztanowate włosy, niebrzydka buzia z perkatym nosem. Usta ma trochę za duże, ale ja to lubię, dobrze, że ich nie maluje. Za to wokół oczu taka Pinakoteka, że już nawet ich koloru nie odróżnisz – zdaje się że są orzechowe. Ciekawe, ile czasu trwa, zanim dziewczyny zmyją wieczorem z powiek te wszystkie malowidła? Spojrzenie tych oczu ma Liliana twarde. Musi być bezwzględna, konsekwentna i wytrwała w dążeniu do swoich celów. Może jest nawet nieco bardziej cyniczna, niż wymaga tego obyczaj naszego światka.

Usiadła przy mnie chętnie, podzwaniając ogromnymi kolczykami i niezliczonymi łańcuszkami, którymi owinięta miała szyję i przeguby rąk. Gucio spojrział na nas, zrobił zblazowaną minę i wycedził przez zęby, zwracając się do mnie:

– Ja na twoim miejscu w tym wieku nie siadywałbym już wieczorami o tej porze roku na gołej ziemi. Uważaj na swój reumatyzm...

Nie lubię, kiedy mi ktoś wypomina mój reumatyzm. Tym razem jednak nie wziąłem tego zanadto do serca – uszczypliwa uwaga Gucia świadczyła o tym, że jest wściekły i zazdrosny, a to sprawiło mi już zupełnie wystarczającą satysfakcję. I cóż zresztą z tego, że jest młodszy ode mnie o kilka lat? Może przeżyć sto lat, a i tak nie tylko Felliniri nie zostanie, lecz nawet połowy mojego życiowego sukcesu nie dochrapie się. Powiedziałem do Liliany, jak gdyby nie słysząc w ogóle uwagi Gustawa:

– Czy nie za długo już marnujesz talent i urodę przy naszym kochanym Guciu? Zbyt rzadko zmieniasz partnera. Zaczną mówić, że nie masz powodzenia. Proponuję ci moje opiekuńcze ramię. Teoria głosząca, że istnieje jakiś konflikt pokoleń, jest moim zdaniem wielką bujdą. Na przykład ja świetnie porozumiewam się z młodymi dziewczynami.

Roześmiała się zalotnie i odgarnęła pasmo włosów, opadających na policzek. Wyglądało to tak, jakby rozsuwała kurtynę, abym mógł spojrzeć w jej oczy. Patrzyła na mnie chłodno i wyzywająco. Chyba w duchu obliczała sobie prowizorycznie, czy opłaci się jej zmienić protektora. Ale ja nie lubię błyskawicznych sukcesów. Cały smak znajduję nie w samej przygodzie, lecz w jej preliminariach, czyli rozpracowywaniu ataku. Zrobiłem więc wrażenie, że moja

propozycja była tylko towarzyskim żartem, i zmieniłem temat:

– A gdzież to się podziewa nasz miły gospodarz?

Skierowałem pytanie pod adresem Bożeny, która właśnie starannie wystudiowanym ruchem napełniała kryształowe czarki jakimś płynem nieokreślonej barwy. Nie tylko Bars nie ukazał się jeszcze naszym oczom. Nie było także wśród nas zapowiedzianego gwóźdździa wieczoru: Jolanty Kordes, ale nie nadarzyła mi się dotychczas okazja, by zapytać Bożenę na osobności, co się stało z tym niepożądanym gościem.

Przemknęło mi nawet przez myśl, że może to wszystko, co mówiła mi Bożena Norska przez telefon, było kłamstwem. Może to podstęp? Zaprosiła nas, tu obecnych, na dzisiejszy wieczór tylko po to, aby móc skreślić nas z listy gości zaproszonych na przewidzianą w nieco późniejszym terminie galówkę. Nasz „Wir” wali się, to wszyscy wiedzą. Barsowie szukają, na kogo by tu zrzucić winę i chcą się odciąć. Jeżeli nas – tak jak tu wszyscy siedzimy – nie będzie na ich galowym przyjęciu, łatwo ułożyć komentarz: „I cóż mógł zdziałać Bars z takim zespołem? Wyrzucił ich wszystkich i teraz dopiero pokaże, co potrafi. Zerwał z tą bandą beztalenci definitywnie”.

Oni jedni z tego „Wiru” – prawdziwego wiru – chcą unieść głowy cało. Teraz to rozumiałem, a ponieważ najboleśniejszym ze wszystkich doznań jest dla mnie uczucie, że dałem się oszukać i wystrychnąć na dudka, że mam pokutować za cudze grzechy – ogarnęła mnie taka furia, iż pociemniało mi w oczach. W takich momentach nie odpowiadam za siebie. Może nawet mógłbym kogoś zabić.

Otrzeźwiło mnie bolesne syknięcie tuż przy mnie. Liliana



patrzyła na mnie z pretensją, rozcierając przedramię.

- Co się stało? – spytałem, przytomniejąc.
- Jak to, co? Brutal. Tak mi ścisnąłeś rękę, że będę teraz miała siniak.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zrobiłem. Ująłem ją za rękę i pocałowałem w obolałe miejsce. Z przyjemnością przyłgnałem wargami do gładkiej, cieplej skóry.

Bożena podeszła do nas z małą arabską tacką, na której lśniły kryształowe czareczki z owym tajemniczym płynem i stały mikroskopijne talerzyki z czymś, co wyglądało jak długie, wąskie sucharki. Kucnęła obok nas na pledzie i odezwała się łaskawie:

- Proszę, kochani, częstujcie się.
- A co to jest? – spytałem podejrzliwie.
- Nie jadłeś tego jeszcze pewno nigdy w życiu. To pyszne. Nalewka z mandragory zmieszana z sokiem granatu, a do tego szarańcza opiekana w ryżowej mączce... Nie bój się, nie otrujesz się. Co innego może ci zaszkodzić – ściszyła głos do poufatego szeptu. – Jad kobry jest balsamem w porównaniu ze wzrokiem, jaki wpija w ciebie Guccio.

Zerknąłem w jego stronę. Istotnie, blady był jak ściana, a gdyby wzrok mógł zabijać, padłbym trupem na miejscu. Uśmiechnąłem się lekceważąco Bożena z namaszczaniem, dla zachęcenia nas do poczęstunku, wysączyła trochę płynu z czarki i zagryzła szarańczowym biszkopcikiem. Na jej kocyj twarzy pojawiło się błogie zadowolenie. Potrząsnęła swoją ogromną grzywą smolście czarnych włosów. Teraz jej bladoniebieskie oczy spoczęły na Lilianie z chłodnym zaciekawieniem. Miała taki wyraz twarzy, jak gdyby przyglądała

się oryginalnemu okazowi w ogrodzie zoologicznym.

– Podobno on się w tobie naprawdę kocha, ten twój Gucio.

Wypowiedziała te słowa prawie ze zgorzeniem, myślałby ktoś, że ganiła rzecz zdrożną, nieobyczajne wykroczenie przeciwko dobremu tonowi. Było też w jej głosie trochę zaintrygowania. Nie wahałbym się nawet rzec – zazdrości.

Nieczu! – zakochany! Zakochany szczerze! Mój Boże, co się też ludziom nie przytrafia...

Liliana na sekundę zmieszana się, lecz nie zdążyła już odpowiedzieć Bożenie, otworzyła tylko szeroko swoje za duże usta i zawołała z najwyższym zdumieniem:

– Oooo!

Okrzyk ten wywołany został widokiem, który jak grom poraził nie tylko pannę Runicz, lecz również resztę towarzystwa, siedzącego na ławie. Wszyscy w milczeniu patrzyli w stronę, z której nadciągała para: Sławomir Bars i Jolanta Kordes. Szli ku nam z głębi domu po szerokich schodach, prowadzących z tarasu do ogrodu. Zwalisty, niedźwiedziowaty Bars ociężałym krokiem, przywodzącym na myśl posuwanie się gigantycznej koparki budowlanej; Jolanta jak zawsze krokiem spowolnionym, niby ociągając się i ukośnie stawiając stopy. Miała po prostu tak zwany kaczki chód. Bars prezentował minę generała, który wygrał bitwę, Jolanta została bez wątpienia pokonana. Świadczyły o tym jej rozgorączkowana twarz i gorzko ściągnięte usta. Ciekawe, kiedy oni już zdążyli pokłócić się?

Wyjaśniła mi to Bożena półgłosem:

– Jolanta jest już tu od godziny. Coś tam spiskowali w jego pracowni.

– A może pokazywał jej swoje ćmy? – zażartowałem.

– Ona sama podobna jest do ćmy – mruknęła Liliana i zamyśliła się.

To porównanie wydało mi się bardzo trafne. Co znaczy oko plastyczki! Spozregawcza dziewczyna. Muszę ją stanowczo chociażby wypożyczyć sobie od Gucia na jakiś czas. A zresztą co mi on przeszkadza. Możemy kochać się w niej równocześnie.

Jolanta naprawdę wyglądała zgrzebnie na efektownym Ile Dzieźmoli. Jeszcze kilka miesięcy temu nazwałbym ją interesującą. Rozkwitła, kiedy pisała dla nas scenariusz i kiedy kochała się z Nieczułą. I nawet dobry z niej był kumpel w towarzystwie. Teraz była taka, jaką pamiętam sprzed lat, gdy Prot, ówczesnie jej mąż, rzadko pokazywał się z nią w naszym świecie. A już w każdym razie na dziś nie powinna była wkładać tej piaskowo-brązowej garsonki do piaskowych włosów bez połysku, wiszących jak strąki po obu stronach twarzy o śniadej cerze i zapadniętych policzkach, do brązowych oczu bez blasku, schowanych głęboko w oczodołach, rozmieszczonych za blisko siebie. Chyba bardzo schudła ostatnio i było jej z tym nieładnie. Garsonka była przy tym źle uszyta. W bezwolnie opuszczonej ku dołowi ręce huśtała się rytmicznie odrapana beżowa torba. Całość miała koloryt spłowiwały i sprawiała wrażenie żałosne

Jeżeli można było Jolantę przyrównać w tej chwili do, ćmy, to Bożena Norska bez wątpienia przypominała kolorowego, egzotycznego motyla. Podniosła się z koca i wyprostowała w całej okazałości. Miała na sobie dziwną szatę, przypominającą jawański sarong,

w jaskrawopomarańczowym kolorze. Wyciągnęła ku Jolancie okrągłe, mlecznobiałe ramiona i zawołała z właściwą sobie egzaltacją:

– Ach, witaj, Jolanto! Tak się cieszę, że cię widzę. Już tyle czasu u nas nie byłeś...

Bars zacierał z uciechą pulchne ręce, jak zwykł był robić, gdy sądził, że udał mu się jakiś kawał Jolanta ze zmieszaniem przyjęła siostrzany, czuły pocałunek Bożeny na swym chudym policzku, ale ja teraz dopiero, gdy wspominam tę scenę i piszę o niej, uświadamiam sobie, że oczy Bożeny Norskiej, zawsze takie jasnoniebieskie, niemal przezroczyste, wydały mi się aż czarne, kiedy śledziła zbliżającego się ku nam męża i Jolantę Kordes. Rozumiem teraz, że oczy te patrzyły z nienawiścią chyba równą tej, jaką mnie obdarzył zazdrosny Nieczuństwo. Ale dla kogo było przeznaczone to nienawistne, gorące spojrzenie naszej gwiazdy? Dla Barsa – czy dla Jolanty? Tego nie wiem.

Jolanta i Bars usiedli, pierwszy szok minął i zaskoczenie rozplynęło się w przejęciu, z jakim oddaliśmy się wszyscy chrupaniu pieczonej czy obsmażanej szarańczy. Czynność ta wymagała od nas sporego samozaparcia, poświęceniem było również popijanie owego smakołyku nalewką z mandragory. Smak miała obrzydliwy, ale wszyscy chwaliliśmy ją z zapałem. Myślałem z rzewną tęsknotą o oczyszczonej sodzie, której gigantyczną porcję każę sobie podać w domu wieczorem. Dobra żona z tej mojej poczciwej Ewki. Do głowy by mi nie przyszło ciągać ją ze sobą na uczy z pieczonej szarańczy i to w tym towarzystwie – a ona nie ma do mnie najmniejszej pretensji o to, że obracam się po Warszawie sam, bez niej, jak gdybym był

kawalerem. To są dwa różne życia i napatrzyłem się już, co wynikło, kiedy one się Protowi pomyliły.

Po szóstej przeszliśmy do wnętrza domu. Na przyjęciach u Barsów nie ma tradycyjnego zasiadania przy stole. Tam zresztą w ogóle nie ma takiego mebla. Środkowy hall, ni to salon, ni to jadalnia, służy wprawdzie do przyjmowania gości, ale celebrowana przez nasz ogół czynność jedzenia w tym wytwornym domu zdegradowana została do służebnej roli błażej rozrywki. Tu się nie je, tu się smakuje – jak powiadał przed laty pewien zacny Josek z Łodzi, artysta w swoim fachu, który w Krynicy podczas sezonu w małym, dzierżawionym lokaliku, najpierw naprzeciwko dawnego kina, a potem za potokiem vis à vis kościoła, kazał sobie drogo płacić za mikroskopijne porcje faszerowanego karpia po żydowsku z porcją chałki i kieliszeczkiem pejsachówki.

U Barsów też nie jadło się, lecz się „smakowało”. Do zabawy zaś w jedzenie nie jest odpowiednim sprzętem długi stół, nakryty białym obrusem, z niezliczonymi talerzami, sztućcami i kieliszkami, ze sztywno tkwiącymi przy tym stole, na niewygodnych krzesłach, gośćmi. Całe bractwo rozsiada się u Barsów po kątach na kanapkach, pufach, fotelikach albo po prostu na podłodze wyściełanej matami oraz futrzakami, a małe stoliczki i niskie taboreciki są miejscem, na które odstawia się opróżniony talerzyk i kieliszek. Światło bywa przeważnie przyćmione – załatwiają tę sprawę stojące lampy i boczne kinkiety.

Poczęstunek rozwozi osobiście Bożena, posługując się barowym stolikiem na kółkach. Mogłaby to robić za nią, oczywiście, niejaka Katarzyna Nalepa, urzędująca w kuchni, długoletnia gospodyni

Barsa – ale Bars uważa, że to bardzo po mieszczańsku i po staroświecku wygląda, kiedy gosposia podaje potrawy.

Tego wieczora, kiedy rozlokowaliśmy się już, jak komu i jak z kim było wygodnie, ufetowano nas najpierw słonymi herbatniczkami z pastą homarową i serowo-ziołową, faszerowanymi pieczarkami oraz pieczonymi kabanosami, które przy nas na ogniotrwałym półmisku oblano obficie spirytusem i podpalono. Z wódek była do wyboru jałowcówka i żubrówka, a bardziej wybredni goście częstowani byli dżinem i whisky z sokiem cytrynowym, pomarańczowym albo wodą sodową i lodem. Napoje serwował własnoręcznie pan domu, lejąc alkohol szczerze w kieliszki, skwapliwie opróżniane przez gości. Na deser pedano nam surówkę z jakichś egzotycznych owoców, kawę parzoną po turecku w miedzianych dzbanuszkach z długą rączką – i do tego koniak. Duże ilości koniaku. Kto chciał bardzo podlizać się Barsowi, odmawiał kawy i prosił wiernopoddańczo o herbatę, słynną jaśminówkę, ulubiony napój mistrza. Jako pierwszy napraszał się, rzecz jasna, mój konkurent, Dudko.

Dlaczego tak obszernie relacjonuję przebieg kolacji i cały jadłospis? Wydawałoby się, że nie ma to nic wspólnego z tragicznym finałem wieczoru. Ja jednak myślę, że sprawy te wiążą się ze sobą.

Po pierwsze: mikroporcje jedzenia nie zdołały zabezpieczyć naszych organizmów przed działaniem alkoholu, pitego w dużych ilościach. Wiadomo, jeżeli ktoś nie chce szybko się upić, musi dużo jeść, czyli stworzyć tak zwany w pijackiej gwarze „podkład”. A my: dwa lub trzy biszkopiki wielkości pięciopiółtówki, po dwie pieczareczki i patyczek kabanosa długości piętnastu centymetrów...

Dlatego prawie wszyscy byliśmy na dużym gazie. Stąd niejasne wspomnienia niektórych świadków z przebiegu wieczoru, stąd ich splątane zeznania. I nasza reakcja na występ Jolanty.

Po drugie: system podawania kolacji „w rozsypkę” stwarza wprawdzie nastrój niewymuszony, ale także wprowadza sporo zamieszania i daje dużo swobody w poruszaniu się. W każdej chwili każdy może wstać i zmienić miejsce, może wędrować ze swoim talerzykiem od jednej grupy gości do drugiej, może niepostrzeżenie w ogóle opuścić pokój. I dlatego tak, trudno ustalić sprawcę morderstwa. Drzwi na taras pozostały otwarte, taras biegnie dookoła całego budynku, na ten taras wychodzą okna wszystkich parterowych pomieszczeń. Twierdzą, że każdy z nas mógł mieć sposobną okazję i czas do przygotowania zbrodni, mógł wyjść przez drzwi balkonowe, mógł przedostać się i do pracowni Barsa, i do kuchni, i nawet na pierwsze piętro, mógł też nie wracać tą samą drogą, którą wyszedł, ale dla niepoznaki wejść z powrotem do pokoju chociażby na przykład przez przedpokój, który także ma drzwi prowadzące na taras.

Pytano mnie w czasie śledztwa, jak zachowywali się poszczególni uczestnicy przyjęcia podczas kolacji. Z powodów powyżej przez mnie opisanych nie wszystko potrafię zrekonstruować. Przytoczę więc może tylko kilka przykładów, parę najbardziej drastycznych czy charakterystycznych scenek. Powracają one teraz w mojej pamięci jak fragmenty snu, chwilami wydaje mi się, że to wszystko nie działa się naprawdę. Jak oddzielić ewentualny wytwór mojej fantazji od rzeczywistości? Doprawdy nie wiem. Może zatem najlepiej będzie, jeżeli podam te migawki w ten sam chaotyczny sposób, w jaki

utrwały się w mojej świadomości. Czytający ten opis zechcą mi łaskawie wybaczyć mgławicową, rozwichrzoną konwencję... Nie-wykluczone jednak, że wśród nieskoordynowanych szczegółów wyłowią fakt, który naprowadzi ich na właściwy trop.

Dominujące uczucie: płynę, lekko się kołysząc. Jest mi błogo i przytulnie. Cały świat brałbym w ramiona, nie wyłączając Barsa, Firki i Dudki. Świnie, bo świnie, ale bądź co bądź swoje chłopcy. Jestem wśród swoich. Mogą pode mną kopać dołki, ja odwiedzczę się im za to kiedy indziej pięknym za nadobne, ale to jest moje naturalne środowisko. Ściskam się z Firką, całujemy się z dubeltówki, czuję na policzku szorstki dotyk jego źle ogolonego podbródka, ale to mnie nie brzydzi, tylko rozrzewnia, pożyczylbym mu nawet chętnie moją genialną elektryczną golarkę marki Remington, żeby się lepiej ogolił.

– Ty stara łajzo – mówi czule, klepiąc mnie po plecach, oczka maślane łzawią, na czole perli się drobniutki pot. – To mnie wymalowałeś w swoim ostatnim opowiadaniu w „Kulturze”... Gnidę ze mnie zrobiłeś, szakala... No, ale nic, ja ci wybaczam, chociaż powinienem... powinienem... powinienem...

Nie dowiem się, co Firko uważa, że powinien ze mną zrobić. Oddala się w półmrok pokoju, niezbyt pewnie żonglując pustym już talerzykiem i stojącym na nim kieliszkiem. W nacięciach kryształu migotliwie odbija się światło kinkietów, śledzę wzrokiem ten błysk, który wydaje mi się jedną linią ciągłą, pajęczą nicią, połyskującą w mdłym słońcu jesiennym, kiedy pajęczki odbywają swoje przedziwne wojaże. Czy ja prowadzę Firkę moim wzrokiem w jego wędrówce, czy on mnie ciągnie za sobą?



– Ty – powiadam do Liliany, która siedzi, właściwie pół leży obok mnie na czymś niskim i szerokim, a zarazem miękkim, co jest sofą, zarzuconą mnóstwem skórzanych i jedwabnych poduszek – jak myślisz... on jest szakal czy pająk...?

– Kto? – mamrocze leniwie, chrupiąc kliksa z duńskim ziołowym serkiem.

– Firko.

– Tadeusz? – dziwi się niezmiernie. – Też coś. Zwykły baran.

– Ty go nie znasz...

– Miał chrapkę na Mariolę i dał ją sobie poderwać...

Śmieję się do rozpuku. Od razu znać, że ta mała od niedawna obraca się w naszym świecie. Nie wiedzieć takich rzeczy!

– No, wiesz – wsuwam jej w zęby papierosa, żeby tylko już przestała tak wyzywająco głośno chrupać kliksy – przecież to jego nieślubna córka. On Prota nienawidzi tylko za to, że jest zwyczajnym polskim amantem. Że obniżył lot Marioli. Powinna była zostać primabaleriną opery i wyjść za mąż za księcia. Albo hrabiego.

Pajęcza nitka, na której prowadziłem oczami Firkę, pęka nagle. To Firki wina. Widzę go, jak stoi przed Protym, rozpartym w obszernym, skórzanym fotelu, na którego poręczach przysiadły niby dwa egipskie sfinksy dwie kobiety, obie sławne, a tak różne. Postawna Bożena Norska, cała składająca się z okrągłości – i drobniutka, kanciasta Mariola. Firko widocznie obdarzył Prota jakąś imperzynencją, bo nasz amant uśmiecha się drwiąco, dając do zrozumienia, że nic a nic go nie obchodzi, co myśli o nim zakonspirowany teść. Firko ściska kieliszek w rękę i iskra zapalona w szkle przez odbłask

kinkietu gaśnie. Kryształ kieliszka rozpryskuje się na dziesiątki drobnych, świecących odłamków. Małe zamieszanie. Ktoś chce Firce opatrzeć skaleczoną rękę, ale on rozsuwa wszystkich szorstkim, gwałtownym ruchem i tuląc do piersi obronnym gestem owiniętą w chustkę dłoń, wbiega na schody, prowadzące z hallu na piętro.

– Wodę utlenioną znajdziesz w łazience – woła za nim Bożena – gazę też. Ale uważaj na Yogiego... Zamknęłam go w moim pokoju...

Potem jeszcze raz postać Firki odcisnie się wyraźniejszym piętnem w mojej pamięci. Z ręką, owiniętą gazowym bandażem, stoi na tle ciemnego już ogrodu w otwartych na taras drzwiach. Naprzeciwko niego tkwi Bars. Nie słyszę, co do siebie mówią, ale rzekłbym, że przybrali wobec siebie postawy wrogie. Odwracają się potem do siebie tyłem i każdy z nich oddala się w inny koniec tarasu. Zachowują się jak przeciwnicy przed pojedynkiem, kiedy dwaj mężczyźni rozchodzą się w przeciwne strony, aby za chwilę znów zwrócić ku sobie twarze i strzelić. Kto pierwszy? Kto celniej? Oto pytanie. Nie sądzę, aby chodziło im o zбитy kieliszek. Bars nie jest małostkowy.

– Tadeusz zupełnie oszalał. Nie można już z nim wytrzymać. Cierpi na manię prześladowczą – słyszę nad sobą wibrujący, gruchający głos Bożeny Norskiej.

Jak zawsze brzmi on sztucznie i chwilami denerwująco, zwłaszcza kiedy Bożenka próbuje bez większego powodzenia naśladować śpiewną manierę Eichlerówny. Kładzie mi na talerzyk piętnaście centymetrów kabanosa, a płomień polatujący nad półmiskiem, jak zmieniające się reflektory, mienia się na jej twarzy barwą raz błękitną, raz różową. Scena jak z „Kordiana”. Oto jeden z szatanów,

pochylony nad ogniem i kotłem, wróży rodakom. Tyle że tu, zamiast kotła – półmisek z kabanosami. Trudno, różnica czasów. Ale kiedy tak przypatruję się Bożenie z bliska, widzę najdrobniejsze szczegóły jej rysów. Zdaję sobie sprawę, że jest o wiele starsza, niż nam to wmawia. Świetnie zakonserwowana kobieta w średnim wieku – ale nie „wiosenny kwiat młodości”, jak lubi o niej mawiać Dudko. Te promyki koło oczu. Ta fałda po obu stronach warg. Ten wyraz oczu. I nie jest wcale tak naiwna, za jaką chce uchodzić.

– Firko? – dziwię się. – Firko czuje się zagrożony? A któż go prześladowuje?

– Cały świat – rzuca mi przez ramię, popychając szklany stolik z płonącym na jego blacie ogniskiem z kabanosów ku sąsiedniej grupce gości. – Wiesz, co powiedział, kiedy leciał jak wariat na górę do łaźienki? Że nie chce mojego opatrunku, bo mogłabym go otruć.

Znów płynę, płynę po lekko rozkołysanej fali – chociaż w rzeczywistości zapadam się tylko w stopy skórzanych poduszek z głową opartą o ciepłe i jędrne ramię Liliany. Ale gdzież jest jej kochanek? Trzeźwieję na chwilę, by go poszukać, bo a nuż knuje coś przeciwko mnie?

Oto jest. Czuwa niedaleko, tuż obok nas, zanurzony po ramiona w głębokim fotelu; dalej nieco, na grubej słomianej macie siedzi Jolanta Kordes. Swoje nieładne, za chude nogi, których się wstydzi, podwinęła pod siebie, nie wypuszcza z ust papierosa, irytująco monotonnie obraca w palcach pełny kieliszek. Jest bezustannie pełny: Bars sumiennie realizuje plan wieczoru. Upija Jolantę. Ciekawe, kiedy ma się rozegrać scena finałowa? Widzę, jak w pewnej chwili Jolanta wstaje i mimo oporu Nieczuły, który chce ją zatrzymać,

chwiejnym krokiem wychodzi na taras. Znika w ciemności. Może zapragnęła samotnej przechadzki? A może po prostu, prozaicznie, zrobiło się jej niedobrze i potrzebuje świeżego powietrza?

Ja też wychodzę na taras. Pogodne niebo wrześniowe, pełne gwiazd, uwięzione w obręczy koron wysokich drzew okalających całą posesję, budzi we mnie filozoficzne refleksje, a zarazem gwałtowną chęć ucieczki stąd. Nienawidzę w tej chwili ich wszystkich, zgromadzonych tam, w salono-jadalni. Nienawidzę za wszystko. Za to, jakimi są. Za snobizm i pozerstwo, za chciwość i egoizm, za talenty i za beztalencie. Za to, że są nie tyle może nawet źli i bezmyślnie okrutni, co całkowicie obojętni na czyjkolwiek los poza własnym. Cyniczni i pozbawieni zasad. Wszystko uchodzi, byleby to robił swój człowiek. I za zakłamanie, za obłudę, za frazesy, którymi sypią na lewo i na prawo, przykrywając niczym figowym listkiem nihilizm. Ale i za to także, że – będąc ludźmi – czują i cierpią jak każdy zwykły człowiek. Kogoś kochają, kogoś nienawidzą. Ale przede wszystkim za to, że czuję się ich współnikiem.

Rzucam to wszystko w twarz Barsowi, którego zastaję siedzącego po ciemku, samotnie przy swoim chłopskim, piastowskim stole. Nie odpowiada mi ani słowem. Nie wiem nawet, czy słucha tego wszystkiego, co plotę. Jest szalenie zaabsorbowany. Udało mu się przykryć przewrócona do góry dnem czareczką piękną ómę. Przy jasnym ogniu sztormowej zapalniczki, którą Bars zapala wygasłą fajkę, widzę, jak miota się po kryształowym więzieniu ogromny biały kształtko skrzydłach jak z ałtasu i śnieżnobiałym, puchatym odwołku. Małe, czarne oczka są bez wyrazu, ale za to cały śmiertelny

lęk tej żywej jeszcze istoty skoncentrował się w poruszających się gwałtownie smolistych czułkach.

Bars wykonuje również kilka nerwowych ruchów. Myślę, że wie, co odpowiedzieć na moje zarzuty, ale okazuje się, że nie mam racji. Jego troska sprowadza się do kwestii: jak przetransportować złowioną ofiarę do swojej pracowni, możliwie nie naruszając cudownie białego pyłku na atłasowych skrzydłach. Rozgląda się po stole, ale widocznie nic z tego, co tu jeszcze pozostało po pierwszym poczęstunku, nie nadaje się do zamierzonego celu. Szpera więc po kieszeniach. Notes okazuje się za gruby, aby podsunąć go gładko pod otok czarki, nie zezwalając ćmie na ucieczkę. Kartka z notesu – zbyt wiotka. Nie gwarantuje, że stawi opór potężnym uderzeniom skrzydeł walczącego o życie motyla. No i nareszcie jest coś, co spełni wymagane warunki: jest cienkie, a zarazem dość sztywne. To plik reklamowych fotosów naszej sławnej gwiazdy, Bożeny Norskiej. Bars ma dobrą głowę do interesów. Jest nie tylko sam osobiście wielkim Barsem, ale i impresariem swojej żony. Co dwoje – to nie jedno. Zawsze więc ma przy sobie artystycznie wykonane fotosy Bożeny. A nuż trafi się przypadkiem jakiś zagraniczny przedsiębiorca filmowy, impresario lub po prostu nawet korespondent zagranicznego pisma. Albo ustosunkowany wielbiciel talentu pani Bożeny. Takie zdjęcie jest wizytówką. Jest jak pieniądz.

Bars wyłuskuje jedno z tych zdjęć, nie rzuciwszy na nie nawet okiem. Pozostałe chowa znów starannie do kieszeni. Podsuwa sztywny kartonik pod czareczkę i uśmiecha się z satysfakcją. Ostrożnie unosi się z miejsca i odchodzi w stronę tarasu. Na jednej,

płasko wyciągniętej dłoni trzyma zdjęcie Bożeny, grubymi paluchami drugiej dłoni przytrzymuje przewróconą do góry dnem czarękę. Ktoś zapalił na pierwszym piętrze, w sypialni Bożeny, światło. Jego strumień oświetla kroczonego przez trawnik Barsa. Biała ćma miota się coraz bezradniej. Biję skrzydłami po fotografii. Po oczach, po ustach, po włosach pretensjonalnie upozowanej na zdjęciu kobiety. Delikatny biały pył przysypuje pudrem policzki, szyję, rysy całej twarzy naszej filmowej sławy.

Bars odwraca się do mnie na chwilę, by powiedzieć:

– Przepraszam cię, ale muszę ją zaraz uspić...

Siedzę nadal przy piastowskim stole jak sparaliżowany. Teraz w pracowni Barsa, sąsiadującej z jadalnią, zapłonęła lampa. Widzę jego tęgą sylwetkę, krzątającą się to przy stole, to przy parapacie okiennym. Okno jest otwarte. Mógłbym jeszcze w tej chwili podskoczyć do niego, złapać go za rękę, i zakrzyknąć: „Nie rób tego! Pozwól jej żyć. To jest zbyt piękne, aby miało, umrzeć” – ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że nie zrobię tego. Nie wygłupię się. Wyśmiano by mnie na cały świat jako mięczaka, sentymentalnego, czułościwego głupca. A niech ta ćma sobie umiera.

Z sypialni Bożeny przez otwarte okno dolatują do mnie odgłosy kłótni. A właściwie słyszę tylko jedno, wypowiedziane czy raczej może wykrzyczane zdanie.

– Jak nie przestaniesz, to cię zabiję!

Rozpoznaję głos Marioli Protowej.

W kącie tarasu dostrzegam dwa cienie. Stoją tuż obok siebie, może nawet splecione są ramionami. Ktoś płacze. Ale kto? Nie mogę rozróżnić. Po chwili cienie rozchodzą się. Jeden znika, jak gdyby przeskoczył balustradę tarasu i skrył się w zaroślach obszernego

ogrodu. Drugi powolnym, trochę niepewnym krokiem zmierza w kierunku otwartych drzwi jadalni. Przesuwa się obok oświetlonego okna pracowni i zatrzymuje się na chwilę, obserwując krzątającego się po pokoju Barsa.

Teraz widzę: to Jolanta Kordes.

Właściwie w tym momencie całkowicie już otrzeźwiałem. Na mnie po wódce, nie wiem dlaczego, świeże powietrze nie wpływa destrukcyjnie. Odwrotnie: przywraca mi przytomność umysłu.

Ruszyłem więc i ja do środka.

– Królestwo za kawę! – zawołałem z emfazą do Bożeny, która schodziła właśnie z piętra po schodach, kołysząc wdzięcznie biodrami starannie wystudiowanym ruchem.

Dudko spierał się z Nieczułą. Dudko nie wie, biedny głupiec, że pewne rzeczy są wśród nas umowne. Na przykład teoretyczne spory na temat kierunków i prądów w nowoczesnej kinematografii. My tych rzeczy naprawdę nie traktujemy serio, o tym się w dobrym towarzystwie nie rozmawia. To są rodzaje zakłęb lub sloganów, którymi zapycha się dyskusje na ogólniejszych zebraniach. Żyją też z tego niektórzy krytycy filmowi. Ale my, którzy „to robimy”, nie przywiązujemy wagi do sformułowań. Śmiesz nas, kiedy jakiś naiwny redaktor z telewizji, radia czy prasy zaczyna nas wypytywać o intencje, o ideologiczny podkład, o zgodność zamierzonego celu z tym, co zrealizowano. Tak zwane „tajniki” naszej kuchni, obojętne, filmowej czy pisarskiej! Mój Boże, można prawić o tym nieskończenie, jak to jest naprawdę, ale kiedy indziej i gdzie indziej. W każdym razie Guccio, nie w ciemną bitę, nie hamował potoku wymowy Dudki. Z powagą kiwał głową, od czasu do czasu uśmiechał się z dyskretną

aprobata. Odechciało mi się zaplanowanej dysputy z Dudką. Wystarczająco zbłąźnił się tym sporem z Nieczułą. Będzie dość, gdy jutro rzucę Barsowi jedno tylko zdanie: „Nie słyszałeś wczorajszej zasadniczej dyskusji Romcia i Gucia? Wielka szkoda.” – i już Roman Dudko leży. Ostatecznie może Bars chcieć, aby jego kierownikiem literackim był posłuszniak – ale taki szaleniec to on nie jest, żeby mieć na tym stanowisku debila. Kierownik literacki to dość ważna osoba w zespole. Ież spraw można przez niego załatwić w białych rękawiczkach!

Zaczęło mi się nudzić. Już przemyślałem o rejteradzie, sądząc, że żadnej zabawnej sceny nie doczekamy się – ale oto nareszcie coś zaczęło się dziać.

Ktoś włączył magnetofon z najnowszymi nagraniami modnych tańców. Zdaje się, że zrobiła to Mariola. Mariola nie może żyć bez tańca. Nagrania te przywozła ze sobą Bożena z Ameryki i wszyscy byliśmy ich ciekawi, więc przy klasnęliśmy inicjatywie Protowej. Bożena nie posiada wyrobionego gustu. Jest wyznawczynią kultu blichtru – świadczy zresztą o tym najlepiej cały jej styl życia, urządzenie domu, rytuał sławnych „przyjątek”. W istocie nie rozróżnia wartości rzeczywistych i prawdziwych od kreowanych i ulotnych. Stąd na taśmach magnetofonowych, przywiezionych przez nią z dalekiej podróży, jest wszystko: arcydzieła i szmira. Muzyka poważna, egzotyczny folklor i zwykłe, tandetne, ale za to rozreklamowane szlagiery.

Z namaszczeniem wysłuchaliśmy więc jakiegoś mazurka Chopina, zagranego w karkołomnym tempie przez wschodzącą gwiazdę amerykańskiej pianistyki – ponoć zostało to wykonane specjalnie dla



Bożeny, „*the most beautifull polish girl*”. Ale zaraz potem był już twist i po nim zapowiedziany przez Bożenę z ekstatycznym zachwytem najnowszy przebój taneczny świata – shake. *Shake* znaczy po angielsku trząść, potrząsać, drżeć albo chwiać się. Mariola powiedziała, że zademonstruje nam, na czym ów taniec polega. Otóż partner i partnerka, stojąc naprzeciwko siebie wykonują jednocześnie niezbyt skomplikowane *pas* stopami i zasadniczy ruch biodrami, kołysząc ciało w różne strony. Spoglądają sobie czule w oczy i obowiązkowo prowadzą rozmowę. Jak nas poinformowano, najbardziej pożądana jest rozmowa na tematy filozoficzne. Niezbędnym również rekwizytem są kieliszki z odpowiednio wytwornym trunkiem, trzymane przez partnerów w uniesionej nieco ku górze ręce. Kieliszek powinien także kołysać się w takt tańca, nie wolno uronić z niego ani kropli, natomiast można i należy popijać łyček od czasu do czasu.

Na partnera przy tej poglądowej lekcji Mariola wybrała sobie po prostu swojego męża. Michał, zwany bardziej poufale w środowisku „Micky”, a przez swoje kobiety „Musiem”, nie miał wprawdzie wielkiej ochoty na ten popis: przytył ostatnio i stał się ociężały; przeczuwał, że będzie wyglądać trochę pociesznie przy drobnej, zwinnej Marioli – ale dość jeszcze w nim kabotyństwa, aby sprostać sytuacji, pokrewnej teatralnej scenie lub filmowemu ujęciu. Nie wypadło to nawet źle: górując nad Mariolą przeszło o głowę, zgrywał się to na brutala, który chce nastraszyć małą dziewczynkę, to znów na dobrodusznego opiekuna i obrońcę, na angielskiego lorda, na Mikulskiego i Kydryńskiego, na Holoubka i Hanuszkiewicza. Ale to było tylko to, co widzieliśmy, co zapowiadał nam od czasu do czasu swoim aksamitnym barytonem, którym tak ładnie potrafi

uwodzić kobiety. Ktoś przyrównał kiedyś ten jego głos do mahoniu. Jasne i ciemne słoje tego drzewa kładą się obok siebie miękkimi falami, a jego delikatny, choć stanowczy brąz sprawia wrażenie, że płonie, że wydziela z siebie niewidzialne ciepło. Chyba Dudko wymyślił to poetyckie porównanie, bo to w jego stylu. Zapomniał tylko, biedaczek, że pod mahoniowy fornir kładzie się często zwykłą, sosnową deskę. Ciekawe, jak brzmi ten mahoniowy *timbre* głosu naszego amanta, kiedy kłóci się z żoną o wydatki na gospodarstwo domowe...

Nie wiem, czy tańcząc z Mariolą shake'a pomrukiwał pieszczotliwie czy syczał złe słowa. Hall Barsów w Dziezmoli jest bardzo duży, samochodem można po nim jeździć. Protowie tańczyli dość daleko od miejsca, gdzie siedziałem z Lilianą, przytuloną już czule do mojego ramienia. Nie mogłem więc słyszeć, co szeptali do siebie, twarz przy twarzy, patrząc sobie prosto w oczy. Źle mówię. Prot spoglądał na żonę z góry, z pobłażliwym uśmiechem, Mariola patrzyła na niego z dołu, unosząc głowę. Ruchami ciała przypominała kobrę, kołyszącą się w takt fletu hinduskiego zaklinacza węży na krajoznawczej krótkometrażówce albo w cyrku. Ale ta jej głowa, odrzucona trochę do tyłu, utrzymywana z pewnym wysiłkiem w półpoziomej pozycji, nasuwała mimo woli skojarzenie z głową topielicy. Powiadam: nie wiem, jakim tematem wypełniali Protowie obowiązującą konwersację towarzyską – ale Mariola to prawdziwa, wielka artystka. Swoim tańcem potrafi powiedzieć wszystko. Ja w jej interpretacji zwykłego, salonowego „trząsacza” dopatrzyłem się namiętnej prośby, potem gniewu, a potem na końcu złowróżbnej groźby.

Gdy skończyli, nagrodzeni przez nas hucznymi brawami, Bożena zakomenderowała tonem, nie znoszącym sprzeciwu:

– A teraz wszyscy! Wszyscy razem! Tańczymy wszyscy!

Sprawnie podobierała pary. Było ich tylko cztery, bo tyle było pań tego wieczoru. Ja tańczyłem z Lilianą, pletliśmy jakieś nic nie znaczące głupstwa. Bożena Norska wybrała sobie Prota. Tworzyli ładny zestaw. Nie wiem, dlaczego ci dwoje sprawiają zawsze wrażenie niezwykle bliskich sobie, ich poufałość ma odcień zażyłości, potrafią porozumieć się jednym spojrzeniem, jednym półuśmiechem, jednym półsłowem. Tak było i tym razem. Ich ruchy były zgrane, twarze rozjaśnione, znać było, że taniec ten bawi ich i zwyczajnie, po prostu cieszy. Marioli przypadł w udziale Dudko. Tym razem Mariola tańczyła z kamienną twarzą, jak gdyby całe swoje natchnienie utraciła w poprzednim tańcu. Dudko pajacował. Widziałem, że gadał bez przerwy, dolatywały do mnie urywki niektórych zdań. Przewijały się wśród nich takie określenia, jak „kanony nowoczesnej choreografii”, „trend technicyzacji”, „nośność intelektualna”, „człowiek postawiony w sytuacji ostatecznej”, „groźba atomowej zagłady” i inne temu podobne truizmy.

Osobną parę tworzyli Jolanta Kordes i Gustaw Nieczułło. Nawet tańczyli na uboczu, jak gdyby nie chcieli, aby ich konwersacja docierała do niepowołanych uszu. O ile znam Gucia, było mu to nie na rękę i był po prostu wściekły. Jego usta poruszały się rzadko, co zauważyłem, kiedy raz podsunęliśmy się z Lilianą do nich nieco bliżej. Za to bezustannie niemal mówiła Jolanta. To mówienie musiało sprawiać jej ulgę. Twarz, z początku wyrażająca skrajne

napięciu, jakby topniała. Rysy jej rozprężyły się, oczy błyszczały.

Bars stanowczo odmówił udziału w tych piasach. Obnosi powagę mistrza z dostojęństwem, którego nie sposób narażać na wstrząsy – nawet w tańcu. Pykał swoją faję z miną sfinksa, przysłuchując się od niechcenia jakiejś długiej perorze, którą szeptem Firko sącył mu do ucha.

Ciekawe, co tam knują nasze rekiny – pomyślałem. Gdy znów spojrzałem w ich stronę – oba pufy przy niskim stoliczku, które przed chwilą zajmowali, były puste. Panowie gdzieś znikli. Zobaczyłem ich nieco później na tarasie, opartych łokciami o balustradę, tyłem do drzwi. Firko nie przestawał gadać, Bars raz potakiwał ruchem głowy, raz zaprzeczał czemuś. Był moment, iż odwrócił się do nas. W świetle, padającym na taras przez otwarte drzwi hallu, zobaczyłem rzecz niezwykłą. Zobaczyłem na twarzy Sławomira Bar sa strach.

Melodyjka shake'a urwała się. Wciąż jeszcze nieco rozchybotani odruchowo podrygując, odpływaliśmy z miejsca wydzielonego na taneczny krąg ku naszym przystaniom: pufom, fotelom i kanapkom. Nie wiedzieliśmy, co zabrzmi teraz: chorał Bacha czy nowa wersja charlestona. Bo taśma magnetofonu biegła dalej, przewijając się z krążka na krążek z lekkim sykiem.

Z nas wszystkich jedna tylko Jolanta nie zauważyła, że przebój się skończył. Nieczułto odstał od niej, cofnął się o kilka kroków, ale ona i tego nie dostrzegła. Jak zahipnotyzowana kołysała nadal biodrami i przytupywała niezręcznie, przestępując z nogi na nogę na samym środku parkietu. Jedną ręką unosiła do góry pusty kieliszek, drugą wyciągała przed siebie gestem ni to zapraszającym, ni to

blagalnym. W tym momencie rozległa się następna nagrana na taśmie melodia. Tym razem ani Chopin, ani Bach, ani żaden z modnych tańców. Jakaś rytualna melodia południowo czy środkowoamerykańskich Indian wypełniła hall matowym odgłosem bębnów i przeraźliwie świdrującym uszy piskiem fujarek i trąbek. Głos – nie wiadomo, męski czy kobiecy – zawodził przy tym na jednostajną nutę. Jolanta i na to nie zwróciła uwagi. Tańczyła nadal, jakby to był shake, tyle tylko, że solo. Jej ruchy pasowały nawet do tej indiańskiej ludowej muzyki, musiała jedynie nieco przyspieszyć tempo.

Nieczu!to zrobił krok w jej stronę. Chciał zapewne zabrać Jolantę z parkietu i odprowadzić ja na miejsce. Z właściwą mu praktyczną rozważą uznał, że Jolant nie nadaje się na kapłankę-tanecnicę, praktykującą modły ku czci inkaskiego Boga-Słońca. Ale Bożena Norska szybko pochwyciła go za ramię i zatrzymując na miejscu, szepnęła mu coś do ucha. Zachichotał cichutko, prze słaniając usta dłonią. Zrozumiałem.

A Jolanta wciąż tańczyła. Zwijiała się na parkiecie, zarazem bezwolna i skupiona, zapatrzona w coś, czego nikt z nas nie widział, najpierw mamrocząca niewyraźne słowa bez związku, niby kończąc tyradę wygłaszaną przez paroma minutami do Gustawa, potem zaś śpiewająca do wtóru indiańskiemu pieśniarzowi. Tak, właśnie: Jolanta śpiewała. Jakby mało było tego, że tańczy. Na pokaz, sama, pod obstrzałem dziewięciu par nieprzyjaznych jej oczu.

Bo z Jolantą było zawsze tak, jak daleko wstecz pamięcią sięgam, że wiele rzeczy umiała robić – tylko tańczyć nie potrafiła. Ileż to trzeba ją było namawiać w dawnych czasach, żeby choć raz

zakręciła się po parkiecie na dansingu albo w czyimś domu na imieninach. Robiła to niechętnie, opornie, z ponurą miną skazańca, wleczzonego na tortury. Nie była muzykalna ani zgrabna, nic nigdy na niej dobrze nie leżało. Zdawała sobie z tego sprawę. Jej opór nie był bezzasadny. To raczej my, zapraszający ją, chcieliśmy sprawić jej przyjemność, pragnęliśmy, aby wyzbyła się swojego dojmującego poczucia niższości wobec otoczenia. Nawet to, że swego czasu Gustaw ją rozruszał, kiedy rozeszła się z Prottem, że zaczęła ubierać się nieco staranniej i dbać o swoją urodę, nie pomogło. Podczas tańca plątały się jej nogi, traciła poczucie rytmu, odnosiło się wrażenie, iż za chwilę omdleje w ramionach tancerza. Tak samo nie potrafiła nigdy zanucić ani jednej piosenki, choćby najprostszej. A tu – ten rytm tak miarowy, że aż sprawiający ból, ciężki rytm jakby chorego serca, z oporem walącego o żebra w walce ze śmiercią... Ten zaśpiew o tonacjach zmiennych i kapryśnych, tak trudny, że uporać się z nim mogą tylko nieuczenni wiejscy śpiewacy – i najwięksi artyści. I do tego wszystkiego Jolanta! Niemuzyczna, nieporadna, niezręczna, w swojej dziwnie zgrzebnej, źle na niej leżącej garsonce, potargana, z błędnym wzrokiem, wywijająca kieliszkiem i jak ślepiec szukająca przed sobą drogi drugą, wolną, wyciągniętą ręką.

To było tragiczne. I to było żałosne. I tego było widocznie za dużo na ten wieczór, bo przecież przy wszystkich naszych wadach i grzechach – nie jesteśmy bandą nieokrzeszańców ani chuliganów. Wiemy, co to takt i formy towarzyskie, umiemy pohamować odruchy, znamy nakreślone granice przyzwoitości.

Ale w nas wstąpił tym razem zły duch. Może sprawiła to owa

dziwna, niby usypiająca, a w rzeczywistości ekscytująca egzotyczna melodia. Może napięcie, w jakim minął wieczór, domagało się rozładowania. Bo przecież każdy z nas tego wieczora przeżył jakąś swoją walkę. I nikt jeszcze nie mógł powiedzieć sobie, że ją wygrał. Nikt. A więc we wszystkich nas jeszcze siedział, jeszcze tkwił duszący, zły kłęb gniewu, nienawiści i niepewności. I tu – taka makabryczna groteska. Coś w nas pękło.

Ktoś się roześmiał. Nie pamiętam już, kto i nikt już dziś nie wie, kto był tym pierwszym, bo śmiech brzmiał nienaturalnie, obcy naszym uszom, histeryczny. Może to Bożena, może Mariola, może Liliana Runicz. W każdym razie był to śmiech kobiety. Gotów jestem przypisać go Marioli. Ją chyba musiał najbardziej rozśmieszyć taneczny popis solowy Jolanty. Po chwili śmieliśmy się już wszyscy. Śmieliśmy się głośno i niepohamowanie, po wariacku, jak to się mówi, do rozpuku. Rechotaliśmy, zachłystywaliśmy się tym naszym śmiechem, a Jolanta tańczyła. Tańczyła i śpiewała monotonię, bez słów, chociaż poprzez nasz śmiech ledwo, ledwo słyhać było natrętne, głuche uderzenia, indiańskich bębnów. Dusiliśmy się, krztusiliśmy się śmiechem, a Jolanta i tego jakby nie słyszała. Jeżeli przypominała komukolwiek jeszcze kilka godzin temu niepozorną, brunatną ćmę, to teraz ta ćma wpadła w śmiertelną dla niej pułapkę kręgu światła, gdyż jeszcze przedtem, kiedy Mariola demonstrowała nam nowy taniec, Bożena skierowała na środek parkietu ostre snopy światła stojących pod ścianami lamp, przechylając odpowiednio ich abażury. A może – jeśli już ćma, to tak jak jej biała siostra, złapana przez Barsa w kryształową czarękę.

Pierwszy nie wytrzymał nerwowo Bars. Jednym skokiem, ze

zwinnością, o jaką bym go nigdy nie posądzał, dopadł magnetofonu i wyłączył go.

Melodia się urwała. My przestaliśmy się śmiać. Jakby kto uciął ostrym nożem całą tę kakofonię.

W nagłej ciszy, która zapadła w hallu, rozległ się ostry dźwięk. To Jolanta cisnęła o podłogę pustym kieliszkiem, który dotychczas kurczowo ścisnęła w uniesionych do łory palcach.

Stała przed nami, już nieruchoma, wyprostowana sztywno w kręgu światła na środku pokoju. Przypominała aktorkę na scenie nowoczesnego teatru, gdzie sztuka rozgrywa się nie na podium, lecz na kawałku podłogi wydzielonej w środku widowni – aktorkę, mającą za chwilę wygłosić swój wielki monolog do widzów, otaczających ją kołem ze wszystkich stron.

– Ach, wy – krzyknęła z furią – wy, dranie! Śmiejecie się ze mnie! Zawsze byłem dla was pośmiewiskiem. Myślicie, że o tym nie wiem? Myślicie, że zawsze byłem tą głupią, która nic nie rozumie? Mylicie się. Nawet sami nie wiecie, jak bardzo się mylicie. Ja wszystko zapamiętałam sobie. Nie zapomniałam i, póki żyję, nie zapomnę ani jednego z waszych draństw, chociaż każdy z was jest pewny, że nikt go nigdy nie wytropi. Że nikt go nie zdemaskuje. To się wam tylko tak zdaje. Sąd Ostateczny was by z grzechów tak nie rozliczył, jak ja to zrobię.

– Ona oszalała – szepnęła do mnie Liliana.

Wzruszyłem ramionami. Powiodłem oczami po naszej gromadce. Na twarzy Marioli malowało się skrajne zaskoczenie. Bożena była wyraźnie wściekła. Zaplanowała przedstawienie, ale nie z tym repertuarem; chętnie przyglądałaby się na przykład, jak Jolanta meksykańską fajką okłada po łbie Lilianę oraz Mariolę. Firko uśmiechał



się wzgardliwie: nie takie ataki przetrzymywał zwycięsko. Dudko gapił się na Jolantę z głupawą miną, może nawet podziwiał brawurę osoby, której akcje stały tak nisko na naszej giełdzie. Nieczuło denerwował się: kręcił się niespokojnie na miejscu, w którym osadziła go Bożena. Sąsiadka moja też była zmieszana. Zdziwiło mnie: czego może bać się Liliana, odbywająca dopiero nowicjat w naszej konfraterni? Ja sam czułem się zażenowany tą tak niesmaczną, w złym guście, sceną.

A Bars? Nasz wielki Bars? Ten zachowywał się wręcz zdumiewająco. Jeszcze stał przy magnetofonie, ale to, co innych wytrącało z równowagi – jego jakby uspokajało. Na szerokich piersiach skrzyżował ramiona gestem napoleońskim, oparł się plecami o ścianę, wystawił do przodu lewą nogę, żeby mu było wygodniej – myślałby kto, że przygotowuje się do oglądania dłuższego, pasjonującego spektaklu, nie wypuszczając z ust wygasłej fajki. Zachowywał się jak przybysz z Olimpu, któremu nic nie jest w stanie zaszkodzić. Gdy tak na niego patrzyłem, dotarł do mojej świadomości głębszy sens jego pozy. On nigdy nie przestaje być reżyserem. Reżyserowanie stało się jego naturą. I teraz też mamy przed sobą reżysera. Reżysera na planie, który baczным okiem śledzi każdy ruch aktora, grającego narzuconą mu rolę. Nie interweniuje: wszystko toczy się zgodnie z jego zamysłem.

– Jolanta, przestań! Nie wygłupiaj się!

To krzyknął Michał Prot. Widocznie jako długoletni jej mąż nie potrafił wyzbyć się w stosunku do Jolanty poczucia własności czy też odpowiedzialności.

Okrzyk ten wywarł wręcz odwrotny skutek, niż zamierzał nasz amant. Zamiast uciszyć, jeszcze bardziej rozjątrzył Jolantę. Pierwszy

atak skierowała właśnie na niego. Oczy jej błyszczały dziko, wyrzucała z siebie słowa z niepohamowaną furią:

– Milcz, gogusiu. Byłeś zawsze, jesteś i zostaniesz szmatą. Na wszystko się zgodzisz, na wszystko cię stać, żeby tylko nadal pozostać bożyszczem, żeby na twój widok ekspedientki omdlewały za ladą, a nastolatki biły się o twój autograf. Chory jesteś z zazdrości, że już nie twoja fotka zdobi odpustowe lusterka...

– Ma rację – mruknąłem cicho, ale do Liliany moje słowa nie docierały. Zafascynowana, wpatrywała się w Jolantę, wygłaszającą swoją oskarżycielską mowę.

A Jolanta nie przestawała krzyczeć.

– Własnej matki wyparłeś się dla kariery. Dobra była, póki harowała na ciebie, ta stara sprzątaczką. I kiedyś, na początku to ci się przydawało. To nie była zła przepustka: syn robotnicy. Ale potem to już zamykałeś ją w kuchni. Dla twoich nowych przyjaciół i gości była gosposią... Może zaprzeczysz? Może powiesz, że nie? Może nie przy mnie ją zbiłeś po pijanemu, a ona uciekła i rzuciła się pod tramwaj?! Bo powiedziała, że ze wstydu by zgorzała, gdyby mieli ciebie za to sądzić...

– Ale ty jej nie broniłeś! – zawołała Mariola.

– Milcz! Nie twoja sprawa. Twoja sprawa jeszcze się zacznie. Albo już się zaczęła. Chyba już przejrzałeś? Chyba już orientujesz się, że to nie ty zrobiłeś karierę, tylko on, żeniąc się z tobą? Chyba już rozumiesz, że kobiety dla niego to szczeble drabinki, po której pnie się do góry? A jeżeli już wyżej nie da rady wleźć, to potrzebuje kariatyd, żeby na sobie dźwigały cały ciężar jego życia. I jego kariery. Nie miał nic przeciwko temu, że puściłam się z Gustawem. Chciał, żebym sobie poszła. Na początku, kiedy jeszcze obijał się

po prowincjonalnych estradach, miał pożytek z żony dziennikarki. Z moich znajomości i stosunków w redakcjach... Ale potem to już okazało się dla niego za skąpo. A ja i Nieczułto to było wyjście. No nie, Guciu? Nie obiecywałeś mu, że jak wygryziemy Barsa, a ty obejmiesz zespół, to najlepsze role, w najlepszych filmach będą dla Micky, dla kochanego Micky?

– Bredzisz – warknął Michał Prot – i kłamiesz. Po prostu nie mogłem już z tobą wytrzymać.

Przerwała mu niecierpliwie:

– Wiem, wiem. Po piętnastu latach okazałam się brzydka, głupia i nudna. Nie oszczędzałeś mnie, pamiętam. I Mariola okazała się tą jedyną, która jest w stanie rozumieć twoją wzniosłą duszę, bo była młodsza ode mnie o dwadzieścia lat. I lepiej zarabiała. I liczyłeś na to, że jak się z nią ożenisz, Firko przestanie wyciskać z ciebie prezenty i wódkę za obsadzenie w dobrych rolach... bo w rodzinie nie wypada! A komu ją teraz podstawiasz, powiedz? No, Mariola, odezwij się, komu on ciebie teraz pcha do łóżka? Nie Trokiewiczowi czasem, bo ma kręcić jakiś wielki szlagier? A Musio czuje już, że „Wir” się kończy... Wszyscy widzieli, jak po ostatniej premierze upychał ciebie do auta Trokiewicza.

O, to był potężny cios! Rzeczywiście, wszyscy już wiedzieliśmy o romansie Marioli z reżyserem Trokiewiczem od czasu, kiedy niby przypadkowo spotkali się tego lata w Mamai – ale nie to było najważniejsze. Bars i Trokiewicz: wielcy antagoniści, jak można by sparafrazować Słowackiego, dwa bogi na swych przeciwnych słońcach – czyli na przeciwstawnych krańcach naszego filmowego firmamentu. Bars, stary wyga, wytrawny znawca rzemiosła, i

Trokiewicz, powojenny przychówek polskiej kinematografii, artysta z polotem, finezyjny filozof, chociaż nie każdy chce przystać na jego barokową manierę, na jego symbolikę i metafory, na jego widzenie naszych spraw. Mnie osobiście dzieła Trokiewicza przypominają cenne lustra, oprawione w misterne ramy, ale lustra pęknięte. Bars i Trokiewicz nigdy nie mówią o sobie nawzajem źle. Odnoszą się do siebie nawet z pewnym szacunkiem. Ale wcześniej czy później tylko jeden z nich pozostanie na placu boju, to wiadomo. Nie mógł Michał Prot popełnić większej zdrady, jak wchodząc w konszachty z Trokiewiczem. On – człowiek Barsa. On – którego Bars stworzył z nicości.

– Myślisz, Mariola, że on tylko z nami dwiema tak zrobił? Z tobą i ze mną? A Bożena? Przecież to Musio skojarzył to nasze sławne filmowe stadło. To on podsunął Sławomirowi pięć lat temu Bożenę, moją siostrę. Moją przyrodną siostrę...

O tym nie wiedziałem, a zawsze myślałem, że wiem wszystko o ludziach z zespołu „Wir”. Duża bomba. I komiczna w dodatku. Bo trudno o dwie kobiety mniej do siebie podobne pod każdym względem, „jak Bożena i Jolanta. Zanim Bars ożenił się z Bożeną, miał już dwie żony. Pierwsza zginęła w czasie wojny czy też umarła zaraz po jej zakończeniu, nie pamiętam. Druga była działaczką polityczną, zajmowała kolejno różne wysokie stanowiska w instytucjach, kierujących naszym życiem kulturalnym. Niektórym twórcom dała się ostro we znaki w czasie, który zwykło się określać mianem „okresu błędów”, chociaż według mnie słuszniej byłoby mówić o „błędach okresu”. Sam napisałem wtedy ze szczerego i gorącego serca pewną powieść, o której powiadam, że była błędem, chociaż wolałbym

się jej nie wstydić i przyznam z zażenowaniem, że jestem do niej bardzo przywiązany. Jak matka do ułomnego dziecka. Ale z racji tej jednej powieści moi drodzy koledzy całą moją twórczość odesłali na złom. Zresztą mniejsza o to. Znów się zapędziłem, gdzie nie trzeba, a miało być o żonach Barsa. W odpowiednim roku Bars rozwiódł się z towarzyszką-żoną, bo psuła mu markę w dobrym towarzystwie. Przez dłuższy czas bytował samotnie, po kabotyńsku lubił, żeby szeptano o nim: „nasz wielki samotnik”. Jak żubr, król puszczy. Insynuowano nawet, czy się nie przestawił seksualnie, bo to zrobiło się modne. Widocznie sprzykrzyły mu się te plotki, gdyż właśnie wtedy ożenił się z Bożeną. Ze strony Barsa wszystko zresztą wskazuje, że to naprawdę wielka miłość. Może i pierwsza – i ostatnia w jego życiu. No cóż, starzejący się, brzydki mężczyzna i młoda, piękna kobieta...

– Byłaby Bożenka nadal dzieci gimnastyki uczyła w naszych rodzinnych Kielcach, gdyby nie Musio. I byłoby się starą panną, bo się w kandydatach kieleckich na męża jak w ulęgałkach przebierało. Ale od czegoż ta frajerka, starsza siostra? Wprawdzie niewiele starsza, tylko o dwa lata...

Bęc! To znaczy, że nasza Bożenka ma o wiele więcej lat, niż podaje do publicznej wiadomości...

– Taka siostra powinna pomóc rodzeństwu w urządzeniu się. No i urządziła się moja Bożenka w Warszawie. Dzięki Musiowi i mnie.

Teraz zrozumiałem, skąd Barsowi przyszedł do głowy pomysł zakupienia od Jolanty jej opowiadania i jego przeróbki filmowej. To Bożena ustrzeliła dwa zajęcia za jednym wystrzałem. Miał z tego być

okup dla Jolanty za przygarnięcie Bożeny w pierwszym warszawskim okresie i haracz dla Michała Prota za tak zgrabnie odegraną rolę swata. Ale czy tylko? Czy aby Bożenie nie zależało na „Musi-u”?

Mimo woli, rozmyślając o tej sprawie, puściłem koło uszu jakiś fragment wywodów Jolanty. Otrząsnąłem się szybko. Wykrzykiwała nową porcję oskarżeń, jej głos wibrował, to nabierał wysokich, histerycznych tonów, to załamywał się w głuchych, urywanych szlochach, to znów ciął jak brzytwa. Wymierzała ciosy celne i bolesne:

– Mnie, Mariola, nie oszukasz. Ja wiem, za co nienawidzisz Bożeny. Za co mnie. To nie zazdrość o Michała. On może tylko grać amantów, ale kochanek z niego żaden. To my wiemy z tobą dobrze. Hipochondryk, tu go boli, tam go strzyka. Zmęczony po zdjęciach. Wypać się musi, żeby ładnie wyglądać. Jemu niańki potrzebne, a nie żony, nie kochanki. Ciebie zżera zazdrość o nasze dzieci. O Andrzeja, którego mi zabrałaś i zdeprawowałaś. Myślałaś, że go sobie pozyskasz, a straciłyśmy go obie. Tego chciałaś? Tak? Masz frajdę, udało ci się. A teraz Agnieszka ciebie korci.

– Jaka Agnieszka? – zaskrzeczał Bars.

Bars ma głos nieprzyjemny, ale stara się nad nim panować. Zresztą uchodzi za małomównego. Ale kiedy coś go wytrąci z równowagi, głos jego przypomina dźwięk rozdzieranego materiału.

– Ach, to ty o niczym nie wiesz? – roześmiała się Jolanta złośliwie. – Nie wiesz o tej naszej małej rodzinnej tajemnicy? Tajemnica ma siedem lat i wychowuje się w Domu Dziecka. Żeby mamusi w niczym nie przeszkadzać. Ani tatusiowi. Żeby im życia nie komplikować. Agnieszka to córka Michała i Bożeny. Nie przejmuj się,

przecież ciebie to nie dotyczy. Namów Bożenkę na drugie dziecko, tym razem z tobą. Widzisz, Sławomirze drogi, z Mariolką inna sprawa. Ona...

– Milcz! Milcz, bo cię zabiję! – drobna, zwinna postać Marioli w jednej sekundzie znalazła się obok Jolanty.

Myślałem, że ją uderzy. Że złapie cokolwiek ciężkiego, co się jej pod rękę nawinie i uderzy. Ale Jolanta to przewidziała. Zdążyła w porę uskoczyć w bok i dokończyć zdanie:

– Ona w ogóle nie może mieć dzieci! Nigdy nie będzie miała dziecka! Nigdy!

Wskazywała palcem na Mariolę, która zastygła w swojej agresywnej pozie. To nie Mariola uderzyła Jolantę – to Jolanta zmiażdżyła Mariolę, nie dotknąwszy jej nawet w przelocie. Mariola cała skurczyła się w sobie, wydała mi się jeszcze mniejsza, jeszcze drobniejsza, niż była w istocie. Wyglądała jak skrzywdzone dziecko. Cofnęła się. Po omacku, na ślepo, ruchem rąk odnalazła fotel. Opadła w jego głąb bez sił i zaczęła rozpaczliwie, głośno płakać.

Ten incydent ruszył nas z miejsc, na których dotychczas trwaliśmy jak zahipnotyzowani. Bożena podeszła do stolika z napojami, nalała do kieliszka koniaku i podała Michałowi, skinieniem głowy dając mu do zrozumienia, żeby kazał go wypić Marioli Prot objął opiekuńczo ramieniem żonę i odszukawszy dłonią jej twarz w powodzi rozpuszczonych, gęstych włosów, zaczął troskliwie ocierać lży chusteczką.

– Może już dosyć tego przedstawienia, Jolanto? – odezwałem się dość ostrym tonem.

– O, nie! – zwróciła na mnie ciemne oczy, które błyszczały

triumfalnie. – Nie każ mi milczeć, Pawle. Bo i ty możesz na tym coś skorzystać.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Nie bój się. Nie będę rachować pieniędzy, które „Wir” utopił w nowelach filmowych i scenariuszach twoich kolegów i przyjaciół, bo tobie na tym czy tamtym zależało. Ale może jesteś ciekaw, dlaczego „Wir” znajduje się na granicy krachu? Tak, finansowego krachu. Może sobie Izba Kontroli elegancko pisać w protokołach i pokontrolnych zaleceniach: „niegospodarność”, „lekkomyślne szafowanie sumami przeznaczonymi na realizację”, „nadmierne wydatki” i tak dalej. A ja ci powiem: zwyczajny rabunek. Każdy brał, ile chciał i kiedy chciał. Firko tylko preteksty wymyślał. Bo go parę osób miało w łapie. Bo wiedzieli to, co i ja teraz wiem. To, dlaczego taki człowiek nie powinien był zajmować się odpowiedzialną robotą. To, gdzie znikał czasami na całe tygodnie. To, że jest nałogowym alkoholikiem! Że delirium czasami już dostaje. Że go do szpitala wtedy zawozić trzeba, skąd ucieka, jak tylko przychodzi do siebie. A jedna popijawa była taka – wskazała palcem Dudkę i Nieczułą – z tymi oto panami, że jedną dziewczynę, która nie chciała z nimi poszaleć, z czwartego piętra oknem wyrzucili. Mówiło się potem: nieszczęśliwy wypadek albo samobójstwo. Ani jedno, ani drugie. Morderstwo. Zwyczajne morderstwo.

– No, tego to już dość – wysoka, koścista postać Firki wyrosła obok Jolanty jak spod ziemi.

Ujął ją za ramiona swymi dużymi, silnymi dłońmi i chciał zmusić, by usiadła na kanapie.

Nie wziął jednak pod uwagę, że Jolanta znajduje się w stanie szczególnego podniecenia. Siła histeryka potęguje się, kiedy



wyczuwa, że jego wyskok odnosi pożądany skutek. Jolanta zaczęła się szarpać i udało się jej wyswobodzić z rąk Firki. Odbiegła od niego o parę kroków i, bezpieczna za wysokim oparciem jednego z foteli, nie ustawała:

– I to może chcesz jeszcze, Pawle, wiedzieć, że zostaniesz na lodzie, jak się „Wir” rozleci... Bo każdy z tych państwa już sobie coś obmyślił. Mój ukochany szwagier na przykład...

Bars tępo i ponuro wpatrywał się w koniuszki swoich modnych włoskich butów. Sprawiał wrażenie, iż jest mu już wszystko jedno.

– Zabezpieczył sobie tyły. W razie czego fiut i już go nie ma. Są pieniądze za granicą na różnych kontach, są umowy, można żyć. Jest z czym zaczynać. Tylko nie wiem, czy się nie oszuka. Bo ja znam kochaną siostrzyczkę, Bożenkę, a co najmniej połowa tego dobra opiewa tam na jej nazwisko... A pan Nieczułło i pani Liliana Runicz na przykład nie mają zamiaru opuszczać pobojowiska w ukochanej ojczyźnie. Przetrwają kryzys i znów wypłyną. A przetrwają, bo mają forszę. Skąd? Ciekawe... To ty, Gustaw, wykradłeś mi z domu biżuterię, którą dostałam od Michała, a twoja nowa pani zrobiła z niej ładne duplikaty. Mnie podrzuciłeś kopię, a oryginały sprzedałeś Bożenie czy podarowałeś, nie wiem... Ale, jak mi życie miłe, ja z was to wszystko wyciągnę. Wyplujecie mi to wszystko pod nogi albo ty pójdziesz gnić do kryminału. I za co Bożence sprawiłeś tę przyjemność?

Bożena zbladła, a Liliana wpadła w popłoch. Teraz ona, podobnie jak Mariola, zaczęła szlochać. Z tym, że nie trudziła się, by znaleźć dla siebie osobny fotel na schronienie. Miała mnie pod ręką. Rzuciła mi się na szyję i zaczęła skrapiać obficie łzami moją

wyjściową marynarkę. Miałem już tego wszystkiego dość i postanowiłem położyć kres szaleństwu. Odsunąłem Lilianę i podniosłem się z miejsca. Musiałem mieć coś szczególnego w wyrazie twarzy, bo na mój widok Jolanta zaczęła się cofać, aż oparła się o okienny parapet. Salon Barsów ma bowiem oprócz drzwi balkonowych również dwa okna, wychodzące na taras. Okno to było z lekka tylko uchylone, przez wąską szparę sączyła się ciemność i przenikał do pokoju odświeżający chłód z ogrodu. Pomyślałem, że zanim jeszcze ukręcę Jolantę, muszę się dowiedzieć pewnej ważnej rzeczy. Zapytałem ją, patrząc z bliska w oczy:

– No, ulżyłaś sobie, co? Wyszumiałaś się? Całe szczęście, że nikogo obcego tu nie było. Mam nadzieję, że nie prowadzisz pamiętnika...

Roześmiała się wyzywająco:

– A ty myślisz, że ja bym to wszystko... tak dla zgrywy tylko? Za darmo? Powieść napisałam. O was wszystkich. O tym wszystkim. Jutro składam ją w wydawnictwie. Niech się wszyscy o was dowiedzą. Będzie uciecha na pół Polski. Ale ja chciałam sobie sprawdzić, jakie wy będziecie mieli miny, gdy poczytacie o sobie, powiedzmy, w odcinku w „Expressie”. Taka próba generalna, rozumiesz? Powinieneś rozumieć. O tobie też tam będzie. Że ty...

Nie wiedziałem, jakie to sensacje o mnie nosi Jolanta w zanzardzu. Jakikolwiek by jednak były, stanowczo nie życzyłem sobie, aby z nimi tu teraz wyskakiwała. Z tym, co ma iść do druku, już sobie jakoś bym poradził.

Trzeba jej zamknąć usta – pomyślałem. – Trzeba to zrobić zaraz, szybko i skutecznie.

Uderzyłem ją mocno w twarz szeroko rozwartą dłonią. Zachwiała

się i chwyciła ręką za chłaśnięty policzek. Przy tym ruchu trąciła ramieniem ramę okienną i uchylone dotychczas na parę centymetrów okno rozwarło się szeroko.

I właśnie wtedy to się stało.

Z ciemności wytrysnęła prosto w to otwarte okno jasnożółta iskra... Ta iskra trafiła Jolantę w bark i zsunęła się po jej ramieniu na podłogę salonu, a Jolanta głośno, przeraźliwie krzyknęła. Krzyknęła i upadła.

Iskra w rzeczywistości nie była żadną iskrą. Ale tak właśnie wyglądał syjamski kot Bożeny Norskiej, Yogi, kiedy odbiwszy się prawdopodobnie od balustrady, jednym susem pokonał niespełna półtorametrową odległość, dzielącą go od jasnego prostokąta okna. Czemu nie wskoczył do salonu drzwiami? Któż to może wiedzieć. Nikt nie zna tajemnic kociej natury. Po drodze napotkał przeszkodę: ramię Jolanty Kordes. Ale nie wykluczam, że po prostu ktoś tego kota przez otwarte okno, sam ukryty w ciemności, Jolancie na ramię rzucił. Zanadto zaabsorbowany byłem samą Jolantą, aby móc dokładnie stwierdzić, czy kogoś w tamtej chwili nie było w ogrodzie lub na tarasie i czy wszyscy pozostali w salonie na swoich miejscach. I nie jestem pewien, czy ktoś inny stwierdzi tę okoliczność. Zamieszanie było zbyt wielkie.

Teraz wydarzenia następowały po sobie błyskawicznie. Z Jolantą, leżącą na podłodze u moich stóp, zaczęło się dziać coś dziwnego. Ciałem jej wstrząsały drgawki. Otworzyła szeroko oczy, usiłowała łąpać powietrze rozwartymi ustami, jak ryba na piasku.

Próbowałem ją dźwignąć, by zanieść na kanapę. Była tak ciężka, że nie dałem rady.

– Wody! – krzyknąłem, odwracając się do zebranych twarzą,

bo dotychczas stałem tyłem do salonu. – I niech mi tu ktoś pomoże...

Dźwignęliśmy Jolantę we trzech: ja, Dudko i Nieczułło. Gdy położyliśmy ją na kanapie, ręka jej zwisała bezwładnie. Otwarte oczy patrzyły wciąż na mnie, ale tak nieruchomo, że rozumiałem. Jolanta nie żyje. Wydało mi się to straszne i zarazem jakby niedorzeczne.

W tym momencie z kuchni dobiegł nas okrzyk pełen grozy i przerażenia. Rzuciłem się w stronę otwartych kuchennych drzwi. Wraz ze mną inni. Stłoczeni w drzwiach, patrzyliśmy w milczeniu na Bożenę, która klęczała na wykładanej białymi kafelkami kuchennej podłodze, pochylona nad trupem kota Yogi. Nie ulegało żadnej wątpliwości już na pierwszy rzut oka: kot w kuchni był również nieżywy, jak kobieta na kanapie w salono-jadalni państwa Barsów – i zginął w sposób równie piorunujący jak jego ofiara.

Wtedy ktoś powiedział – chyba to był Firko – że trzeba natychmiast wezwać pogotowie i milicję. Bars podszedł do telefonu w hallu i wykręcił numer komendy MO w Dzieźmoli.

Popatrzyłem na zegarek: była punkt dziewięta wieczór.

(–) Paweł Bodziaczek.

Warszawa, 10 września 1966 roku«.

Na tym kończy się przydługa, nieco literacka opowieść Pawła Bodziaczka o tragedii w Dzieźmoli. Odłożyłam na bok gęsto zadrukowane maszynowym pismem kartki z mieszanymi uczuciami. Autor ich nie wzbudzał we mnie ani sympatii, ani zaufania. Czy naprawdę tak było? Ile tu dodał od siebie? Ile zataił?

Widocznie kapitan Chmura również miał swoje własne obiekcje w stosunku do tego dzieła, które pomóc mu miało przy rozwikłaniu zagadki: dlaczego zginęła Jolanta Kordes – gdyż opatrzył je uwagą, przytwierdzoną spinaczem do ostatniej kartki maszynopisu:

„Nie ze wszystkimi supozycjami autora zgadzam się. Szczegóły do wyjaśnienia przy dalszym śledztwie. Trzeba przesłuchać Dudkę na okoliczność: co naprawdę mówiła Jolanta Kordes o Pawle Bodziaczku”.

## 7.

Myślę, że po przeczytaniu utworu Pawła Bodziaczka Sebastian Chmura z ulgą wylądował wśród fachowych lekarskich ekspertyz. Czuł się zapewne jak rozbitek, który kołyszany zbyt długo przez bezmiar wodny, odnajduje wreszcie skrawek zbawczego ładu. Śmiało może postawić stopę na tej ziemi.

Ekspertyza lekarska to nie ulotne, nieuchwytne wrażenia, lecz bezsporne fakty. Współzależność tych faktów jak matematyczna formuła rodzi wniosek nie do obalenia przez żadne okoliczności. Zwłaszcza, jeżeli pracy tej podejmują się fachowcy, biegli w teorii, bogaci w doświadczenie i dysponujący najnowocześniejszym wyposażeniem technicznym swoich naukowych pracowni.

Tak więc Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej MO w Warszawie obdarzył kapitana Chmurę aż dwoma protokołami sekcji zwłok i kilkoma aneksami analiz chemicznych. Drobiazgowo opisy poszczególnych etapów badań przejrzałam pobieżnie. Mnie, jako laikowi, niewiele mówiły fachowe obliczenia.

O wiele bardziej przystępne i istotniejsze wydały mi się końcowe konkluzje, wyjaśniające przyczynę zgonu Jolanty Kordes i kota Yogi, przedstawiciela szlachetnej syjamskiej rasy. Podsumowanie żmudnych dociekań biegłych medyków i toksykologów brzmiało następująco:

„Przyjąć należy, iż denatka, Jolanta Kordes, zmarła na skutek wprowadzenia do jej organizmu śmiertelnej dawki cyjanku potasu. Cyjanek potasu wprowadzony został do krwioobiegu przez uszkodzony naskórek ramienia, na którym stwierdzono głębokie zadrapania powstałe na skutek zadrażnienia przez pazury obu przednich łap kota. Równomierność rozmieszczenia trucizny na czubkach pazurów kota wydaje się wykluczać ewentualność, iż zwierzę przypadkiem wdepnęło łapami do naczynia, zawierającego proszek cyjanku względnie nadepnęło na ligninę, nasyconą jego roztworem. Zgon kota nastąpił na skutek przeniknięcia trucizny do organizmu przez przewód pokarmowy (błony śluzowe). Można dopuścić, iż zwierzę połknęło cyjanek, usiłując zlizać z pazurów krew podrapanej Jolanty Kordes”.

Rzeczowo i krótko. Urzędowe epitafium kota i kobiety, mordercy i jego ofiary. Wydaje mi się to absurdalne: kot jako zabójca. Bo nawet jeśli przyjmujemy, iż istnieje inicjator tej zbrodni, ktoś, kto wprowadził pod kocie pazury śmiertelną dawkę trucizny, to i tak od Yogiego zależało, czy morderstwo się dokona, czy nie.

Ale: stop. Jeszcze przecież nie dotarło do mnie to wszystko, co wiedział Chmura, kiedy po raz ostatni zawiązywał teczkę tasiemką i odsyłał ją do archiwum.

Chmura nigdy niczego nie przyjmuje „na wiarę”. Jeżeli ma zeznanie świadka, sprawdza je. Sprawdza prawdziwość tego świadka w różnych okolicznościach życiowych, nie mających nic

wspólnego z daną sprawą. Jeżeli ma ekspertyzę, wgryza się w nią cierpliwie tak długo, aż wyzbędzie się wszelkiej niepewności. Mam zatem przypięte do ekspertyz własne, odręczne notatki Chmury, kilka zdań, wypisanych z „Chemii toksykologicznej” Tadeusza Dutkiewicza oraz „Medycyny sądowej dla prawników” profesora doktora Grzywo-Dąbrowskiego. Czytam między innymi:

„Kwas pruski i cyjanek potasu są używane w laboratoriach fotograficznych i w galwanoplastyce...”

„Otrucie kwasem pruskim lub cyjankiem potasu może nastąpić przez przedostanie się ich do ustroju drogą oddechową, przez zażycie trucizny doustnie, na skutek przeniknięcia ich przez uszkodzoną (choćby w postaci drobnego zadrapania) skórę...”

„W pewnych wypadkach otrucie niemal błyskawicznie powoduje śmierć. Człowiek otruty pada nagle, czasem wydaje gwałtowny krzyk, zjawiają się drgawki, następuje parę gwałtownych wdechów, a potem zgon. W większości wypadków śmierć następuje po upływie kilkudziesięciu sekund lub paru minut”.

I jeszcze:

„Ciekły lub gazowy cyjanowodór stosuje się do odkażania statków, magazynów, pomieszczeń mieszkalnych, zwalczania szkodników roślinnych i zbożowych. W różnych gałęziach przemysłu stosuje się cyjanowodór najczęściej w postaci soli: przy czyszczeniu i hartowaniu metali, złoceniu, galwanoplastyce, w syntezie chemicznej, przy produkcji mas plastycznych, azotniaku, gazu świetlnego, barwieniu, bejcowaniu i drukowaniu tkanin oraz w analizie chemicznej...”

Zastanawiam się, po co Chmura sobie to wszystko powypisywał,

skoro miał tak niedwuznaczne orzeczenie biegłych lekarzy toksykologów. Ale oto on sam daje mi na to odpowiedź na kartce wyrwanej z notesu i dołączonej na końcu do pliku dokumentów. Chmura pisze:

„Istnieje zasadnicza zgodność między opisem działania cyjanku potasu na organizm człowieka, zamieszczonym w obu podręcznikach i opisem śmierci Jolanty Kordes, zanotowanym przez Bodziaczka. Ten fragment jego opowiadania należy więc uznać za wiarogodny. Zwrócić uwagę w czasie przesłuchań na możliwości dostępu do cyjanku potasu, jakie miał każdy z uczestników przyjęcia. Zasadnicza sprawa: kto i w jakim celu wysmarował kotu pazury trucizną? Ewentualności:

- a) ktoś na złość Bożenie Norskiej chciał uśmiercić jej kota,
- b) ktoś wysmarował kotu pazury trucizną, pragnąc uśmiercić w zebranych towarzystwie osobę, którą Yogi lubił i której przede wszystkim skoczyłby na kolana po przedostaniu się do salonu,
- c) ktoś zrobił to samo, tylko biorąc pod uwagę odwrotną przesłankę: licząc, że zdenerwowany kot zaatakuje osobę, której nie lubił,
- d) ktoś to zrobił, żeby zabić Jolantę Kordes.

W przypadku b) i c) śmierć Jolanty Kordes nastąpiłaby przez przypadek: właśnie ona, cofając się przed Bodziaczkiem, stanęła kotu na drodze. W przypadku d) mam najwięcej wątpliwości: w jaki sposób inspirator zabójstwa zaplanował i wyliczył sobie, że kot skoczy właśnie na Jolantę Kordes? Byłoby to możliwe, jeżeli punkt c) pokrywałby się z punktem d), to znaczy, że w całym towarzystwie kot najbardziej nie znosił Jolanty. Albo b) – czyli ją właśnie wyróżniał.



Gdyby celem zamachu miała nie być Jolanta Kordes – punkt a), b), c) – to absolutnie bezpodstawne jest całe rozważanie Pawła Bodziaczka na temat nielojalności Jolanty wobec środowiska i bezzasadny zarzut, że złamała zмовę milczenia, że jej gadulstwo dotyczące moralnego oblicza członków zespołu »Wir« stało się przyczyną tragedii w Dzieźmoli.

Przede wszystkim bowiem należy zwrócić uwagę na fakt następujący: wysmarowanie kotu pazurów wymaga jednak trochę czasu, zakładając nawet, że inspirator zbrodni miał przy sobie przygotowaną truciznę. Okazję do wykonania tego zabiegu mieli wszyscy uczestnicy; przyjęcia przed monologiem oskarżycielskim Jolanty, Kordes, czyli wtedy, gdy jeszcze nikomu chyba nie było wiadome, co ta kobieta zamierza zrobić. W czasie wybuchu Jolanty wszyscy byli na miejscu w salonie. Kot skoczył jej na ramię, gdy dopiero miała zamiar zakończyć swoje przemówienie. Supozycje Bodziaczka, że ktoś rzucił Jolancie kota na ramię z tarasu, wymknąwszy się niepostrzeżenie podczas zamieszania, mają dość wątplę podstawy...”

Kartka Chmury jest urwana u dołu. Może snuł jeszcze jakieś dalsze wnioski, ale po chwili uznał je za niestuszne i żeby nie mącić sobie jasności rozumowania, oderwał ten fragment. A może narysował tam kwiatki albo diabełki, rozmyślając nad brakiem logiki w dziele pisarza Pawła Bodziaczka?

Kartka nosi u góry datę późniejszą niż daty ekspertyz. Musiał już w tym czasie mój Chmura, rozmyślając intensywnie nad wynikiem ekspertyz, podjąć żmudny trud zbierania informacji od uczestników przyjęcia, od ich przyjaciół i znajomych, w miejscu pracy i w miejscu

zamieszkania, musiał też już mieć za sobą studia nad maszynopisem Pawła Bodziaczka. A wciąż jeszcze tyle znaków zapytania. Odkładam na bok ten plik papierów, wyodrębniony przez Chmurę przez złączenie jednym dużym spinaczem, jak odrębny rozdział opowieści. Zaraz zacznie się następny.

## 8.

Na początku, niby wstęp, znów kartka z notesu Chmury z uwagą tej treści:

„Wszyscy kręcą. Nie mam do nich zdrowia. Chociaż na pierwszy rzut oka niektórzy wydają się dość sympatyczni. Myślę, że Bodziaczek i Jolanta przesadzają, tak bardzo oczerniając to swoje środowisko. Zdaje się, że po prostu osiągnęli mniejsze sukcesy niż inni i stąd ich zawiść, matka nienawiści.

Ale że sprawa niecodzienna i raczej trudna, pokręcona, chcę tym razem zastosować nieco inną metodę. Z przesłuchań osób, obecnych na przyjęciu, chcę wyodrębnić poszczególne ważne dla mnie tematy. Zwyczajnie, powycinam sobie pewne fragmenty nożyczkami, ponaklejam paski na kartki. Zamiast szukać i dopasowywać do siebie fragmenty przesłuchań na konkretny temat, będę miał jednorodny ciąg tematyczny. Jako pierwszy temat biorę na warsztat sprawę tego cyjanku”.

Tak więc następny plik kartek nosi wspólny tytuł, wypisany czerwonym długopisem:

„SKĄD WZIAŁ SIĘ CYJANEK NA PAZURACH KOTA YO-GI?”

## Z przesłuchania Sławomira Barsa

- Chmura: Podczas oględzin pańskiego domu w Dzieźmoli znaleźliśmy słoiczek cyjanku potasu. Do jakich celów pan go używał?
- Bars: Zatruwam nim ćmy. To najprostszy i najbardziej humanitarny sposób usypiania tych stworzeń. Pan kapitan widział moją kolekcję. To owoc pracy wielu lat.
- Chmura: Tak, orientuję się, że to pana ulubione hobby. Czy ten słoik jest jakoś zabezpieczony? Czy też każdy może mieć do niego dostęp?
- Bars: Ależ oczywiście trzymam go w zamknięciu. Pod kluczem, w specjalnej szafce, gdzie mam także inne preparaty i przyrządy. Klucz noszę przy sobie.
- Chmura: Ale to taka zwykła przecież szafka i zwykły kluczyk, który łatwo podrobić...
- Bars: Nie było nigdy potrzeby obchodzenia się z moim warsztatem tak, jak gdyby to były skarby korony brytyjskiej. Oprócz mnie nikt w domu nie interesuje się pracownią i moimi zbiorami. Zresztą nikt by nie śmiał tknąć tam niczego palcem bez mojego zezwolenia.
- Chmura: Ale tego wieczora było inaczej.
- Bars: Ogromnie nad tym ubolewam. Nie wiem, czy pan kapitan też ma jakieś hobby i czy pan wie, co to jest pasja zbieracza. Złowiłem

wspaniały okaz białej ćmy. Okazy do kolekcji usypiać trzeba natychmiast, w przeciwnym bowiem razie tracą masę pyłku ze skrzydeł. Odłączyłem się więc na chwilę od towarzysstwa i udałem się do pracowni, żeby ćmę spreparować. Ale spieszyłem się, nie wypadło pozostawiać gości na długo bez gospodarza. No i cóż, zdarza się... Zapomniałem schować ten fatalny słoik do szafki. Pozosta-  
wiłem też otwarty eksykator. Takie szklane naczynie, na którego dno sypie się cyjanek, a potem wpuszcza się do niego ćmę i nakłada się pokrywę.

Chmura:

Gdzie pan to wszystko zostawił?

Bars:

Tam, gdzie pracowałem. Na parapecie okiennym.

Chmura:

Czy okno było otwarte?

Bars:

Uchylone. Lubię świeże powietrze.

Chmura:

Kiedy po tym wypadku wziął pan znów słoik i eksykator do ręki, czy nie zauważył pan w nich ubytku proszku?

Bars:

Raczej nie. Zresztą, przyznam się, po prostu nie zwróciłem na to uwagi. Zanadto byłem wstrząśnięty tym, co zaszło. A prócz tego, ponieważ tylko ja jeden korzystałem z wyposażenia pracowni, nie miałem zwyczaju ani żadnego odliczania, ani zaznaczania aktualnej zawartości słoika.

Chmura:

Swoją drogą bardzo nam pan utrudnił dochodzenie tym pospiesznym usunięciem słoika i

eksykatora z parapetu. Tam mogły być odciski palców... osób postronnych.

Bars: Nie pomyślałem o tym. Widzi pan kapitan, ja jestem pedantem. Zanim powkładam moje przyrządy do szafki, zawsze je przecieram ściereczką. W takiej pracowni jak moja, musi panować idealna czystość. Inaczej zbiory mogłyby mi się popsuć.

Chmura: No tak... Czyli dochodzimy do wniosku, że każdy z obecnych na przyjęciu mógł skorzystać z zawartości słoika z cyjankiem potasu i otwartego ekcykatora z trucizną na dnie. Nawet nie musiał wchodzić do pańskiej pracowni. Wystarczyło przechylić się przez parapet, stojąc na tarasie i będąc niewidzialnym w ciemności...

Bars: Tak. Chyba tak.

#### Z przesłuchania Bożeny Bars-Norskiej

Chmura: Czy pani orientuje się w działaniu trucizny, zwanej cyjankiem potasu?

Bożena Norska: Wiem tylko tyle, że to gwałtownie działa. Panie kapitanie, ile to już lat, kiedy uczyłam się chemii...

Chmura: No, ale czytuje się o tym czasami w powieściach kryminalnych, ogląda na filmach...

Bożena Norska:           Wybaczy pan kapitan, ale ja nie gustuję w takiej literaturze...

Z przesłuchania Katarzyny Nalepy:

Chmura:                    Jak dawno jest pani gosposią u państwa Barsów?

Katarzyna:                U pana Barsa, za przeproszeniem. Piętnaście lat.

Chmura:                    Czy pani wie, co pan Bars trzymał w pracowni, w takim porcelanowym słoiku z przykrywką, w swojej szafce z przyrządami?

Katarzyna:                Co mam nie wiedzieć? Trutkę na ćmy. Na komary, muchy i inne robactwo to też dobre. Odkazaliśmy tym kiedyś z, moim panem piwnicę, kuchnię i śmietniki. Taki gaz robi się z tego. Ale mnie samej pan nie dawał tego robić.

Chmura:                    Nigdy pani sama nie brała?

Katarzyna:                A skądby! W pracowni wolno mi było sprzątać tylko, jak pan tam był.

Z przesłuchania Michała Prota:

Prot:                        Cyjanek potasu? Pojęcia nie mam, co się z tym robi. Wiem, że trucizna i tyle. No i wiem, że Bars trzymał to świństwo u siebie, ale po co, nie orientuję się.

Z przesłuchania Marioli Protowej:

Mariola Protowa: Miałam kiedyś w domu jeden opłatek z odrobiną cyjanku potasu. Wyprosiłam tę szczyptę od mojego kuzyna, który pracuje w jednym z instytutów chemicznych. To było wtedy, kiedy lekarz powiedział mi, że nigdy nie będę miała dziecka... Życ mi się odechciało. Kuzynowi powiedziałam, że muszę szczury wyteńczyć w piwnicy.

Chmura: Gdzie ma pani teraz ten opłatek z cyjankiem?

Mariola Protowa: Gdzieś mi się zapodział. Może przez nieuwagę wyrzuciłam podczas jakiegoś generalnego sprzątnania...

Z przesłuchania Andrzeja Prota:

Andrzej: Cyjanek potasu? A co to takiego? Z chemii miałem zawsze luźną w szkole, panie kapitanie.

Chmura: Taka trucizna.

Andrzej: Nie znam się na tym. My się w takie rzeczy nie bawimy z chłopakami, panie kapitanie. My mamy inne sposoby...

Z przesłuchania Romualda Dudki:

Dudko: Owszem, panie kapitanie. Używam cyjanku potasu. Jestem zapalonym fotografem i kręcę też krótkometrażowe filmy dokumentalne. Sam wywołuję i opracowuję moje zdjęcia,

robię różne eksperymenty. Potrzebny mi do tego ten piekielny cyjanek, nic na to nie poradzę... Bez niego ani rusz. Ale w kieszeni stale go przy sobie nie noszę „na wszelki wypadek”. Słowo daję.

#### Z przesłuchania Liliany Runicz:

Liliana Runicz: Tak, mam w domu cyjanek. Nie będę się wypierać. Jestem przecież plastyczką. Moje mieszkanie jest zarazem pracownią. Oprócz scenografii zajmuję się wyrobem artystycznej biżuterii. Do tych prac cyjanek jest niezbędny.

Chmura: Czy pan Gustaw Nieczufló, który, o ile mi wiadomo, bywa często u pani, wie, że posiada pani tę truciznę?

Liliana Runicz: Tak. Czasami przygląda się mojej pracy.

Chmura: A więc miał dostęp do pani zapasu cyjan-ku? Wiedział, gdzie go pani trzyma? Mógł niepostrzeżenie odsypać pewną ilość dla własnych celów?

Liliana Runicz: Pewnie, że mógł...

#### Z przesłuchania Tadeusza Firki:

Firko: Sam dostarczałem Barsowi cyjanek. Szef produkcji musi przecież mieć chody wśród różnych zaopatrzeniowców... Skąd był ten



zapas? Słowo daję, że nie pamiętam. Ale zdaje się, że z Łodzi. Z pewnej fabryki włókienniczej.

#### Z przesłuchania Pawła Bodziaczka:

**Bodziaczek:** Tak, widziałem, jak Bars preparował ćmę na parapecie swojej pracowni. No i rzecz jasna wiem, że zawsze używał do tych celów cyjanku. Inni używają eteru. Rzecz gustu i usposobienia.

**Chmura:** Kto prócz pana był świadkiem tych, nazwijmy to, zabiegów pana Barsa?

**Bodziaczek:** Zaraz, zaraz... Niech sobie to jeszcze raz uprzytomnię... Mariola? Nie. Bożena...? Też nie. Chyba to one kłóciły się w sypialni Bożeny na pierwszym piętrze, tuż nad pracownią Barsa. Powiedzmy, że gdyby któraś wychyliła się przez okno, mogłaby zobaczyć. Ale nie. Kiedy kobiety ( się kłócą między sobą, nic nie widzą. Ach, już wiem. Przypomniałem sobie. Oprócz mnie jeszcze Jolanta musiała widzieć, jak Bars szalał po pracowni...

Na zeznaniu Pawła Bodziaczka kończą się kartki z ponaklejany-  
mi wycinkami z protokołów. Te kartki wyglądają trochę jak depesze.  
Brak tylko podpisu na końcu. Chmura zebrał to wszystko, jak to się  
mówi, do kupy, ale nie opatrzył żadnym końcowym akcentem, żad-  
nym komentarzem. Albo zeznania te ułożyły mu się w tak jasny  
obraz, że nie potrzebował konkluzji na piśmie, wiedział już to, czego  
chciał się dowiedzieć, upewnił się w tym, co przewidywał – albo

odwrotnie: nadal nie wiedział jeszcze nic.

Sprawa jednak wygląda mi na klasyczną sytuację z powieści kryminalnej: tak czy inaczej każdy albo sam był w posiadaniu tej trucizny, albo wiedział, że Bars ją ma i orientował się, gdzie trzeba po nią sięgnąć. Każdy więc z uczestników przyjęcia, nie wyłączając szarej eminencji, Katarzyny Nalepy, „gosposi pana Barsa” może być podejrzany o to, że w celach zbrodniczych natarł pazury kota Yogi śmiertelną trucizną.

## 9.

### „SYMPATIE I ANTYPATIE KOTA YOGI”

Taki tytuł, wykaligrafowany podobnie jak inne nagłówki czerwonym długopisem, nosi następna zszywka wycinków, porobionych pracowicie przez kapitana Sebastiana Chmurę z protokołów, sporządzanych podczas przesłuchiwania uczestników przyjęcia w Dzieżmoli.

A więc Chmura zabrał się do rozpracowywania swojej czteropunktowej tabelki pytań, obracających się wokół problemu zasadniczego: na co liczył człowiek, który wyposażył kota w śmiercionośną truciznę? Jakiej reakcji zwierzęcia spodziewał się w tej sytuacji? Na jakich przesłankach opierał swoją odmianę teorii prawdopodobieństwa ten człowiek – albo bardzo przebiegły, albo bardzo naiwny.

Skrupulatność Chmury w podchodzeniu do sprawy mogę podziwiać znów przy przeglądaniu nowej zszywki.

W komendzie koledzy pokpiwają z niego. Powiadają: jeżeli żona z zazdrości zastrzeli męża, który zajmował się produkowaniem szczoteczek do zębów, to na pewno w aktach śledztwa znajdą się notatki Chmury, dotyczące produkcji i dziejów tego artykułu. Będzie wiedział wszystko o szczoteczkach do zębów, co tylko na ten temat można wiedzieć. Mawia nieraz: „A nuż to nam coś da?” – a poza tym twierdzi, iż pomiędzy człowiekiem i przedmiotami, którymi się otacza, rzeczami, które lubi, zawodem, który wykonuje, istnieje wspólna, chociaż czasami ukryta dla oka więź.

I tak na pierwszej kartce zszywki, poświęconej naturze kota Yogi i jego stosunkom z ludzkim otoczeniem, mamy najpierw odrębną notatkę Chmury tej treści:

„Królestwo zwierząt” – według Brehma opracował Lakowitz, tłumaczył na polski Stanisław Rewieński. Strona 87: „Koty (Felidae). Zwierzęta drapieżne, o miernie długich nogach, chwytające zdobycz w skoku...”. „Łapy są okrągłe, przednie z pięciu, zadnie z czterema palcami, uzbrojonymi w bardzo ostre, wysuwalne pazury. Wszystkie koty chodzą na palcach, to jest nie następują całą podszwą, ale tylko palcami”.

Chmura od razu wykorzystuje te sformułowania dla swoich konkretnych celów. Grubą kreską podkreślone jest zdanie, w którym mowa o kocim zwyczaju chwytania zdobyczy w skoku. Podkreślone są także słowa: „wysuwalne pazury” i „chodzą, na palcach”. Dopisek brzmi:

„Jolanta – jako zdobycz. Stąd ten skok. Wysuwalne pazury – oto problem. Zakładam dwa warianty. Pierwszy: ktoś naciera kotu pazury trucizną na parapecie okna pracowni Barsa. Kot jest podniecony tym, co z nim ów ktoś robi. Instynkt go ostrzega: niebezpieczeństwo.

Broni się, wrywa, więc muszą być zadrapania na farbie okiennej. Trzeba sprawdzić, czy są. I na balustradzie tarasu.

Najwcześniejszy termin tej operacji na kocie: bardzo krótko przed oskarżycielską mową Jolanty, bo w czasie jej »występu« wszyscy byli w salonie i nikt nie oddalał się, jak twierdzi Bodziczek. Gdyby natomiast ktoś to zrobił dużo wcześniej, nienormalne zachowanie się kota zwróciłoby czyjąś uwagę. Na pewno kot jakoś usiłował pozbyć się tego, co miał na pazurach.

Drugi wariant: ktoś smaruje kotu pazury trucizną bezpośrednio przed rzuceniem się Yogiego na Jolanę. Kot jest wściekły, wrywa się (albo jest popchnięty w tym kierunku) i ląduje na ramieniu Jolanty. Ta wersja jakoś wydaje mi się bardziej realna. Trzeba stwierdzić, może jednak kogoś nie było w salonie przy końcu oskarżycielskiej mowy Jolanty?

Koty chodzą na palcach. Ten szczegół może się przydać przy rozpatrywaniu ewentualności: czy Yogi jednak sam nie wdepnął na przykład w pozostawiony przez Barsa bez przykrywy eksykator z cyjankiem potasu? Ale to mi nie pasuje: brak śladów trucizny na pozostałej powierzchni palców kota. Por. Ignaciak spiera się ze mną: powiada, że kot, chowając pazury do woreczków swoich palców – a tak chodzą koty, właśnie z wciągniętymi pazurami – wyprowadziłby sobie od razu truciznę do organizmu i zginąłby nie zdążywszy nikogo zaatakować. Ale ja obserwowałam dziś kota-znajdę, którego hoduje moja żona Marianna. Kot nie chowa całych pazurów przy chodzeniu. Same tylko ich koniuszki wystają na zewnątrz z woreczków mieszczących się wewnątrz palców. I właśnie ktoś to przewidiał. Trucizna znajdowała się tylko na samych czubkach pazurów.

Że kot tego nie zliział? Zwierzę dobrze wie na ogół, co nadaje się do konsumpcji, a co nie. Ale kot to drapieżca, ńęci go zapach świeżej krwi. Dopiero więc krew ofiary na pazurach pchnęła kota do polizania ich, tłumiąc odruch samoobrony”.

Tyle na pierwszej kartce. Na drugiej mam znów ponaklejane paski, wycięte nożyczkami z protokołów przesłuchań.

Mówi Bożena Bars-Norska:

– Yogi... Bardzo boleśnie przeżywam jego stratę. Ogromnie mi go brak. Może pan kapitan to uznać za egzaltację, ale ja po prostu kochałam to zwierzątko. Widocznie Yogi to wyczuwał, bo uznawał w domu tylko mnie. Chodził wszędzie krok w krok za mną jak pies. Czekał zawsze na mnie przy furtce. Wystarczyło, żebym zawołała, przybiegał do mnie z najodleglejszego zakątka ogrodu. Miał cztery lata. Dostałam go od męża w pierwszą rocznicę naszego ślubu. Sławek wiedział, że marzyłam o kocie. I właśnie o syjamskim, bo to są najmądrzejsze ze wszystkich kotów. Kogo Yogi jeszcze lubił, bo ja wiem... Był z niego dzikus. Nie znosił cudzych pieszczot, potrafił zaatakować znienacka. Kiedyś nie było mnie w domu przez dłuższy czas, tak wtedy zdziaczał, że pogryzł mojego męża boleśnie w rękę. Kiedy przychodzili goście, najczęściej zamykałam go w moim pokoju. Tak było najbezpieczniej. Obcy ludzie w domu denerwowali go. Nie cierpiał też hałasu, głośnej muzyki, papierosowego dymu i zapachu alkoholu. Tego wieczora też go zamknęłam. Ale zdaje się, że wymknął się, kiedy weszliśmy do mojej sypialni z Mariolą, która

chciała poprawić sobie makijaż. Jeżeli kogoś Yogi nienawdził wręcz żywiołowo, to właśnie Marioli. A ona bała się go panicznie. Nie wiem, dlaczego. Może ma ruchy zbyt szybkie, zbyt gwałtowne, koty tego nie lubią. Kiedyś rzucił się na nią, gdy demonstrowała nam swój najnowszy układ taneczny...

Mówi Sławomir Bars:

Kupiłem Yogiego Bożenie w takim małym sklepiku na Nowym Świecie, który handluje zwierzętami domowymi, ptakami i rybkami. Wstępuję tam niekiedy do profesora, który prowadzi ten sklep, żeby pogawędzić o ómach. Kupuję czasami od niego ciekawe okazy tych motyli. To sprawia mi wprawdzie mniejszą przyjemność, bo są one już wtedy spreparowane, a dla zbieracza najcenniejsze jest zawsze to, co sam zdobędzie... Kiedyś zobaczyłem u niego ogłoszenie o syjamskich kotach, że są na sprzedaż. Pokazał mi te kocięta. Jeden z nich, właśnie Yogi, bardzo mi się spodobał. Pomyślałem, że pasowałby do urody mojej żony. Miał takie same jak ona jasnoniebieskie oczy, smolistą główkę i gibkie ruchy. Nadarzała się okazja: zbliżała się pierwsza rocznica naszego ślubu. Przyniosłem jej kociaka, ale bardzo zawiodłem się i rozczarowałem. Nie była zadowolona z prezentu. „Nie cierpię kotów!” – krzyknęła i rzuciła Yogiego z kolan. Ale kiedy wytłumaczyłem jej moje racje, przystała na ten prezent. Z biegiem czasu przyzwyczała się do Yogiego, lubiła nawet pozować z nim do fotografii. Traktowała go jednak, powiedziałbym, raczej obojętnie. Jak jeszcze jeden luksusowy przedmiot w tym domu,

który dla niej wybudowałem. A ja lubiłem Yogię... Pewnego razu Yogi coś spsocił, nie pamiętam już, co zrobił. Zdaje się, że podarł jej piękny kaszmirowy szal. Właśnie siedziała przed lustrem i czesała się. Rozgniewana rzuciła w Yogię szczotkę. Rzucił się na nią. Gdyby nie moja interwencja, podrapałby ją boleśnie, bo miała sukienkę z krótkimi rękawami. Złapałem go niemal w połowie skoku i wtedy, wciąż jeszcze rozwścieczony, a może i w geście samoobrony, Yogi ugryzł mnie w palec. Ale to zdarzyło mu się tylko ten jeden, jedyny raz. Z naszych gości Yogi bardzo lubił Jolantę. Właśnie Jolantę. Kiedy do nas przychodziła, przybiegał do niej i łąsił się. Bożena była nawet o to jak gdyby zazdrosna. Przepędzała go i „zamykała w swoim pokoju. Lubił Michała Prota. Natomiast nie znosił nigdy Bodziaczka. Parskał na niego i wystawiał pazury. No i, niestety, nigdy nie udało mi się namówić Kasi i Yogię, żeby się zaprzyjaźnili...

Mówi Katarzyna Nalepa:

Fuj, nie cierpiałam tego zwierzaka. W ogóle nie lubię kotów, bo śmierdzą. Żeby jeszcze był tu pies, to rozumiem. I duży, podwórzo- wy. Jak państwo wyjeżdżają i zostają samiusieńka w tej landarze, to mi się zdaje, że za każdym krzakiem złodziej siedzi, bandyta jaki. A co pan myśli? Tyle dobra w takim domu! Mieliby co brać. I jeszcze żeby ten kocur chociaż myszy łapał, a i to nie. Byłabym mu dawno dała szczotkę po łbie, żeby sobie gdzie uciekł, gdyby nie pan Bars. Mój pan pieścił się z nim jak z dzieckiem, za przeproszeniem. A nieraz to i gadać do niego potrafił godzinami, jak pani w, domu nie

było. Bo pani nasza tak za bardzo za tym kociskiem nie przepadała. Kogo z gości Yogi nie lubił...? Czy ja wiem, ja tam na pokoje nie chodzę, jak są goście. Ale Firko raz przed nim aż do kuchni się schował i jeszcze wołał na mnie, żebym drzwi dobrze zamknęła, najlepiej na klucz, bo Yogi potrafił sobie drzwi z klamki otworzyć. Podobnie dmuchnął na niego pan Firko dla żartu cygarem. Kocur o mało mu ślepiów nie wydrapał. Tę, co nie żyje, panią Jolantę, Yogi lubił. Widziałam czasami, jak pani Jolanta szła sobie przez trawnik, a kocur jej na ramieniu siedział. I tę nową kochanicę pana Gucia Yogi też uważał. A pana Gucia – to nie. Raz widziałam, jak przy tym stole w ogrodzie Yogi siedział na kolanach tej pani, Runicz czy jak jej tam, a ona wzięła go pod pachy i zaczęła nim pana Nieczułą straszyć. I co pan kapitan powie, skoczył kocur na Nieczułą, aż ten pod stół umknął, a kot za nim. Co się wtedy całe towarzystwo przy stole nie naśmiało z tej gonitwy...

Mówi Andrzej Prot:

Ja... Lubię koty. Rzadko bywałem u Barsów, dwa czy trzy razy. Lubilem bawić się z Yogim. Śmieszny zwierz.

Mówi Michał Prot:

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy lubię Yogiego albo czy on lubi mnie. W ogóle lubię zwierzęta. Ale w moich warunkach, przy mojej pracy, przy tych ciągłych wyjazdach na zdjęcia nie mogę sobie pozwolić na żadne domowe zwierzę. Kto by o nie dbał?



Jeszcze Jolanta lubiła i koty, i psy, i ptaki. Jak Andrzej był mały, mieliśmy cały ogród zoologiczny w domu. Ale Mariola mówi, że lubi zwierzęta tylko na wolności, w lesie, wśród przyrody. Zresztą kiedy miałyby czas na zajmowanie się kotem albo psem? Cały dzień jest poza domem. A Yogięgo może nawet specjalnie nie lubiła, bo nie znosi Bożeny. Jakieś takie babskie humory. Nie wiem, o co im chodzi, bo i Bożena nie darzy Marioli specjalną sympatią. A ja bardzo chciałem, żeby one obie się zaprzyjaźniły...

Mówi Mariola Protowa:

Ja w ogóle nie znoszę żadnej niewoli, żadnych narzuconych więzów. A zwierzę udomowione to zwierzę w niewoli. Ale z Yogięm chciałam się zaprzyjaźnić, bo chciałam go poderwać Bożenie. Złośliwość? Może. A pan kapitan lubi takich słodziutkich ludzi? Przecież to maska. Takim nie można ufać. Przynosiłam Yogięmu po kryjomu różne smakołyki. I po kryjomu mu je dawałam. Jadał wyjącznie surowe mięso, więc przekupywałam go to kurzą wątróbką, to kawałeczkiem polędwicy. Bożena nas kiedyś przyłapała na takim czułym tête-à-tête. Zrobiła mi piekielną awanturę, że struję»jej kota i potem szczyła go na mnie. To podła babka, mówię panu. A Jolanta też narzucała się Yogięmu, tylko że on od niej uciekał. Jak ją zobaczył, to dawał drapaką. Zupełnie tak, jakby się jej bał. A to dziwne, bo syjamy należą do odważnych i inteligentnych zwierząt.

Mówi Gustaw Nieczuńko:

Pan kapitan sugeruje, że Yogię mnie nie lubił, a ja się go bałam? Nonsens. Ta scena przy stole w ogrodzie? Ależ to była zabawa,

zwykła towarzyska zgrywa Kogo Yogi naprawdę nie cierpiał, to Bodziaczka. Podczas jakiejś pijatyki Paweł chciał” napoić, Yogiego koniakiem. Kot poprzewracał całą zastawę na stole, potłukł Kieliszki i filiżanki. Od tego czasu Bożena zamykała Yogiego na klucz w pokoju, kiedy byli goście.

Mówi Liliana Runicz:

Yogi? Malowniczy zwierzak. Lubiliśmy się. Kogo lubił, kogo nie lubił? Nie wiem, doprawdy. Za krótko i za mało bywałam w Dzieżmoli.

Mówi Paweł Bodziaczek:

Po prostu: nie lubię kotów. I nie zależy mi na ich wzajemności. Yogi budził może we mnie wyjątkową awersję, bo był taki rozpuszczony. Kto to widział, tak cackać się z kotem...

Mówi Romuald Dudko:

Na zamówienie pana Barsa i jego żony robiłem całą serię zdjęć Yogiego. Umęczyłem się jak głupi. Ale czego się nie robi dla ludzi, na których poparciu nam zależy, no nie? Widziałem, jak kiedyś Prot kopnął Yogiego, bo ja wiem, może i niechący. Tak później mówił. Nie lubię, gdy ktoś znęca się nad zwierzętami. Chętnie hodowałbym w domu kota, ale mam psa, który nie darzy, niestety, sympatią

kocięgo rodu. Yogi trzymał się ode mnie z daleka, może czuł zapach psa... Jolanta chyba lubiła koty, to głupi pech, że właśnie kot wyprawił ją na tamten świat. Zbierała materiały do książki o kotach, to miała być taka kocia encyklopedia, „Wszystko o kotach”, wiersze, piosenki, fragmenty prozy, wyjątki z dzieł naukowych, anegdota. Proponowała mi nawet, żebym się zajął stroną ilustracyjną, bo wiedziała, że mam duże archiwum fotograficzne i że fotografia to moje hobby. Ale ja nie paliłem się do tej współpracy. Jolanta podpadła środowisku, niektórzy bojkutowali ją, nie było dobrze widziane, żeby się z nią zadawać. Po co miałem psuć sobie szanse, no nie?

\*

Myślałam, że na tym już koniec wypowiedzi wszystkich osób, w pewnym sensie zainteresowanych postacią kota Yogi, urodziwego reprezentanta syjamskiej rasy.

Pomyliłam się jednak. Okazało się, że Chmura wziął pod uwagę wypowiedź jeszcze jednej osoby, uczestniczącej w przyjęciu w Dzieźmoli, chociaż przesłuchać jej nie był w stanie. Po prostu: załączył jeszcze felietonik o kotach z *Filipinki* pióra Jolanty Kordes. Na końcu zszywki znajduję jego notatkę:

„Wycinek o kotach z pisma dla dziewcząt *Filipinka* sprzed dwóch lat znalazłem podczas rewizji na biurku w mieszkaniu Jolanty Kordes. Jak sprawdziłem, współpracowała ona kiedyś z pismem *Filipinką* i zamieszczała tam małe encyklopedyczne artykułiki”.

Przejrzałam pobieżnie: autorka wyraźnie darzyła koty sympatią i zebrała sporo ciekawostek na temat ich historii i obyczajów.

## 10.

Odłożyłam na bok przeczytane kartki i pomyślałam, że chyba rzadko który kot ma na swoim koncie tyle pośmiertnych wspomnień, co Yogi. Teraz wzięłam do ręki kilkanaście luźnych kartek, zapisanych ręcznie przez Chmurę. Po kratkowanym papierze i formacie poznałam, że kartki te pochodzą z jego notesu. Na pierwszej z nich u góry widniały słowa, napisane nieco większymi literami i staranniej niż cała pozostała reszta manuskryptu: Jak zabić ćmę?

Sebastian Chmura uznał widocznie, że odpowiedź na to proste, zdawałoby się, pytanie, nie jest taka łatwa ani jednoznaczna, skoro wyjaśnieniu tej kwestii poświęcił cały „elaborat. Oto jego treść.

»Nosilem się pierwotnie z zamiarem sporządzenia zwyczajnego, normalnego protokołu „z przesłuchania na okoliczność” i tak dalej. Doszedłem jednak do wniosku, iż nic mi to nie da. Ot, jeszcze jeden urzędowy szpargałek więcej, po przeczytaniu którego mój szef mruknie z niezadowoleniem: „No, proszę i na to nasz funkcjonariusz traci swój cenny czas”.

Rozmowa zaś, którą odbyłem z bardzo kompetentnym człowiekiem w sprawie nocnych motyli, zwanych potocznie ćmami, dała mi dużo do myślenia i zasługuje na odnotowanie. Jakieś skojarzenia, jakieś refleksje, utwierdzenie się w sądach o ludziach... Ale te z kolei dopiero nie mieszczą się w żadnym schemacie protokołu. To dla siebie samego chcę zapisać tę rozmowę, jej nieuchwytny nastrój, jej podteksty. Może coś mi się z tego przyda przy wyciąganiu ostatecznych wniosków w sprawie, którą prowadzę. Powiedzmy, spróbuję naśladować Bodziaczka.

Wybrałem się pewnego dnia na Nowy Świat, żeby załatwić kilka spraw. Po pierwsze wstąpiłem do małej pracowni bluzek w pawilonach, przycupniętych na zapleczu domów między Smolną i Foksal. Pod pretekstem, iż pragnę nabyć dla żony mojej, Marianny, prezent na imieniny, zainteresowałem się dziesięcioma artystycznie wykonanymi bluzeczkami, zwisającymi smętnie z ramiączek wzdłuż barwnego parawanu. Niestety, nie były do kupienia, jak mnie poinformowała przemiła pani o ciemnych oczach i bujnych ciemnych włosach, ubrana skromnie w czarną sukienkę, spiętą śliczną starą broszką z kości słoniowej. Nalegałem. Powtórna odmowa poparta została argumentem, iż po pierwsze pracownia szyje przeważnie na zamówienie, a po drugie bluzki te czekają właśnie na pewną klientkę, która, niestety, spóźnia się na przymiarkę. Obłudnie załamane ręce: na Boga, po cóż jej aż dziesięć bluzek?! Otrzymałem uprzejmą odpowiedź, iż pani ta wybiera się za, granicę... Pani w czarnej sukience uśmiechnęła się pobłaźliwie: oto jeszcze jeden mężczyzna, nie znający tajników kobiecej natury. Któżaż to kobieta ma za dużo bluzek?

Nazwisko Bożeny Bars-Norskiej nie padło podczas tej rozmowy ani razu. Ale ja ten adres znalazłem w dużym notatniku, oprawionym w krokodylową skórę, leżącym obok telefonu w Dzieźmoli. Rewizja w domu państwa Barsów, aczkolwiek przeprowadzona z niesłychanymi reweransami z naszej strony, była zabiegiem wprawdzie bolesnym dla właścicieli siedziby, ale dla nas niezbędnym. Musieliśmy przecież sprawdzić, czy ktoś w jakimś zakamarku nie pozostawił na przykład paczuski ze zbywającym cyjankiem potasu...

A więc pani Bożena wybiera się za granicę. Ciekawe. Nic mi o

tym me wspominała. Trzeba będzie sprawdzić w biurze paszportowym.

Drugą wizytę złożyłem w komisie po przeciwnej stronie ulicy. Tu już wystąpiłem w roli oficjalnej. Niewiele musiałem pokonać przeszkód, by dowiedzieć się, że pani Norska bardzo często „wstawia tu towar” W drobiazgi się nie bawi. Są to zazwyczaj komplety luksusowej francuskiej bielizny i kosztowne futra. Od stycznia do września jej obrót wyniósł przeszło trzysta tysięcy złotych. Niby żadne przestępstwo. Procenty komis jej odlicza skrupulatnie. Żeby tylko jeszcze tyle nie narzekała na niskie gáže...

Trzecia wizyta była dla mnie najważniejsza. Szedłem na nią trochę z treścią – chyba jak ci, którzy z błyskiem zarazem niepewności i nadziei w oku przekraczają próg kolektury na rogu Nowego Światu i Foksał, gdzie co miesiąc można wygrać milion albo nic. Myślałem czy ja wygram chociaż moją stawkę w sklepie, o którym wielu warszawiaków mówi, że to nie sklep, ale instytucja...»

Już wiem, dokąd udał się Chmura, bo ja też tam bywam. Na odcinku Nowego Światu między narożnym domem przy Rutkowskiego, gdzie brzydkie i zakurzone wystawy prezentują cudaczną modną odzież – i drugim narożnikiem przy zbiegu z Warecką, gdzie w salonie Desy zubożali posesjonaci i wszelcy „potrzebowscy” powierzają pieczy uprzejmych pań resztki domowych zastaw i serwisów, miedzierze z tłuczkami i naftowe lampy, samowary i płótna Kossaków oraz ikony w takiej ilości, że myślałby kto, iż Polska z dawien dawna prawosławnym była krajem – mieszczą się trzy sklepy w swym charakterze bardziej chyba archaiczne niż wszystko inne od ronda

przy Alejach Jerozolimskich aż do pomnika Kopernika.

Te trzy sklepy są jak trzy kępi zieleni w wyschniętym, kamiennym łożysku potoku. Tu mieszkańiec kamiennego miasta zaspokaja swoją instynktowną tęsknotę za żywą przyrodą, za obcowaniem z naturą – choćby ta natura była tylko niedużym szklanym naczyniem z kilkoma rybkami, krążącymi melancholijnie wśród chwiejących się mikrowodorostów. W niczym tak nie objawia się w nas duch przodków, mieszkańców otwartych ku słońcu i powietrzu polnych i leśnych przestrzeni, jak w żądy posiadania kanarka, wyśpiewującego swoje dźwięczne tryle wśród zgrzytu tramwajów, pisku samochodowych opon, stukotu tysięcznych nóg po bruku i wycia radia sąsiadów zza ściany spółdzielczego bloku. Kto ma domek na przedmieściu, może nabyć parkę gołębi. Kto samotny i sentymentalny, może pocieszyć się parką morskich świnek lub chomikiem. Kto snob – niech kupi egzotyczne świerszcze. Czekają tu mały perski kociak i dwa jamniczki, czekają papużki i bokserek o bandyckiej gębie i anielskiej dobroci, czekają na nas, abyśmy je kupili i ofiarowali im miejsce w naszym domu. Czekają na kogoś, kogo mogłyby czule i wiernie pokochać.

Do jednego z tych sklepów Chmura skierował swoje kroki, bo chyba o nim to właśnie wspomniał mu Sławomir Bars, gdy mówił o kupnie kota Yogi i o tym, że tu uzupełnia czasami swoją kolekcję motyli. Po właściciela tego sklepiku wszyscy mówią nie inaczej. Jak „panie profesorze”.

Wchodzącego owiewa duszny zapach wielu ptaków i zwierząt, zamieszkujących klatki i klateczki, gęsto sfłoczone na malutkiej

przestrzeni. Ustawione szeregiem akwaria stwarzają iluzję, że znajdujemy się na dnie morza. Mikromorza. W nim cierniki, welony i złote rybki wzięły na siebie role wielorybów i rekinów. Podświetlona, zielonkawa woda, przetykana srebrzystymi banieczkami powietrza i złotawymi, ruchliwymi plamkami rybek, rozsiewa w tym kącie sklepiku tajemniczą poświatę. Ale oto i proza: jakiś klient zapamiętanie klóci się o grzałkę do akwarium, która kupiona tu niedawno zepsuła się, jak uparcie twierdzi ekspedient, prawdopodobnie na skutek nieumiejętnego obchodzenia się z tym delikatnym przyrządem. Dwaj malcy usiłują wsadzić palce do klatki z papugą; czy dziobnie? Sklepiak pełen jest ludzi. Ktoś pyta o wypchane ptaki dla szkolnego kącika biologicznego, ktoś nie jest pewien, jak ma karmić zółwia, przywiezionego latem z Bułgarii. Ale po co przyszedł tu Chmura? Niech się dowiem od niego samego:

«Profesor urzęduje za ścianką frontowego stelażu, w korytarzyku, którego skąpą przestrzeń uszczuplają jeszcze jakieś pudła i paki.

Zaprasza mnie, bym usiadł obok niego przy stoliczku, zawalonym papierami i książkami. Co chwilę rozmowę naszą przerywa telefon.

– Co? – upewnia się profesor ze słuchawką przy uchu. – Żmija? Nie, aktualnie nie posiadamy takiego okazu...

Śmieje się, odkładając słuchawkę. O krokodyla nikt się jeszcze nie upominał? Nie? A szkoda. Daje się oswoić... Profesor ma postać ruchliwą i szczupłą, rumiane policzki, siwiejące włosy i wesole oczy.

– Pan Bars? – uśmiecha się pobłaźliwie. – Oj, mam ja z nim los, że nie daj Boże.



– Czy z niego rzeczywiście taki wielki zbieracz? – pytam z zaciekawieniem.

Profesor macha ręką lekceważąco:

– Eh tam... Trzy czwarte jego kolekcji jest rodem z mojego sklepu. Ja myślę, proszę pana, że to taki snobizm. Pan wie, artyści ludzie dziwni. A im kto dziwniejszy, tym większy artysta. Tak mówią. Więc trzeba mieć swoje dziwactwo, żeby nikt nie powiedział: „Prostak, zwykły zjadacz chleba”. Jeden znany grafik, proszę pana, zbiera na przykład secesję, takie najgorsze okropieństwa, no, jak powiedzieć? Szmirę. Wszyscy podziwiają jego kolekcję. A Bars wybrał sobie motyle. Dzięki mnie niewiele ma z tym roboty, a efekt, że proszę siadać.

– To musi chyba dużo kosztować?

– Pojedyncze okazy czy gabloty to stosunkowo niewielki koszt. W takiej jednak skali, jak Bars urządził, pewnie, że dużo pieniędzy w to wpakował. Ale on nie zawsze rozlicza się ze mną w gotówce.

– A jak? – coraz bardziej byłem ciekaw.

– Przywozi mi różne egzotyczne okazy. Nie tylko motyle. Także ptaszki, gady, płazy, drobne zwierzątka. Wyrobił sobie jakieś takie zezwolenie, że niby on to wszystko zbiera naukowo. No i w sumie to mu się opłaca.

Miałem ochotę parsknąć wielkim śmiechem. Nasz wyrafinowany pięknoduch, dokonujący kilkudziesięciozłotowych transakcji przy pomocy meksykańskich żabek czy innych trytonów...

– I jeszcze jak się przy tym kłóci, żeby pan wiedział! O każdą złotówkę! – w głosie profesora brzmi głęboka pogarda. Szczupła twarz wyraża niesmak.

– Niech mi pan powie, panie profesorze, dlaczego Bars używa do uśmiercania motyli cyjanku potasu? Czy nie ma innych sposobów, mniej... drastycznych? Bezpieczniejszych dla otoczenia?

– Głupstwo robi – parska rozsierdzony profesor. – Motyl, uśmiercony cyjankiem, robi się sztywny. Trudno go potem rozpiąć, rozprostować i estetycznie rozlokować w gablocie. Normalnie zbieracze usypiają motyle eterem. Cyjanek stosuje się raczej w pracowniach naukowych, kiedy okaz ma służyć do innych celów niż kolekcjonerska ekspozycja.

– Właśnie. Więc czemu...?

– Tłumaczyłem mu to nieraz. Ale Bars swoje. Twierdzi, że jest uczulony na eter. Dostaje wysypki i duszności. Możliwe, nie sprawdziłem. Ale mnie się zdaje, że to taka, za przeproszeniem, maskarada. Dodatek do sławy wielkiego znawcy przedmiotu. Jak ktoś przyjdzie, na przykład. Eter to niepoważna rzecz. Ale jak się powie komuś: „Proszę uważać, na litość boską, proszę tego nie dotykać. To śmiertelna trucizna. Cyjanek potasu...” to każdy patrzy z większym uszanowaniem na takiego, który jest za pan brat ze śmiercią.

Uderzyła mnie trafność tej uwagi. Profesor dobrze podpatrzył słabostki naszego mistrza. Wdaliśmy się w dłuższą dyskusję na temat motyli dziennych i nocnych. Profesor chętnie zmienił temat. O ćmach mówił bardzo ciekawe rzeczy.

– Niektóre gatunki to istna plaga, żywiołowa plaga naszych lasów i sadów. Ta piękna i pięknie nazywająca się biała ćma, którą, jak mi pan powiedział, uśmiercał pan Bars cyjankiem tamtego wieczora, *Porthesia similis*, zwie się po polsku o wiele mniej melodyjnie: kuprówka złotnica. Jej gąsienice tak objadają liście drzew

i krzewów owocowych, że zostają jedynie szkieleciki. Bo motyl to tylko jedno z trzech wcieleń ćmy. Żyje krótko, dba wyłącznie o pożywienie i zachowanie gatunku. Najistotniejszą postacią jest żarłoczna, drapieżna gąsienica. Mądra. Umiejąca jako kokon przetrwać zimę. Kryjąca się w dzień, wychodząca na żer nocą. Żyjąca gromadnie, przeważnie w gniazdach, pełnych jej braci i sióstr.

– Ja zawsze bałem się trupiej główki – przypomniałem sobie mój dziecinny lęk. – Ma takie ogromne skrzydła. A kiedy się ją próbuje złapać, piszczy jak mysz.

– To też drapieżnik, *Acherontia atropos*. Jej ojczyzną są okolice Morza Śródziemnego. Do nas rzadko zalatuje. I wbrew wszelkim motylim zwyczajom ta zmierzchnica nie ssie kwiatów. Żywi się sokami spływającymi z pni okaleczonych drzew i wykrada z uli pszczołom miód.

Prawdopodobnie moglibyśmy tak siedzieć do wieczora, rozmawiając o dziwach przyrody, nie, wszystkim znanych, widziałem jednak, że profesor zerka na zegarek, dwa czy trzy razy zajrzał ktoś z obsługi sklepu: obecność profesora przy jakichś pertraktacjach ornitologicznych była wysoce pożądana. Podziękowałem za rozmowę i za ofiarowany mi cenny czas, a przy okazji zamówiłem dla Mariany na Boże Narodzenie szczeniaka, boksera. Dostanie go pod choinkę. Uważam, że to lepszy prezent niż bluzka. Będzie nareszcie miała na kim wyładowywać swoją energię, kiedy mnie pochłaniają służbowe zajęcia. Już taki bokser da sobie z nią radę... Kanarka zagadałaby na śmierć.

Wyszedłem, odurzony nieco wonią ogrodu zoologicznego w miniaturze. Długo wlokłem się Nowym Światem, raz po raz przystając i rozmyślając o tym wszystkim, co usłyszałem od profesora.

Oczywiście wszedłem w po siadanie pewnych konkretów, dowiedziałem się o różnych faktach, które na pewno przydadzą mi się w dochodzeniu. Ale za jeszcze cenniejszą zdobycz uważałem myśli raczej uboczne, które mnie opadły przy tej okazji.

Paweł Bodziaczek w swoim opowiadaniu przyrównywał Jolantę Kordes do brunatnej, niepozornej émy. Ale ja myślę, że się pomylił. Zwiodły go zewnętrzne pozory. Z tego, co już wiem, Jolanta była raczej nie drapieżnikiem, lecz ofiarą. Ale Bars? Czy to nie on swoim charakterem bardziej przypominał żarłoczne wcielenie efektownego motyla? Chociażby takiej trupiej główki, podbierającej pszczołom miód i żywiącej się sokami okaleczonych drzew? Czy nie takim drzewem była właśnie Jolanta? I w ogóle całe środowisko – jeżeli prawdą jest to, co wykrzykiwała o nim Jolanta i co ze skrupulatnością kronikarza odnotował Bodziaczek, dodając własne złośliwości, robiąc ze środowiskiem własny rozrachunek – czy nie przypominało ono kłębowiska gąsienic takiej na przykład korowódki dębówki, lubiącej wędrować w długich procesjach za przodownicą? Profesor opowiadał mi o dziwnych właściwościach tego marszu. Jeżeli się zabierze przodownicę, na jej miejsce natychmiast wysuwa się następny osobnik i dalej prowadzi korowód. A jeżeli przodownica, zbaczając z linii prostej z powodu jakiejś przeszkody terenu, natknie się przypadkiem na koniec kolumny marszowej albo dotknie odwłoka którejś z gąsienic pełznących w środku szeregu, tworzy się zamknięty obwód koła. I będzie taki oddział korowodu kręcić się w kółko, bez celu i bez sensu tak długo, aż gąsienice padną z wyczerpania.

Dla ludzi dębówka jest groźna. Włoski jej gąsienic, odrywające

się od grzbietu przy lada powiewie, zawierają ostry jad, drażniący skórę i powodujący bolesne, długo nie gojące się owrzodzenia.

Zadziwiająco są analogie, które można odnaleźć w świecie zwierząt i przypasować do ludzkich spraw. Jeżeli zespołowi „Wir” zabrać Barsa, zaraz na jego miejsce wskoczy nie mniej lubiący podkraść cudzy miód – Gustaw Nieczuń. A czyż Bars nie stracił w pewnym momencie orientacji i zamiast iść naprzód ze swym korowodem, nie złączył się z tym wszystkim, co było w dziedzinie jego twórczej pracy maruderstwem, – i oto mamy już Barsa z całym jego „Wirem” kręcących się bez sensu i celu w kółko, i w kółko, bez możliwości wydostania się z kręgu, nie zaczarowanego przez kogoś, lecz utworzonego przez własny błąd? A dla ludzi, zwykłych ludzi, czy nie jest co najmniej drażniące to, co z byle powiewem polatuje nad korowódkami naszych twórczych środowisk?

Czy nie dlatego zginęła Jolanta, że poruszyła korowódki w gniazdach, uwitych na dębach z jedwabnych nici?

A w ogóle czy Jolanta powiedziała wszystko, co było jej wiadome o naszych filmowych i niefilmowych korowódkach dębówkach, które lubią żerować tylko w ciemności i nie lubią wywlekania ich spraw na światło dzienne?

Nocnym motylem światło niesie śmierć«.

## 11.

Przeczytałam do końca rękopis Chmury, i zamyśliłam się. No, proszę: i kto by to pomyślał, że wśród oficerów dochodzeniowych naszej MO lęgną się talenty literackie? Kiedy mój zacny inspirator

przejdzie na emeryturę, spod jego pióra z pewnością wymknie się tom wspomnień pod frapującym tytułem: „Morderca zawsze pozostawia ślad” albo bardziej powściągliwym: „Dwadzieścia pięć lat na posterunku”.

A terazteczka Chmury przynosi mi skromniejszy plon, nic w nim nie ma z refleksyjności i psychologizowania. Suchy styl urzędowych notatek, sporządzonych na podstawie informacji pewnej konkretnej instancji i konkretnej komórki Komendy Głównej.

Na jednej kartce współpracujący z Sebastianem porucznik Jan Mucha (pamiętam dobrze tego chłopca jeszcze ze sprawy „błękitnych szynszyli”, działał wtedy na terenie Brzozowej i w niemałej mierze przyczynił się do rozwikłania tej trudnej sprawy) donosi, iż na polecenie Chmury zasięgnął informacji w Biurze Paszportowym, gdzie dowiedział się, co następuje:

»Sławomir Bars i Bożena Bars-Norska (z domu Rozpiórek, urodzona w Kielcach 15 kwietnia 1935 roku) złożyli wnioski o zezwolenie, na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Jako powód wyjazdu ob. Bars podaje propozycję kręcenia wspólnie z młodym amerykańskim reżyserem Johnem Pipstockiem filmu „Kres świata” dla hollywoodzkiej wytwórni „Union”. Ob. Bars-Norska przedłożyła kontrakt z amerykańskim impresario na występy w Las Vegas. Przewidziany okres pobytu: jeden rok. Sprawa jest obecnie w rozpatrywaniu. Biuro Paszportowe zapytuje, czy nie mamy zastrzeżeń co do wyjazdu państwa Barsów w związku z toczącym się śledztwem«.

Druga kartka to sztywny arkusik brystolu z przypiętymi do niego kilkoma fotografiami. Czegóż nie ma na tym, arkusiku! Szkic parapetu pracowni Sławomira Barsa w rzucie poziomym i w przekroju.

Przeniesione z fotografii na ten szkic znaki wskazujące, w którym miejscu, w którym kierunku i jak głęboko zadrapał pazurami farbę olejną kot Yogi. Analiza chemiczna okruszków farby, jakichś pa-proszków i drobinek kurzu dokumentuje, którego dnia i o jakiej porze mógł kot Yogi hasać tak, bezczelnie po okiennym parapecie w sanktuarium swojego pana. Wszystkie te dane służą do wyprowadzenia wniosku końcowego, który to, sformułowany zwięźle, Chmura obwiódł swoim zwyczajem czerwoną krechą, dając do zrozumienia, iż nie ma czasu ani potrzeby zagłębiać się w drobiazgowe dociekania. Wobec tego ja też pomijam fachowe obliczenia i czytam:

„Ślady kocich pazurów na parapecie pochodzą z dnia 5 września br. Rozpiętość czasu, w jakim ślady te powstały: 2 godziny, czyli między godziną 19 a 21. Chaotycznie pokrzyżowane są ślady w miejscu, w którym prawdopodobnie kot bronił się przed osobą, usiłującą go przytrzymać i w tym miejscu śladów po cyjanku potasu nie stwierdzono. Długie, głębsze rysy wskazują, iż kot dał susa na taras i wtedy już miał cyjanek potasu wprowadzony na koniuszki pazurów wszystkich czterech łap”.

Jaki z tego wniosek? Kot Yogi nie wpakował przypadkowo ani dobrowolnie pazurów do pozostawionego przez Barsa otwartego naczynia. To człowiek uzbroił zwierzę w śmiertcionośną truciznę. Ale nadal nie wiemy, kiedy to się stało: przed oskarżycielską mową Jolanty czy już przy samym końcu jej prokuratorskich poczynąń.

Jak widać, Chmura jest pracownikiem sumiennym. Gdy tylko coś wydaje mu się niejasne, podejmuje natychmiast badania uzupełniające i stara się bez zwłoki wyjaśnić punkty wątpliwe.

## 12.

### „BOŻENA, JOLANTA I INNI”

Tak napisał dużymi literami czerwonym długopisem Chmura w prawym górnym rogu kartki, noszącej poza tym normalny napis na środku:

Protokół z przesłuchania ob. Bożeny Bars-Norskiej w dniu 6 września rb.

Chmura tym sposobem jak gdyby daje tytuł kolejnemu rozdziałowi powieści. Po chwili jednak orientują się, iż nie kierowały nim ambicje literackie, lecz pobudki zawodowe. Po pierwsze nakreśla z góry kierunek przesłuchania. Po drugie scala tym wspólnym mianownikiem kilka protokołów z kolejnych przesłuchań naszej gwiazdy. Nie od razu bowiem udaje się Chmurze osiągnąć cel i wyjaśnić do końca istotę stosunków, łączących panią Bożenę Bars-Norską z jej otoczeniem.

Tak zatem w protokole pierwszym, spisany w dzień po śmierci Jolanty Kordes na maszynie przez Janka Muchę, asystującego Chmurze w jego czynnościach śledczych, czytamy:

„Personalna: Bożena Bars-Norska, urodzona 15 kwietnia 1935 roku w Kielcach, zamieszkała w Dzieźmoli pod Warszawą, przy ulicy Skowronków 17, zamężna, zawód: aktorka.

Kapitan Chmura: Czy Jolanta Kordes była pani bliską znajomą?

Bożena Norska: Trudno tak określić...

Chmura: Chodzi mi o to, czy była to tylko zdawkowa, towarzyska znajomość, czy też łączyły panią lub was oboje z panią Kordes serdeczniejsze



- osobiste stosunki. Powiedzmy – przyjaźń.
- Bożena Norska: Biorąc pod uwagę pozycję mojego męża, bardzo trudno określić, kto żywi dla nas szczerą przyjaźń, a kto tylko płaszczy się i podlizuje, bo liczy, że coś na tym zyska.
- Chmura: Do której więc kategorii zaliczała pani Jolantę Kordes?
- Bożena Norska: Jolanta nie żyje. Pan kapitan stawia mnie w trudnej sytuacji.
- Chmura: Mimo to proszę panią o szczerą i prawdziwą odpowiedź.
- Bożena Norska: No więc, powiedzmy, że zaliczyłabym Jolantę do tej drugiej kategorii. Był czas, że stosunki nasze należały do dość zażyłych. Jolanta wtedy była jeszcze żoną Prota. Ale zepsuł wszystko fatalny pomysł mojego męża, żeby zakupić od Jolanty jej opowiadanie do ekranizacji. Jak było do przewidzenia, z jej scenariusza nic się nie dało zrobić. Mąż ostatecznie dokonał adaptacji i dopiero wtedy można było przystąpić do pracy.
- Chmura: O ile wiem, film ten odniósł pewien sukces.
- Bożena Norska: Tak, ale Jolanty zasługi w tym nie było żadnej. Za to pretensje miała, i to jakie! I ambicje... że nie daj Boże. Wyszły z tego nieporozumienia i przez długi okres nie widywaliśmy się prawie Wcale. Ot, przelotem w SPATiF-ie.

- Chmura:                   Więc skąd wzięła się na przyjęciu u państwa? Sądząc z niewielkiej stosunkowo liczby zaproszonych, miało to być przyjęcie w ścisłym kółku bliskich znajomych.
- Bożena Norska:           O to niech pan lepiej zapyta mojego męża. Zaprosił ją osobiście. Zdaje się, że chciał załagodzić spór. A może po prostu zrobiło mu się jej żal, bo on ma dobre serce. Była ostatnio bardzo osamotniona w naszych kołach. Z własnej winy, tak sądzę.
- Chmura:                   Czy Jolanta Kordes miała pretensję tylko do pani męża, czy do pani również?
- Bożena Norska:           Powiem panu kapitanowi, bo i tak na pewno ktoś przy przesłuchaniu wyrwie się z tą plotką. Jolanta była zawsze zazdrosna o przyjaźń, jaka łączyła mnie z jej byłym mężem, Michałem Protym. Ale to czyste bzdury. Ja mam własną pozycję i własny dorobek. Żaden mężczyzna nie jest mi potrzebny jako życiowa podpora.
- Chmura:                   Nie orientuje się pani, czy miała wrogów? A konkretnie, czy wśród obecnych na przyjęciu był ktoś, komu zależałoby na jej śmierci?
- Bożena Norska:           Wrogów... Ja bym tego tak nie nazwała. To raczej Jolanta miała pretensje do całego świata. W ten sposób wytwarzała dookoła siebie nieprzychylną, nieprzyjazną atmosferę. A prawdę mówiąc z każdym, kto był u nas na przyjęciu, miała na pieńku.

Chmura: Na przykład?

Bożena Norska: Z Protem, byłym swoim mężem, stale wyklócała się o syna i o alimenty dla syna. Nie wiem, jak to tam było naprawdę, ale znając niegospodarność Jolanty sędzę, że tysięcy jej by też nie starczyło. Marioli nienawidziła oczywiście za to, że zajęła jej miejsce przy Procie. Do Nieczuły miała pretensję, że ją porzucił. Liliana naraziła się jej tym, że pode-rwała Gustawa, to znaczy, Nieczułą. Między nami mówiąc, było też o co się bić! Nie znam większej miernoty od Nieczuły. Do Boddziaczka i do Dudki Jolanta miała żal o krytyczny stosunek do jej twórczości. Do Firki, że coś tam pokręcił przy wypłacie honorarium... No, ma pan. To już wszyscy, którzy byli u nas na przyjęciu.

Chmura: Ale pani odpowiedziała, mi tylko częściowo na moje pytanie. Rozumiem: tarcia, żale o to czy owo, może nawet nienawiść pani Jolanty Kordes do tej czy tamtej osoby. Ale dla kogo z nich ta nienawiść była tak groźna, że trzeba było zdecydować się aż na morderstwo?

Bożena Norska: Bo ja wiem... Ja myślę... Widzi pan, te wszystkie sprawy osobiste i sercowe mają oczywiście swoje znaczenie, ale Jolanta nie należała do kobiet aż tak seksownych, że na

miłości dla niej świat się kończył. Ostatecznie nawet po Guciu pocieszyłaby się kim innym, Wątpię, żeby go naprawdę kochała. Już bardziej zależało jej na synu. A więc na pierwszym miejscu postawiłabym Mariolę Protową. Jolanta mówiła zawsze, że to nie Michał, tylko Mariola zdeprawowała i zabrała jej Andrzeja. Podejrzewała, nawet Mariolę o to, że uwodziła chłopaka. Tak. Mariola mogła się bać Jolanty i jej furii. Tym bardziej że podobno Mariola nie może mieć dzieci. Michał lubi dzieci i, po swojemu kochał Andrzeja. Z drugiej strony Michał nie jest w miłości zbyt stały. Mariola mogła go utrzymać przy sobie, opiekując się Andrzejem. Ale przeszkodą była Jolanta. Jej śmierć rozwiązuje tę sprawę na korzyść Protów. Andrzej jest teraz w poprawczaku, bo coś zbroił, rzecz jasna z brak<sup>^</sup> dozoru ze strony Jolanty. Ale jak stamtąd wyjdzie, Michał weźmie go do siebie. Mariola będzie miała to, czego chciała.

Chmura:

Rozumiem. Kiedy pan Bodziaczek zbliżył się do Jolanty Kordes, aby ją, jak twierdzi, doprowadzić do opamiętania, bo dostała ataku hysterii – co pani robiła, gdzie się pani znajdowała?

Bożena Norska:

Pobiegłam na górę, do mojej sypialni, a właściwie do łazienki, bo tam jest apteczka,

żeby przynieść Marioli krople walerianowe na uspokojenie. Jolanta po pijanemu zaczęła jej przygadywać, tak jak i innym, i Mariola bardzo zdenerwowała się. Zbiegłam natychmiast, gdy tylko usłyszałam krzyk.

Chmura:

Krzyk Jolanty Kordes?

Bożena Norska:

Tak. Zresztą nie wiedziałam dokładnie, czyj to był krzyk. Zobaczyłam leżącą na podłodze koło okna Jolantę. Bodziaczek wołał, żeby dać szklankę wody. Weszłam do kuchni, tuż przede mną wskoczył tam Yogi. Usiadł na podłodze i zaczął lizać łapę. Napęłam szklankę i w chwili, kiedy odwróciłam się, zobaczyłam, że Yogi kona. Miał drgawki. Coś zawołałam, ale nie pamiętam już, co, i wtedy wszyscy stanęli na progu kuchni.

Chmura:

Czy okna pani sypialni i łazienki znajdują się nad tarasem?

Bożena Norska:

Okno mojej sypialni znajduje się nad pracownią męża, czyli po drugiej stronie drzwi wyjściowych z salonu. Ale owszem, nad tarasem. Łazienka ma okno nad tym oknem salonu, przez które Yogi skoczył na Jolantę. Też nad tarasem. Taras biegnie dookoła domu, więc wszystkie okna znajdują się nad tym tarasem. Pan kapitan sądzi może...

Chmura:

Ja jeszcze nic nie sądzę w tej chwili, ja tylko

pytam. Muszę ustalić wszystkie szczegóły”.

W tym miejscu w protokole przesłuchania widnieje dziura po nożyczkach Sebastiana Chmury. Tu znajdował się fragment dotyczący strychniny i tajemnic kociego serca.

Następny protokół przesłuchania Bożeny Norskiej nosi datę nieco późniejszą i dopisek Chmury stwierdza, iż jest to przeniesiony na papier zapis z taśmy magnetofonowej. Pani Bożena Norska po tylu przeżyciach czuła się tak zdruzgotana, iż lekarz zalecił jej dłuższe przebywanie w łóżku. Chmura musiał zatem pofatygować się osobiście do Dzieżmoli, by tam zadać pani Bożenie kilka krępujących, i niedyskretnych pytań. Protokół zresztą nie jest długi. Brzmi następująco:

Chmura: Mam żal do pani. Prosiłem o pełną szczerłość, a pani zataiła przede mną kilka faktów. Niestety, ujawniły się one podczas przesłuchiwania następnych osób.

Bożena Norska: Wiem, co pan ma na myśli. Te bzdury, które powypisywał Bodziaczek.

Chmura: Na razie jeszcze nie przeprowadzam konfrontacji świadków, więc pozwoli pani, że nie wyjawię źródła moich informacji. Nic nie wiem o jakimś „utworze” pana Bodziaczka.

Bożena Norska: Podobno zapewniliście mu dyskrecję. Ale ja wiem. On ma żonę, kurkę domową, co poza Pawełkiem świata nie widzi. To dla niej największy pisarz, bóstwo. Jest tak żenująca z tym swoim bałwochwalstwem, że Paweł

nigdzie jej ze sobą nie zabiera. Ja i ona mamy tą samą pedikiurzystkę. I jej właśnie Bodziaczkowa zwierzyła się, oczywiście w tajemnicy, że Pawełek został przez was potraktowany z największą rewerencją. Że takie macie do niego zaufanie, iż wspólnie z wami ma prowadzić śledztwo. Że opracowuje dla was jakiś memoriał, który posłuży jako materiał do rozwikłania sprawy. Otóż niech pan się dowie, że Paweł ma bardzo bujną fantazję. Nie można wierzyć ani jednemu jego słowu.

Chmura:

Przepraszam, że się wtrączę. Nie chodzi o pana Bodziaczka, tylko o państwa stosunki z Jolantą Kordes. Pani zataiła przede mną fakt, iż Jolanta była pani przyrodnią siostrą.

Bożena Norska:

No to co? Muszę zaraz każdemu opowiadać, że moja matka, zanim za ojca wyszła za mąż, owdowiała? Nikt nie wiedział, że jesteśmy z Jolantą przyrodnimi siostrami. Była córką mojej matki z jej pierwszego małżeństwa. Ale przyznam się panu, że nigdy nie żywiłyśmy w stosunku do siebie zbyt gorących siostrzanych uczuć. Matka kochała mnie więcej niż Jolantę, byłam od niej ładniejsza, miałam większe powodzenie. Jolka zazdrościła mi tego wszystkiego. I dlatego w końcu opuściła dom

i wyjechała do Warszawy z pierwszym lepszym, który się nawinął pod rękę. Właśnie z Protem. Występował wtedy w Kielcach na jakiejś objazdowej imprezie. Wiersze deklamował. Patriotyczne. Ale robił to bardzo źle.

Chmura: No, a sprawa dziecka? Dziecka pani i Michała Prota? Małej Agnieszki?

Bożena Norska: O czym pan mówi? Nie rozumiem. Ja nie mam żadnego dziecka. Ani z Michałem, ani z nikim innym. To jakaś pomyłka.

Chmura: Ale tak twierdziła pani siostra, Jolanta Kor-des, podczas przyjęcia. Wtedy, gdy wygłaszała oskarżenia pod adresem wszystkich obecnych.

Bożena Norska: Jakie tam oskarżenia! Piekliła się, ot i wszystko. Już mówiłam panu. Po pijanemu. Ona była, niestety, do takich rzeczy zdolna. Już kilka razy mieliśmy z nią nieprzyjemności w miejscach publicznych. Zachowywała się arogancko i wyzywająco. Na premierze filmu powiedziała do kogoś głośno, tak, że kilka rzędów słyszało: „Patrzcie, tam siedzi Bars, ten plagiator”. Ale przecież nikt i nas tego serio nie brał. Kto by się przejmował bredzeniem mitomanki. Ona była mitomanką, panie kapitanie. Każdy to panu powie. Wymyślała sobie różne przygody, Konflikty...

Chmura: Minęło kilka dni od tamtego tragicznego



- wieczora. Sądzę, że ochłonęła już pani trochę po tych przejściach. Czy nie zastanawiała się pani przez ten czas nad pytaniem, które zadałem pani podczas naszej pierwszej rozmowy?
- Bożena Norska: Pan wciąż o tych wrogach! No dobrze, powiem panu. Oczywiście, myślałam nad tym. Zasiał pan we mnie... jak by tu powiedzieć? Ziarno niepokoju. I wie pan, do jakiego doszłam wniosku? Że jedynym takim – poza Mariolą – który mógłby się czuć zagrożony przez Jolantę był Paweł Bodziaczek.
- Chmura: Bodziaczek? Ależ dlaczego? Czy tylko dlatego, że odrzucił jej scenariusz w zespole „Wir”?
- Bożena Norska: Nie rozumie pan pewnych niuansów. Czuję się, że za mało zna pan nasze środowisko. Nasze stadła małżeńskie są przeważnie niestale, nasze miłości przelotne. Winien jest temu nasz zawód, nasz tryb życia. Pod tym względem Jolanta nie różniła się od nas wszystkich. I to miałam na myśli, kiedy twierdziłam, że przyczyn jej śmierci nie należy doszukiwać się w konfliktach miłosnych. Ani małżeńskich. Ani nawet ściśle finansowych. Dla każdego z nas najcenniejszą rzeczą jest artystyczny, zawodowy sukces. Sława, jeśli pan woli prościej. Dla Jolanty to też była sprawa życia i śmierci. Wprawdzie nie nosimy

w sercu tych, którym się powiodło lepiej niż nam, ale dla tych, którzy są przegrani, jesteśmy okrutni. Eliminujemy ich bezwzględnie z naszego kręgu. Tak właśnie było z Jolantą. Jolanta widziała swojego głównego wroga w Bodziaczku. I słusznie. To on tak zdyskwalifikował wśród nas wszystko, co Jolanta napisała, że pozostała z niej mokra plama. To on przecież zamówił u Dudki tę miażdżącą recenzję. Zarówno dla użytku wewnętrznego, jak i w prasie. On zdyskredytował i zniszczył Jolantę jako pisarkę.

Chmura:

Ale dlaczego to zrobił?

Bożena Norska:

Bo ja wiem... Może dlatego, że z nim kiedyś postąpiono tak samo? A może wyczuł, że Jolanta jest od niego zdolniejsza? Może dla zabawy? Nie wiem. To bardzo zły człowiek. Zimny, bezwzględny. Mówi się o niektórych ludziach, że idą naprzód po trupach. Paweł też chodzi po trupach, ale... w lakierkach. I morduje – ale w białych rękawiczkach. Złośliwy dla samej satysfakcji, żeby mówiono o nim, że nie daj Boże trafić mu w ręce. Żeby się go bali. W ten sposób w jakimś tam stopniu wydaje mu się, że coś znaczy. Tym, że wykończył swego czasu Jolantę, chełpił się nawet publicznie. Musiało to do niej dotrzeć.

- Chmura: No dobrze, Jolanta go nienawdziła najbardziej z was wszystkich. Ale w jaki sposób mogła na nim wyrzucić zemstę?
- Bożena Norska: Nie wiem. Ale myślę, że Jolanta mogła mieć w zanadru jakąś rewelację na jego temat, która oznaczałaby koniec kariery literata Pawła Bodziaczka. Niech pan zwróci uwagę, że nikt z nas nie zareagował tak czynnie i energicznie na paplaninę Jolanty, jak właśnie Bodziaczek. To on postanowił zmusić ją do milczenia znanym sposobem, jaki stosuje się wobec historyków, gdy przechodzą swój atak. Ja nawet myślałam początkowo, że Jolanta zemdleła od jego uderzenia. Przyszło mi do głowy, że to był atak serca po tym, gdy ją tak rąbnął w twarz...
- Chmura: Jakie stosunki panują między panią i Tadeuszem Firką?
- Bożena Norska: Powiedziałabym panu, że służbowe, to i tak by pan nie uwierzył... Firko zalecał się do mnie, a ja dałam mu kosza. Od tego czasu patrzy na mnie wilkiem...

Po tym dialogu następują podpisy Chmury, protokolantki, która przносиła przesłuchanie z taśmy na maszynę, oraz Bożeny Norskiej, potwierdzające, iż rzeczywiście powiedziała wszystko tak, jak zostało uwiecznione na papierze.

Trzeci protokół jest dla pani Bożeny Norskiej jeszcze bardziej żenujący od poprzedniego. Powstał on po spacerze Chmury przez

Nowy Świat i po otrzymaniu przez niego meldunku Janka Muchy na temat planów wyjazdowych naszej słynnej filmowej pary. Wygląda zaś tak:

Protokół z przesłuchania ob. Bożeny Bars-Norskiej w dniu 28 września b. roku.

Chmura: Nie wiedziałem, że państwo wybierają się za granicę.

Bożena Norska: Czy pan kapitan uważa to za okoliczność obciążającą mnie i męża w związku ze śmiercią Jolanty? Przecież bardzo często wyjeżdżamy z mężem za granicę. Reprezentujemy tam naszą kinematografię. Na festiwalach, na pokazach...

Chmura: Ale tym razem...

Bożena Norska: Jedziemy pracować. Cóż w tym złego?

Chmura: Nic, oczywiście. Ale, niestety, ponieważ dochodzenie w sprawie śmierci pani siostry jeszcze nie jest ukończone, będziemy zmuszeni wstrzymać państwa wyjazd. Dopóki ta sprawa się nie wyjaśni do końca.

Bożena Norska: Mamy tam terminy! Jeżeli ja na przykład nie dotrzymam umowy, będę musiała płacić karę. Skąd wezmę pieniądze na to?

Chmura: Mówmy szczerze. Chyba nie wątpi pani, że zapraszając panią po raz trzeci na rozmowę, mam w ręku o wiele więcej danych niż szóstego września? Posiada pani spore pieniądze w kraju i ku uje pani za nie biżuterię. Mogę,

nawet powiedzieć, co pani ostatnio nabyła...  
okazyjnie.

Bożena Norska:

Nie trzeba.

Chmura:

Z tą biżuterią jako pani osobistą własnością, nawet zadeklarowaną na cle, wyjeżdża pani. I nie ma pani ochoty tu wracać, bo Bars się kończy. „Wir” się kończy, a wraz z tym i pani kariera. Są młodsze, zdolniejsze od pani aktorki. Za granicą także zgromadziła pani pieniądze. W jaki sposób pani je tam ulokowała, pomówimy innym razem. I teraz rozważam taki problem: Bars za granicą kariery też już nie robi. Pani dobrze o tym wie. W złotej koszulce, jak Polański, chodzić nie będzie. Ale Bars nie chce od pani odejść, bo kocha panią i... liczy na panią. Wołałaby go pani tu zostawić... i urządzić sobie życie od nowa. Czyż nie tak?

Bożena Norska:

Nie rozumiem, skąd takie insynuacje, że nie mam – rzekomo – ochoty tu wracać... I te dotyczące mego stosunku do męża! Doprawdy nie pojmuję, do czego pan prowadzi?

Chmura:

Zastanawiam się, czy skok kota na Jolantę Kordes nie był czystym przypadkiem. Czy trucizna na pazurach Yogiego nie była przeznaczona dla innej osoby.

Bożena Norska:

I ja miałabym... No wie pan, panie kapitanie! To taki nonsens, że aż słów szkoda.

- Chmura: Przecież pani wychyliła się z okna łazienki, kiedy usłyszała pani krzyk Jolanty. Tak zeznał ktoś, kto był wtedy na tarasie. Dwie osoby stały na tarasie blisko drzwi i blisko tego okna, które Jolanta pchnęła ramieniem. Firko i pani mąż.
- Bożena Norska: Aha! To Firko napłół. Chce mi szkodzić. I pan myśli, że ja rzuciłam Yogiego z góry na mojego męża? A nie przyszło panu do głowy, że może to on pchnął biedne zwierzę na Jolantę?

## 13.

Następna zszywka protokołów, z których jeden nosi, podobnie jak relacja z rozmowy z Bożeną, ślady nożyczek Chmury w miejscach dotyczących kota Yogi oraz cyjanku potasu, już wykorzystanych, ma u góry napis: „MICHAŁ PROT I JEGO KOBIETY”

Więc jednak Chmura pozwolił się zasugerować rewelacjom Jolanty i opowiadaniu Pawła Bodziaczka. Jak Prot – to kobiety. One bez niego, on bez nich – to byłoby wprost nie do pomyślenia!

W protokole pierwszym, spisany następnego dnia po śmierci Jolanty Kordes, uwieczniony został przez porucznika Janka Muchę następujący dialog między kapitanem Chmurą i Michałem Protym, lat 49, żonatym, zamieszkałym obecnie na Sadybie w domku jednorodzinnym:

- Chmura: O ile mi wiadomo, Jolanta Kordes była pańską poprzednią żoną.
- Prot: Tak. Rozeszliśmy się kilka lat temu na jej życzenie.
- Chmura: Wnoszę, że nie zepsuło to pana stosunków z Jolantą Kordes, skoro spotykaliście się państwo w towarzystwie?
- Prot: Widywaliśmy się... czasami. Będę szczery. Stosunki między nami, panie kapitanie, nie układały się najlepiej. Zdziwiło mnie, że Barsowie zaprosili nas razem na ten wieczór. Poculiśmy się z moją żoną, Mariolą, bardzo zaskoczeni tym i nawet, powiedziałbym, urażeni. Pani Norska wyznała mi, że ten nietakt popełnił jej mąż.
- Chmura: Dlaczego to zrobił?
- Prot: Miałem zamiar go o to zapytać, ale nie nadarzyła się okazja. Powiedziałem sobie: trudno, ostatecznie jest się człowiekiem z jakim takim wychowaniem, trzeba zachować zimną krew. Udawałem więc, że jest mi szalenie wesoło.
- Chmura: Jakie było tło konfliktów między panem i pana byłą żoną?
- Prot: Ich źródłem było wyłącznie niewłaściwe wychowywanie przez Jolantę naszego syna, Andrzeja. Niestety, sąd przyznał opiekę nad chłopcem mojej byłej żonie.
- Chmura: Czy doszło do jakiejś scysji podczas przyjęcia między „panem i Jolantą Kordes lub między

- nią i pana obecną żoną, panią Mariolą?
- Prot: W każdym razie myśmy z Mariolą tej scysji nie sprowokowali. Jolanta wywołała awanturę. Wysuwała zarzuty, jak zawsze, w sprawie naszego syna. Niestuszne, zapewniam pana kapitana. Myśmy chcieli niejednokrotnie chłopcu pomóc, dać mu trochę radości w życiu, a Jolanta zawsze wszystko komentowała na opak. To była w ogóle kobieta, której, jak to się mówi, wszystko leciało z rąk. Może i chciała dobrze, a robiła źle. Raczej nie powinienem mówić tak o zmarłej, ale doprawdy, prosiłbym jak najmniej mieszać Mariolę i mnie do tego, co się stało wczoraj w Dziezmoli. Żona tak to przeżyła, że musiała na kilka dni odwołać występy.
- Chmura: Spełnię pana prośbę, o ile to tylko będzie możliwe. Jestem wielbicielem talentu pani Marioli. Widziałem parę razy w telewizji tańce w jej wykonaniu, zrobiły na mnie duże wrażenie.
- Prot: Więc mogę już iść, panie kapitanie? Mam dziś próbę w teatrze telewizji.
- Chmura: Jeszcze tylko dwa pytania. Czy pan wychodził z salonu przed awanturą, jak pan nazwał wystąpienie Jolanty. Kordes, i gdzie pan znajdował się, kiedy Jolanta upadła koło okna?
- Prot: Przed awanturą Jolanty... Niech sobie



przypomnę. Aha: poszedłem przejść się po ogrodzie.

Chmura: Sam?

Prot: Z początku sam, a potem z Gustawem Nieczułą, którego spotkałem niedaleko domu.

Chmura: Zdaje się, że pan Gustaw Nieczuło... był bliskim znajomym pani Jolanty Kordes?

Prot: O, to dawne dzieje. Sprzed kilku miesięcy. Po pewnym czasie miał jej tak samo dość, jak ja.

Chmura: Panowie byliście w dobrych stosunkach?

Prot: Ano, jak to w naszym świecie. Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy się rzucali na siebie z powodu romansów. To przecież nie są aż tak ważne sprawy.

Chmura: I o czym panowie rozmawiali?

Prot: O stosunkach w „Wirze”. Bo ja mam trochę żalu do Barsa. Znalazł sobie ostatnio jakiegoś młodego chłopaczka, świeżo po szkole teatralnej, i obsadza go w rolach, do których ten zarozumiały młodzieniec jeszcze bynajmniej nie dorósł. To są role, wymagające już pewnego doświadczenia życiowego, opanowania warsztatu aktorskiego, selekcji środków artystycznego wyrazu... A nie zgrywy à la Trubadurzy. Trzeba wyczuć, gdzie tylko podgrywać, gdzie nacisnąć pedał.

- Chmura: Nieczułło obiecał panu, że będzie interweniował w tej sprawie?
- Prot: Tak... a właściwie... nie. Wszyscy jesteśmy przekonani, że niedługo rozwiążą nasz „Wir” i powstanie nowy zespół, który ma objąć Nieczułło. To mniejszy talent niż Bars, ale spokojniejszy jako człowiek, bardziej zrównoważony. Bars mógł sobie pozwalać na ekstrawagancje i eksperymenty, ale Gustaw będzie musiał oprzeć się na środowisku, na starych kadrach, jeżeli zechce utrzymać się w czołówce.
- Chmura: No, a pod koniec wystąpienia pani Jolanty Kordes? Był pan w salonie? Czy widział pan ten moment, kiedy pani Kordes upadła?
- Prot: Tego właśnie momentu nie widziałem. Po insynuacjach Jolanty moja żona rozplakała się. Bożena, to znaczy pani Norska poszła na górę do łazienki po krople dla Marioli, a ja wyszedłem na chwilę do przedpokoju, bo tam Mariola zostawiła swój ciepły szal. Dostała dreszczy, więc chciałem ją czymś okryć. Stamtąd usłyszałem krzyk Jolanty. Wróciłem do salonu, rzekłbym, jednym skokiem... Czy pan kapitan widział film, w którym grałem, „Kwadratura koła”? Nie? Szkoda. Tam właśnie robię taki wielki skok z pokładu jednego jachtu na drugi.

- Chmura: Czy ten krzyk tak pana zdopingował? Mam na myśli przyjęcie w Dzieżmoli, niè film.
- Prot: Pomyślałem, że może Mariola nie wytrzymała nerwowo i rzuciła się na Jolantę. Mariola jest bardzo wybuchowa.
- Chmura: Czy w przedpokoju był jeszcze ktoś prócz pana?
- Prot: W pierwszej chwili byłem sam. Szukałem tego szala wśród stosu innych okryć, bo tam nie ma wieszaków, tylko takie niewygodne, szerokie ławy. Też pomyśl... Mniejsza z tym. Zaraz po mnie wpadła do przedpokoju Liliana Runicz, a za nią Gustaw Nieczuńło. To nasza nowa para. Liliana chciała natychmiast wracać do domu, bo Jolanta ją też obraziła. Gustaw powstrzymywał Lilianę. Twierdził, że to nie wypada i że tą ucieczką sprawiłaby satysfakcję Jolancie.
- Chmura: Z przedpokoju można dostać się z łatwością na taras, prawda?
- Prot: Tak. Jedne drzwi z przedpokoju prowadzą do salonu, na wprost. Drugie na ten taras, który biegnie dookoła domu. Trzecie, prawie niewidoczne, między lustrem i ławkami na okrycia, to drzwi do kuchni. I, za przeproszeniem, do ubikacji.
- Chmura: To byłoby na razie wszystko. Dziękuję panu.

A więc jak to właściwie było – myślę sobie po przeczytaniu tego protokołu – Bodziaczek pozostał w salo, nie z Jolantą prawie sam na sam? Nie wspomina o tym w swoim opowiadaniu. Z tego, co zeznała dotychczas Bożena Norska i co powiedział Michał Prot, wynikałoby, że poza Mariolą, płaczącą w fotelu, i Romualdem Dudką nikogo w salonie z pozostałych na przyjęciu osób nie było i tych dwoje, Paweł i Jolanta, rozegrało przy oknie swój dramatyczny pojedynek niemal w samotności – aktorzy bez widzów. Jolanta nie żyje, tylko Paweł Bodziaczek wie, jak tam było naprawdę. Ale czy tak, jak to opisał? Czy można mu wierzyć bez zastrzeżeń? Bożena Norska twierdzi, że nie. A może w następnych protokołach przeczytam, że Dudko i Mariola Protowa też wyparowali na ten finał z salonu? Na cóż więc czeka Chmura? Ja bym na jego miejscu już aresztowała Bodziaczka.

Ale Chmura jest cierpliwszy ode mnie. Nie wolno mu dać się zwieść pozorom. Na razie nadal roztrząsa wzajemne powiązania osób zamieszanych w tę przykrą sprawę i oto indaguje naszego amanta, Michała Prota, po raz drugi, gdy już wie o wiele więcej niż podczas pierwszego przesłuchania. Czytam:

Chmura: Chciałbym dziś zasięgnąć u pana niego informacji w sprawach rodzinnych. Nie wszystko jest dla mnie jasne.

Prot: Chętnie służę. O co chodzi?

Chmura: Na przykład chodzi mi o wiek pani Bożeny Norskiej. Jako były szwagier może mi pan zdradzi tę tajemnicę. Z Kielc przystano mi odpis metryki, z której wynika, że pani Norska jest w istocie starsza, niż podała;

wyrabiając sobie dowód osobisty i starając się o paszport.

Prot: O dziesięć lat starsza. Zgadza się. Cóż, kobiety lubią się odmładzać, zwłaszcza aktorki. Stwierdziła, że metryka jej zaginęła, postawiła dwóch świadków i już.

Chmura: Więc to prawda, co Jolanta Kordes mówiła na przyjęciu... A jak z tą drugą sprawą? Mam na myśli... Agnieszkę.

Prot: Cholernego kłopotu narobił nam Paweł tą swoją pisaniną. Zawsze podejrzewałem go o grafomaństwo. I słusznie, jak się okazuje. Przyznam się panu do... jak by to powiedzieć, żeby pan nie poczuł się urażony...? No, powiedzmy, do pewnej cichej zмовы. Umówiliśmy się, zaraz po śmierci Jolanty, zanim jeszcze przybyła milicja, że będziemy zeznawać tylko to, co jest konieczne dla wyświe-tlenia tego nieszczęśliwego wypadku. Ze nie będziemy nikomu powtarzać, co tam plotła niemądra Jolanta. Bo i co to kogo obchodzi? Nasze wewnętrzne, osobiste sprawy. Nie chcieliśmy, żeby te jej „rewelacje”, jedne prawdziwe, drugie wymyślone, wydostały się na zewnątrz. Albo co gorsza przedostały się do publicznej wiadomości. A Paweł złamał tę umowę.

Chmura: Bodziaczek? Nic nie wiem o tym.

Prot: No, no, panie kapitanie, niech pan da spokój. Już wszyscy wiemy o tym, że napisał dla

was, dla MO, memoriał. Dyktował go przecież naszej sekretarce w „Wirze”. Właśnie bardzo chciał, żebyśmy się wszyscy dowiedzieli, jak się na nas odegrał.

Chmura: Ja jednak proponuję, żeby mi pan od powiedział na pytanie w sprawie dziewczynki imieniem Agnieszka.

Prot: Dobrze, dobrze. Nie będę się wypierał. Tak, to córka moja i Bożeny. Pan się dziwi? Wyrzymałby pan długo pod jednym dachem z taką ładną babką jak Bożena i nie poderwałby pan jej? Cóż jestem winien, że była głupia i nie uważała. Proponowałem, żeby się pozbyła kłopotu, ale nie chciała. Może liczyła, że rozejdę się z Jolantą i z nią się ożenię? Ale udało mi się podstawić jej Barsa. Tu już była mądrzejsza. Zrozumiała, że to dla niej lepsza szansa niż małżeństwo ze mną. Ale ja lubię Bożenkę, naprawdę. Oboje bardzo się lubimy.

Chmura: A jak Agnieszka trafiła do Domu Dziecka?

Prot: Przyznam się panu, kapitanie, że ja tej małej na oczy nie widziałem. Bożena nie zgłaszała nigdy z jej powodu pretensji do mnie. Pojechała do Kielc, do matki, tam urodziła tę dziewczynkę. Nosiła jeszcze wtedy swoje panięńskie nazwisko, więc mała też... Matka Bożeny zwróciła się do Domu Dziecka i

jakoś to tam z nimi załatwiła. Że niby córka za granicę wyjechała, a ona stara i chora, i nie może zająć się wnuczką. No i tak już zostało. Na wszelki wypadek Bożena tam wcale nie jeździ, a że matka jej umarła, śladu po rodzinie Agnieszki nie ma. Pojęcia nie mam, w jaki sposób Jolanta to wyniuchała. Może matka przed śmiercią jej wygadała. Teraz trzeba będzie coś z tym zrobić...

Chmura: I jeszcze jedna sprawa. Czy pan dał wiarę Jolancie, kiedy mówiła o romansie pana żony, Marioli, z reżyserem Trokiewiczem?

Prot: A cóż mi szkodzi, że Mariola ma powodzenie? Bez szerokich stosunków ani w moim, ani w jej zawodzie nie zrobi się kariery.

Chmura: Teraz niech mi pan jeszcze wyjaśni, jak ma się sprawa pana rozliczeń finansowych z Jolantą Kordes. Chodzi mi o tę biżuterię, którą pan jej... nazwijmy to: „ofiarował” na rozstanie.

Prot: Kiedyś, kiedy jeszcze występowałem na prowincji, niedługo po wojnie, trafiła mi się okazja. Przyszła do mnie za kulisy jakaś starsza pani, chyba była ziemianka, i zaproponowała kupno kompletu biżuterii. Wprost za bezcen, bo babułka bardzo potrzebowała pieniędzy.

Mówiła nawet, że przykro jej rozstawać się z rodzinnymi klejnotami, ale niestety, mąż jej choruje i musi je sprzedać. Więc kupiłem. Były w dość nędznym stanie, więc dałem je do jubilera, żeby oczyścił i poreperował. Stwierdził wtedy, że są prawdziwe i określił ich wartość na dość wysoką sumę. Nie dałem ich Jolancie po ślubie, bo jakoś do niej nie pasowały. Nawet o nich nie wiedziała, trzymałem zamknięte w biurku. Dla kobiet nie należy być zbyt hojnym. Wyobrażają sobie wtedy Bóg wie co. Ale, niestety, musiałem sprezentować w końcu Jolancie te błyskotki, bo chciałem, żeby mi dała święty spokój.

Chmura: No i podobno okazały się fałszywe... Tak twierdzi urząd probierczy i spółdzielnia, robiąca ekspertyzy szlachetnych kamieni.

Prot: Pojęcia nie mam, jak to się stało.

Chmura: Czy pan wie, że pani Bożena Norska posiada identyczny komplet biżuterii? Tyle tylko, że prawdziwej...

Prot: A to mnie pan kapitan zastrzelił! Słowo daję. Ale dziwne, że Bars jej kupił; On jest strasznie skąpy.

Chmura: Wcale nie Bars.

Prot: Oooo! Widzę Barsa z morderczym błyskiem w oku!



Chmura: Taki z niego raptus?

Prot: Nie. Ale jest zazdrosny i zawzięty jak diabli. Chowa urazę latami i potem się mści. Wprost cierpi na przerost poczucia własności. W dodatku ta bomba z Agnieszką... To był cios w samo serce: Uwielbiane bóstwo okazuje się wyrodną matką. Dobry Boże! Pan nie ma pojęcia, jaki z niego świętoszek i hipokryta.

Chmura: Czy nie sądzi pan, że Bars mógł planować zabicie Bożeny?

Prot: Eee, nie. Pan kapitan nie wziął chyba serio ó tego mojego dowcipu o „morderczym błysku w oku”? Paplanina to nasz aktorski nawyk. Już gdyby Bars miał kogo zabijać, to powinien by był uśmiercić Jolantę. Nie dlatego to mówię, żeby na niego wskazywać panu palcem, ale to by miało sens, takie morderstwo. Należałoby się. Pan kapitan wie przecież, że w „Wirze” od miesięcy siedzi kontrola NIK-u. W tej sytuacji szczebiotać o nadużyciach w zespole jest wysoce nieroztropne. Co najmniej nieroztropne. Jolanta przechwalała się, że posiada murowane dowody krociowych malwersacji w „Wirze”, że Barsa wykończy, że go wsadzą do ciupy i o żadnym zagranicznym wyjeździe nie będzie mowy. Potrzebne jej było takie gadanie!

Chmura: Widzę, że pan ma spakowaną walizkę. Czy pan gdzieś wyjeżdża?

Prot: Niech się pan kapitan nie obawia, za granicę nie pryskam. Jadę do tego domu poprawczego, gdzie siedzi Andrzej. Chcę starać się o przedterminowe zwolnienie chłopaka. Ostatecznie mam syna czy go nie mam? Może jeszcze coś z niego wyrośnie. I Agnieszkę wezmę do siebie. Będę miał dwoje dzieci od razu. Wie pan, co panu powiem? Znudziły mnie babki. Wolę te moje szczeniaki. W moim wieku mężczyzna zaczyna już tęsknić do normalnego domu, normalnej, zwyczajnej rodziny...

Ze zdziwieniem stwierdzam, że to ostatnia kartka w zszywce protokołów zeznań Michała Prota. Wynikałoby, że Chmura potraktował tego delikwenta w sposób pobłażliwy i wyrozumiały. Czyżby zadziałała tu męska solidarność? Furda babki – niech żyją dzieci?!

Chmura też lubi dzieci, choć sam ich nie ma. Wiem o tym. Nikt nie potrafi tak dogadywać się, zwłaszcza z chłopakami, jak on. Sądzę, że za chwilę przekonam się o tym znanym mi fakcie jeszcze raz, gdyż następny plik kartek w teczce składa się na obszerne sprawozdanie Sebastiana Chmury z wizyty w domu poprawczym i z przeprowadzonej tam rozmowy z Andrzejem Protem, synem Michała i Jolanty.

## 14.

### TAKI SOBIE CHŁOPAK

»Jak będę miał czas, oczywiście zrobię z przesłuchania Andrzeja Prota normalny, regularny protokół. Na razie jednak znów puściłem w ruch mój notatnik, bo wszystko z tego spotkania wydaje mi się ważne. Nie tylko słowa, ale każde zmrużenie oczu tego chłopca, grymas ust, uśmiech pełen zażenowania, a nawet szelest liści, które zaczynają już opadać w wielkim parku, otaczającym poprawczak.

Mówimy wiele o resocjalizacji, zgadzamy się na konieczność odseparowania na jakiś czas chłopaka od środowiska, które dokonało takich spustoszeń w pojmowaniu świata przez jego młody umysł, że stał się martwą komórką w organizmie społeczeństwa. A taka martwa komórka, jak wiadomo, sieje dookoła zniszczenie, powoduje dalszy rozkład. Aby temu zapobiec, przeciwdziałać szerzeniu się zarazy, trzeba martwicę usunąć. Ale martwica w żywym ciele i martwa komórka w organizmie społeczeństwa to jednak różnica. Próbujemy tę martwą komórkę, takiego zdeprawowanego chłopaka, ożywić. Reanimować jako człowieka. Nie zawsze to się nam udaje, co stwierdziłem niejednokrotnie podczas mojej praktyki śledczej. Próbować mimo to trzeba. I próbujemy. Między innymi właśnie w poprawczakach. Jak inni, uznają i ja tę konieczność, a mimo to domy poprawcze wywierają na mnie zawsze przygnębiające, do głębi deprymujące wrażenie. To jakieś złomowisko młodości. Wysypisko straconych złudzeń i nadziei. Zwierciadło klęsk wychowawczych. Każdy z tych chłopaków tu – i gdzie indziej – to jakaś nasza

przegrana sprawa, przegrana przez nas, przez społeczeństwo ludzi dorosłych.

W wielkiej alei parku szeleściły pod nogami pierwsze opadające liście, zaczynało być po jesiennemu kolorowo, a że dzień wypadł słoneczny, park promieniał złotym ciepłem, jaskrawą barwnością i pogodą. Grupa chłopców wracała z grabiami i łopatami z jakiejś roboty, śpiewając i pogwizdując beztrzesko. Inni grali w siatkówkę na obszernym boisku. Jasne i ciemne głowy wychylały się z okien obszernego domostwa, które chyba kiedyś było obszarniczym pałacem. No tak. Ale przy potężnej bramie z czerwoną tabliczką stała budka strażnicza, mur miał cierniową koronę z kolczastego drutu i pobłyskiwał wbitymi odłamkami szkła, a niektóre rzędy okien miały gęste kraty. Muszą te kraty chyba jakoś wyjątkowo brunirne przekreślać jasnoblękitne powietrze, słoneczną patynę na przywiedłej zieleni i całe piękno krajobrazu – gdy się patrzy przez nie z wnętrza domu. A chłopcy, mijający mnie, spojrzenia mieli twarde i nie wiem, czy byli skłonni przejmować się pięknem zasypiającej przyrody. Ktoś rzucił mocne słowo, dwaj spierali się, co będzie na obiad: znów krupnik czy dla odmiany grochówka. Trzeci oświadczył, że pieprzy jedno i drugie.

Andrzej Prot nie ma tu złej opinii – tak twierdzi dyrektor zakładu i bezpośredni opiekun grupy. Jest dość zdyscyplinowany, w porównaniu z innymi może nawet bardziej układowy. Jego sposób mówienia i zachowania świadczą, iż wyrósł w środowisku kulturalnym. Czasami Sprawia wrażenie, że gardzi innymi chłopakami. Mogłoby mu to stworzyć niedogodną pozycję wśród kolegów, gdyby nie szczególne dar przewodzenia innym, jaki ten łotrzyk posiada. Rozkazuje gładko całej bandzie, a oni go słuchają z pokornymi minami. Może

i to ma swoje znaczenie, że siedzi za zabójstwo. Taka krecha w życiorysie nobilituje delikwenta wśród pospólstwa, co to tylko tu coś podkradło, tam kogoś pobiło.

Andrzej chodzi ze mną po parku, siadamy na oddalonej ławce. Kolegom powiedziało się, że jestem krewnym, który przyjechał do niego w związku ze śmiercią jego matki. Tak lepiej, wygodniej. Po co mają gadać. Uprzedziłem Andrzeja, że mam przy sobie magnetofon, niech wie, że gram w otwarte karty. Naciskam guzik. Słuchać szelest taśmy.

Na początku próbuje robić ze mnie balona. Używa wyłącznie złodziejsko-bandyckiej gwary, „grypsery”, czyli „nawija”. Sypią się różne przedziwne słowa, cudaczne potworki, bękarty naszej polskiej mowy. Odwzajemniam mu się pięknym za nadobne, niech nie myśli, że ja nie potrafię wysławiać się w podobny sposób, a potem powiadam:

– No to, synku, porozmawialiśmy sobie po francusku, teraz pogadajmy jak ludzie. Chyba już wyrosłeś z krótkich majtek, a ja muszę się dowiedzieć, kto zamordował twoją matkę i to nie przelewki.

Zrozumiał, że nie ze mną te numery. Wiem, nie ma powodu, by uwielbiał reprezentowaną przeze mnie władzę, ale niech ją przynajmniej szanuje. Spokorniał nieco, kiwnął głową na znak zgody, ale ja czuję przez cały czas, jak bardzo jest w nim wszystko w środku napięte. Jakby się prężył do skoku.

Przypomina ojca. Nic w nim prawie nie ma z rysów Jolanty, może to go tylko do niej upodabnia, że jasną głowę przekrzywia na bok i uśmiecha się nikło samym kącikiem ust, tak jak Jolanta Kordes

na fotografii, ofiarowanej mężowi w piętnastą rocznicę ślubu.

– Pan kapitan wie, że byłem w Dzieżmoli piętego września, właśnie w tamten wieczór? – pyta beznamyślnie, jak gdyby to nie o niego, lecz o kogoś zupełnie innego, obcego mu, chodziło.

– Pewnie, że wiem – odpowiadam w podobnym stylu – urwałeś się przecież z zakładu i miałeś za to karniaka.

– Świnia ten dyro – powiada na to z łagodną pobłażliwością – nie wziął wcale pod uwagę, że sam wróciłem dalej garować. Nawet szukać mnie nie musieli.

– Ale nie chciałeś się przyznać, gdzie byłeś i po co...

– Jeszcze czego. A co to ich obchodzi.

– Mniejsza o to. Mnie za to obchodzi. Sam to rozumiesz.

– Domyślił się pan kapitan, że byłem w Dzieżmoli u tych zgredów, Barsów, czy ma pan na to jakieś dowody? Ślady jakie zostawiłem czy może matka komuś wygadała?

– Nie – mówię szczerze – śladów nie zostawiłeś. I matka nikomu nie mówiła. Dowodów nie mam żadnych. Ale tak to sobie wykombinowałem. Ciebie tego dnia nie było w zakładzie. A Bodzia-czek, taki literat, znasz go chyba, powiedział, że widział twoją matkę z kimś na tarasie, ale było już ciemno, więc nie wie, kto to był. Jakiś cień, tak napisał. Cień, który potem ulotnił się przez ogród. Ale zanim do tego doszło, twoja matka czule obejmowała ten cień czy też przytuliła się do niego. Pomyślałem sobie: nie widzę nikogo w tym towarzystwie, które świętowało w Dzieżmoli, komu Jolanta Kordes mogłaby i chciałaby rzucać się na szyję. I też nikt się nie odłączył od

towarzystwa, znikając w ciemności. Więc to mogłeś być tylko ty. Tak, że jeżeli ty mi nic nie powiesz, nie będę nadal nic wiedział.

Dostrzegłem, że słucha z zainteresowaniem. Tacy nie lubią, jak się ich kiwa. Ale ja mówiłem prawdę i to go usposobiło do mnie przychylnie. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się głęboko, a ja nie przerywałem tej zadumy. Wziął suchą gałązkę, która leżała obok ławki, i oskubawszy ją z resztek liści, wprawił w ruch wahadłowy, muskając jej końcem drobny piasek ścieżki. Przed nogami, obutymi w znoszone trampki, powstawało w ten sposób coraz bardziej uwydatniające się półkole. Jak gdyby kreślił dookoła siebie krąg, poza który nikt nie ma prawa wstępu. Nikt nie wtargnie w pewne sprawy, które on uważa wyłącznie za swoje własne. Drogę wahadłu przecięła mrówka, ciągnąca za sobą z wysiłkiem resztki odwołka jakiegoś żuczka. Zatrzymał gałązkę. Mrówka przetaszczyła swój łup przez piaszczysty rowek półkola i niestrudzenie powędrowała dalej. Gałązka znów zaczęła się poruszać miarowo w rękach Andrzeja, stwardniałych od fizycznej pracy. Przyglądałem mu się uważnie. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, nie wiem, do mnie czy do mrówki. Że taka wytrwała i sprytna.

Podniósł na mnie oczy, bardzo niebieskie, w ciemnej oprawie. Chciałoby się pomyśleć: to niemożliwe, żeby ten chłopak kogokolwiek zabił. Ale wiedziałem, że to jest możliwe. Myśl zgasła, zanim zdążyła się rozwinąć.

– A pan kapitan chce wiedzieć? – zapytał poważnie, bez żadnej kpiny. Dawał do zrozumienia, że pertraktacje ze mną uważa za rzeczowe.

– Oczywiście. Zależy mi na tym. To moja robota: wiedzieć.

– Pary z gęby nie puściłbym, gdyby to nie o matkę chodziło. No i o ojca. Żeby go czasem w to nie wrobili.

Znów przerwał, ale ja nie ponaglałem. Uważałem, że sprawa jest na dobrej drodze. Miałem rację. Nabrał tchu jak pływak przed skokiem do wody, przygotowywał się widocznie do dłuższej tyrady. Ale zaczął zupełnie spokojnie:

– Między moimi starymi już od dawna było do tyłu. Jak byłem mały, to tego nie rozumiałem, ale kiedy już od ziemi odrosłem, skapotałem, że im ze sobą nijako. Że inaczej odnoszą się do siebie niż rodzice różnych moich kolegów, u których bywałem. Matka albo gderiała, albo nie odzywała się do ojca całymi dniami. Praca też jej jakoś nie szła, w domu panował bałagan. Ile to ja razy szedłem do szkoły bez śniadania. Na gosposię albo nie było pieniędzy, albo trafiały się takie, że lepiej nie mówić. A wszystkie nic sobie z matki nie robiły. Jeszcze do ojca to potrafiły słodko oczkami przewracać, bo sławny aktor, a jakże, ale niechby im tylko mama spróbowała coś powiedzieć... Ja od nich się nauczyłem tego lekceważenia i to było pierwsze, co nas z matką poróżniło. Mówiła zawsze, że to ojciec winien i że przez niego nie chcę jej słuchać. Właściwie to ja miałem dość tych domowych kwasów, dąsów i sprzeczek. Ojciec łajał matkę za dziurawe skarpetki i przechwalał się, ile to babek za nim lata i że każda byłaby szczęśliwa, będąc jego żoną. Matka znów wyrzekała, że talent jej się zmarnował, że prowadzenie domu zabiera jej wszystkie siły i natchnienie. Ojca to gniewało z kolei, bo lubił, żeby go radośnie obskakiwano, więc naumyślnie dokuczał matce: mówił, że żadnego talentu w niej nie widzi, że i tak nic wielkiego z tej jej pisaniny nie wyszłoby i lepiej by zrobiła, gdyby nauczyła się dobrego



gotowania. I tak to szło, wlokło się latami, a ja uciekałem z domu, kiedy tylko mogłem i nadarzyła się okazja. Różnych miałem koleśków, dobrych i złych. Ale tych złych wołałem. Bo ci dobrzy to przeważnie mieli jakieś dobre, ciepłe domy. Domy z miłością albo życzliwością, albo z przyjaźnią. Pękałem z zawiści i nienawiści do nich. Nie mogłem im nic dobrego opowiadać o moim domu, chociaż wielu mi zazdrościło. Jak to, ojciec sławny aktor, matka dziennikarka, opowiadanka takie ładne pisze. Myśleli, że muszę znać wielu ciekawych, sławnych ludzi. Bo zwyczajni ludzie wyobrażają sobie takie środowisko, jak moich rodziców, bardzo idealnie. Nie wiedzą, jak to bywa różnie. Do nas zresztą mało kto przychodził. Matka nie umiała przyjmować gości, rodzice spotykali się przeważnie ze swymi znajomymi gdzieś na mieście. Więc ja wołałem tych złych, jak to się mówi, kolegów, bo im nie miałem czego zazdrościć. U nich, w ich domach było albo tak samo, albo i gorzej. Byli chłopcy, których ojcowie pili, bili się z żonami, czasem w więzieniu siadywali. Tym chłopakom, często nie mającym grosza przy duszy na loda, imponowało moje towarzystwo. Naciągali mnie na forszę, ale że sami robili czasami małe skoki, ja nie chciałem być od nich gorszy. Robiliśmy razem kawały, często wredne. Byłem od nich mądrzejszy, dużo czytałem książek, chodziłem regularnie do kina, otrząsałem się z tym i owym, miałem pomysły, bystrzej, łatwiej orientowałem się w trudnych sytuacjach i tak doszło do tego, że sklepiłem sobie własną bandę. Zostałem wodzem. Różnie potem ta banda się zmieniała, jedni odchodzili, drudzy doszłusowywali, ale to ja właśnie z nimi, wtedy...

Znałem tę sprawę z akt sądowych, z którymi przezornie zapoznałem się wcześniej, jeszcze w Warszawie. Przerwałem Andrzejowi:

– To mi opowiesz kiedy indziej.

Kiwnął głową, jak gdyby z ulgą. Pomachał patykiem i ciągnął dalej swoją opowieść:

– Potem przyjechała ciotka Bożena i wtedy już wszystko poszło w domu w drobny mak. Trochę przycichło, jak wróciła na pewien czas do babci, do Kielc i jak wyszła za mąż za Barsa. To ona namówiła wuja Sławka, żeby nakręcił film z tego mamy opowiadania, które mnie się zupełnie nie podobało. Bo co z tego, że dwoje chodzi i chodzi dookoła siebie i nic z tego nie wynika? Ale mama wtedy odżyła. Zrobiła się zupełnie inna.

Ładniejsza. Weselsza. Już myślałem, wszystko pójdzie na lepsze, a tu znowu klops. Zaczęło się z tym parszywcem, Guciem. To pijawka, nie człowiek, słowo daję. Wredny typas. I tego to już ja zupełnie matce darować nie mogłem, że z nim sobie poszła. Bardziej niż tego, że nie umiała podobać się ojcu, nie potrafiła go przy sobie utrzymać. Rzucić takiego fajnego faceta jak ojciec – dla takiej gni-dy? Bo ojciec nie jest zły, z niego tylko czasami uśmieć się można, jak te swoje miny stroi. No i wyobraziłem też sobie, że mnie matka zupełnie kochać przestała.

Przez tego całego Gucia. A ja, głupi, jednego wtedy nie zrozumiałem. Że ona musiała koniecznie mieć kogoś, kto by w nią wierzył. Kto by jej powiedział, że jest ładna.

Że jest zdolna, że to jej pisanie jest coś warte. Żeby zaraziła się tą wiarą i uwierzyła we własne siły. Bo ja już teraz wiem, jak to jest. Tutaj przekonałem się. Są tacy nauczyciele i wychowawcy, którzy nam tylko od bęcwałów i łobuzów wymyślają. Ale dyro na przykład – nie. To dyro mi wmówił, że ja jeszcze będę mógł w życiu coś

zrobić, chociaż tyle sam sobie napsulem. Z matką było to samo. Ojciec zawsze z niej pokpiwał, a Gucio nigdy. Gucio jej kadził, ile mógł. Dlatego zabrał ją sobie, wygrał ją od nas, od ojca i ode mnie. A potrzebna mu była, bo z niej żył. Co to ja nie widziałem, jak jej pieniądze podbierał? Nie słyszałem, jak mówił, żeby to czy tamto dla niego napisała, a potem już mowy nie było, że to ona, tylko on chodził i chełpił się, i kokosił, jak mu ładnie scenariusz wyszedł. A jak mamy nie było, różne babki sobie sprowadzał. Wtedy, kiedy już mieszkaliśmy razem z nim. To znaczy on z nami. Nic matce nie mówiłem, bo myślałem sobie: dobrze ci tak. Po co ci było takie łajno. Znienawidziłem wtedy matkę. Dziś panu kapitanowi mówię, kiedy mam to za sobą. Przeszło, minęło. Ojciec i Mariolka zapraszali mnie co rusz do siebie. Korzystałem, ile wlezie. Wiedziałem, że to matkę do gorączki doprowadza. No i te siupy robiłem z kolegami. Też matce na złość, bo jak mnie musiała raz i drugi wyciągać z rozróbki, to przynajmniej miałem tę satysfakcję, że się mną chociaż tak musi zajmować. Czy Mariolka i ojciec mogli mnie „zdeprawować”, jak to lubiła mówić matka? O rany! Przecież ja już tyle wiedziałem o różnych sprawach! Mariolkę mógłbym uczyć. Frajerka była, ta moja matka. Nie wiedziałem wtedy, że jednak tak mi będzie... no, głupio, powiedzmy, jak jej nie będę przez tyle czasu widział. Od kiedy tu siedzę, rady sobie nieraz dać nie mogłem. Kraty bym powyrywał, bramę rozwalił, żeby tylko... No i tak nie wytrzymałem tamtego dnia. Jeszcze jak byłem na wolności i do szkoły chodziłem, zawsze w tych pierwszych dniach września, już po rozpoczęciu szkoły, szliśmy z matką na zakupy. To nic, że zawsze mi kupowała wszystko za późno, bo można by było pod koniec wakacji kupić, bez tłoku i to,

co trzeba. I to nic że spodnie kupowała mi zawsze albo za szerokie, albo za ciasne. I że pieniędzy jej zawsze na to wszystko nie starczało. Ale szastaliśmy się z nią po całym mieście jak hulaki, jedliśmy w Grandzie obiad, szukaliśmy, gdzie najlepsze lody, tak, jak gdyby tylko te dni były właśnie jedyną okazją na podobne szaleństwa. I tu, teraz, kiedy nam wszystko, co trzeba, gospodarczy zakładu przydzielają, i książki mamy na czas, i zeszytu żadnego nie brakuje – poczułem, że coś mnie dusi. Że nie mogę. No i nie wytrzymałem. Prysnałem. Waliłem w drzwi jej mieszkania, jak gdyby się paliło. Od sąsiadów wyrzała jakaś kobieta. Powiedziała, że jest tam gosposią i że zna, moją matkę, bo sprząta u niej czasami. I właśnie jak któregoś dnia sprzątała, to słyszała, że moja matka umawiała się z kimś przez telefon. I powiedziała, że piątego nie może przyjść, bo jedzie na przyjęcie do państwa Barsów do Dzieźmoli. A że właśnie tego dnia był piąty, widocznie muszę szukać jej w Dzieźmoli, skoro mam taki pilny interes, że mało drzwi z zawiasów nie wybiłem. To ostudziło trochę mój zapał, ale ja, jak już raz coś postanowię, zawsze doprowadzam mój zamiar do końca. Chciałem matkę zobaczyć, chciałem jej powiedzieć to, czego nie mówiłem do niej od lat i musiałem ją zobaczyć, w Dzieźmoli, w piekle czy gdzie indziej. Wszystko jedno. Ona tylko była ważna. I taka, jaka była, ze wszystkimi swoimi wadami i zaletami. Pojechałem do Dzieźmoli na gapę. Bałem się, że mnie przy skrzynią. Ale jakoś się udało, przeskakiwałem z jednego wagoniku kolejki do drugiego. Kiedy już byłem na miejscu, ukryłem się w krzakach, nie chciałem, żeby mnie ktokolwiek z nich widział. Nie lubiłem tego towarzysza. Gorsze od moich chłoptasiów, co jabłka

babom na bazarze kradną albo kioski z papierosami nocą obrabiają. Ci od Barsów potrafią ukraść człowiekowi nawet to, co w sercu nosi. I mózgi kradną. I niczego się nie boją, bo kary na nich nie ma, a na nas jest. Prócz tego nie chciałem, żeby ktoś mi zepsuł to spotkanie z matką, które tak sobie wymarzyłem. Zobaczyłem ją dopiero dość późnym wieczorem, chodziła po tarasie, tam i z powrotem, bardzo zamyślona i zdenerwowana. Zawołałem ją najciszej, jak mogłem. Ukryliśmy się w miejscu, gdzie nie padało światło i nikt nas nie mógł rozpoznać. Nie wiem, dlaczego, ale wtedy, właśnie wtedy, kiedy tak bardzo chciałem tyle jej powiedzieć, zabrakło mi wszystkich tych słów, które sobie dla niej naskładałem. Zapomniałem je wszystkie, co do jednego. Żadne mi nie zostało w pamięci, żadnego jej nie dałem. W ogóle nic prawie nie mówiliśmy. I ona jak gdyby wcale nie dziwiła się, że tam jestem, że tak stoimy po ciemku, w ukryciu. Nie pytała, skąd się wziąłem, czy nie uciekłem z zakładu, czy mam przepustkę. Jak gdyby to wszystko nie było ważne. Zacząłem coś mamrotać, bardzo głupio i nieskładnie, ale ona położyła mi rękę na ustach. „Nie trzeba” – powiedziała. I roześmiała się do mnie cicho, takim swoim śmiechem, którego czasami zupełnie nie było słychać, tylko jak ktoś chciał, to wiedział, że to właśnie u niej oznacza śmiech. „Sięgam ci już teraz tylko do pól głowy” – szepnęła. – „Jak mam ciebie pogłaskać po włosach i pocałować w czoło?” To ją tak rozśmieszyło, że urosłem, a ona tego nie zauważyła. „Chcę być z tobą” – powiedziałem. Odrzekła: „Zawsze byłeś i zawsze ze mną jesteś”. Myślałem, że nie rozumiała, o co mi chodzi. Określiłem więc inaczej to, co miałem na myśli: „Ja chcę, żeby teraz wszystko było inaczej”. Objęła mnie, a ja ją. Poczułem, że ma mokrą twarz.

Plakała. Z trudem zrozumiałem słowa, dwa słowa, które wyrwały się jej, jak gdyby sprawiając wielki ból: „Za późno. A potem odsunęła mnie od siebie, przyjrzała się, jakby mnie pierwszy raz w życiu oglądała i mruknęła: „Idź już, synku. Bo będą się na ciebie gniewać. Idź przez ogród, dookoła, za fontanną jest dziura w płocie, wyjdiesz wprost na drogę do stacji”. Poczekała jeszcze, aż przeskoczę balustradę i odeszła. Zza krzaków widziałem, jak weszła do salonu. A ja zrobiłem tak, jak mi kazała. No i już, panie kapitanie. To wszystko.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Andrzej odpoczywał, najwidoczniej zmęczony swoją przydługą spowiedzią. Ja zastanawiałem się, o co mógłbym go jeszcze zapytać, o jaki szczegół, który byłby mi pomocny w dalszym śledztwie. Przypomniałem sobie:

– Powiedz mi, bracie, jeszcze jedną rzecz. Dałeś kiedyś pewnej dziewczynie, której nie znałeś i którą przypadkowo spotkałeś, cenny pierścionek. Skąd go miałeś?

Popatrzył na mnie jak nagle przebudzone dziecko. Z przestraszeniem i zalem. Może to i było zbyt raptowne przejście, ostry przeskok od spraw sentymentalnych w krąg materialistycznej prozy. Może nie tego, nie takiej reakcji się po mnie spodziewał. Nie cofnął się jednak przed odpowiedzią, chociaż wydusił ją z zażenowaniem, usiłował pokryć nonszalancją:

– Oh... to były te dawniejsze, moje złe czasy. Dorwałem kiedyś Gucia Nieczuflę, jak bobrował po matki szufladach. Akurat trzymał w łapie jej kasetkę z biżuterią, którą otrzymała od ojca. Grzebał w tej biżuterii. Matki nie było, miała, zebranie w redakcji, a ja wyjątkowo cześnie wróciłem ze szkoły. Nie spodziewał się, że ktoś go tak

zaskoczy. Wybrał ze środka ten pierścionek, dał mi i powiedział: „Masz, to dla ciebie. Daj jakiejś cizi. Pewnie masz cizię, co? A jak nie, to przepij z kolesiami albo kup sobie za to coś ładnego. Tylko nie mów naszej pani, że zaglądałem do tego pudełka. Gęba w kubał... Bo jak nie, to już ja cię potrafię urządzić. Wiem o tobie to i owo”. Tego, co o mnie wiedział, nie bałem się. Straszyć mnie nie potrzebował. Zrozumiałem, że chce matce gwizdnąć coś z tych błyskotek. A ja... niech pan sobie wyobrazi, panie kapitanie, nie miałem nic przeciwko temu, co on zamierzał zrobić. Bo ja tych klejnotów nienawidziłem. Zdawało mi się wtedy, że matka sprzedała za nie ojcu nasze szczęście. No, jak to powiedzieć... Nasz dom. To, że byliśmy rodziną, a teraz nie jesteśmy. Nienawidziłem tych świecideł. Cieszyłem się, że Gucio je skradnie i wyobrażałem sobie, jaką mama zrobi minę, jak ich nie znajdzie w pudełku. A potem powstał raban, bo chciała je sprzedać, kiedy już nie mieliśmy forsy. Okazały się fałszywe. Z początku nie mogłem zrozumieć. Jakże to? Pierścionek, który mi Gucio dał za milczenie, był prawdziwy. Sprawdzał to jeden koleś, który pracuje jako praktykant u jubilera. A tamte, z takimi samymi kamieniami, miały być fałszywe? Coś mi nie klapowało w tym wszystkim. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że Gucio zabrał matce prawdziwe klejnoty i potem podłożył jej kopie. A jeżeli ktoś to mógłby dla niego wykonać, to tylko ta jego Lilka. Ona to zrobiła. Wielka sztuka, przerysować parę świecidełek, a potem je podrobić. Lilka to zdolna babka. Sama kiedyś chwaliła się, że nawet koronę królowej brytyjskiej potrafi sfalszować. Teraz to w ogóle cholernie mi głupio, kiedy myślę o tej sprawie. Biedna była

ta moja mama. I tak głupio zginęła. Ale pan kapitan wykryje, jak to się stało?

Jego niebieskie oczy patrzyły na mnie z taką ufnością, z tak niezachwianym przekonaniem, że zapewniłem go najgoręcej, jak tylko mogłem:

– Oczywiście. Już dużo wiem. A to, co ty dziś powiedziałaś, bardzo mi pomoże w dalszej pracy.

Odprężył się. Widziałem, jak rozluźniają się stwardniałe mięśnie przedramienia, widocznego spod zawiniętych rękawów koszuli. Na jego twarz powrócił trochę cwaniacki, trochę przekorny grymas. Bezceremonialnie wyłuskał spod poły mego ortalionowego płaszcza magnetofon w całej okazałości:

– Fajna maszynka – burknął – zminiaturyzowana. Pewnie import, co? Najlepsze są japońskie. W zegarku na rękę można nosić. A tej taśmy, jak już będzie panu niepotrzebna, nie mógłby mi pan kapitan dać na pamiątkę? Co?

– Nie, nie mógłbym – odpowiedziałem przekornie, śmiejąc się. – Mogę ci za to przysłać nową płytę z piosenkami Okudźawy. Chyba macie adapter w świetlicy.

Nie wiem, dlaczego wydało mi się, że Andrzej musi lubić gorzkie i zaczepne ballady Okudźawy. Nie myliłem się: aż gwizdnął z uciechy.

Andrzej odprowadził mnie do samej bramy. Szliśmy milcząc, on nieco chmurny, ja – z poczuciem pewnego zażenowania czy skrępowania. Miałem wrażenie, iż nie wywiązałem się w pełni z mojego zadania. Było coś połowicznego w naszej rozmowie z nagłą urwaną.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, w czym rzecz. Moja rutyna już dawno powinna była mnie uodpornić na osobiste przejmowanie się losami ludzi, wchodzących w krąg prowadzonego przeze



mnie śledztwa. Powinienem się zadowalać faktem wyjaśnienia konkretnej sprawy do końca i odesłaniem jej akt, gdzie należy. Do archiwum albo do prokuratora. I powinno jeszcze być tak, że gdy spotkam kiedyś, po miesiącach czy latach, przypadkowo na ulicy osoby, których życie zgłębiłem do najdrobniejszych szczegółów – nie rozpoznam ich twarzy, im zaś moja postać wyda się tylko „dziwnie znajoma”. Ale właśnie ze mną bywa bardzo często zupełnie inaczej. Losy wielu ludzi, w których sprawy musiałem się natarczywie wtrącić, obierają sobie moją pamięć za trwałe miejsce zamieszkania. Mało, że pamiętam o nich po latach, ale ciekaw jestem, jak ułożyło się ich dalsze życie. W wielu wypadkach nie jest mi ono obojętne.

To samo dotyczyło Andrzeja. Czułem, że nie odjadę stąd, nie dowiedziawszy się, jakie plany na przyszłość snuje ten młody człowiek pod wpływem tak szanowanego przez niego „dyra”.

– Co chcesz robić, jak stąd wyjdiesz? – spytałem wprost.

– Jak stąd wyjdę, będę miał świadectwo ukończenia technikum mechanicznego. Nie byłoby źle, żeby mnie wzięli do wojska. Chciałbym dostać się do Wojskowej Akademii Technicznej. Interesują mnie silniki odrzutowe, rakiety. W ogóle duże szybkości. Ale czy takich jak ja biorą, panie kapitanie?

Odpowiedziałem trochę wymijająco, żeby nie myślał, że drogę będzie miał usłaną różami – bo nie będzie jej miał:

– Nie wiem. Dużo od ciebie zależy. W wojsku praca i służba odpowiedzialna. Narwańcy bardzo niepożądanymi. Ale wiesz co? Twój ojciec mówił mi, że chce wziąć ciebie do swojego domu. I że chce

się starać o twoje przedterminowe zwolnienie z zakładu.

Burknął pośpiesznie:

– Po co? Tu nie raj, oczywiście. Ale mnie potrzebna ostra dyscyplina, bo inaczej zaraz zaczynam bałaganić. Mój stary i Mariolka mają własne życie, na diabła im jestem potrzebny? Byłem dla nich zabawką na złość matce, póki żyła. Ale teraz ona nie żyje i zabawa się skończyła.

Nie wiem, czy postąpiłem słusznie, wtajemniczając Andrzeja w dalsze plany jego ojca. Uważałem jednak, że wcześniej czy później i tak dowie się o wszystkim. Niech ma czas na przemyślenie tej sprawy:

– Niezupełnie masz rację. Nie wiesz zapewne, że masz przyrodnią siostrę. Agnieszka ma siedem lat, jest córką twojego ojca i ciotki Bożeny. Od urodzenia wychowuje się w Domu Dziecka i matka wyrzekła się jej. Twój ojciec chce Agnieszkę również sprowadzić do siebie. Wyobraża sobie, że będziecie wychowywać się razem, no bo przecież jesteście rodzeństwem. Twój ojciec chce mieć dzieci.

– O kurczę...! – stęknął i aż przystanął, zaskoczony swoją rewelacją. – To cholerna kukułka, ta Bożena. Ale po niej czegoś takiego można było się spodziewać. Nigdy jej nie lubiłem. To ta Agnieszka nic nie wie o rodzinie?

Skinąłem głową. Bardzo byłem ciekaw jego reakcji. Przechylił głowę lekko na bok ruchem podpatrzonym u Jolanty. Powędrowałem oczyma w ślad za jego spojrzeniem. Patrzył w głąb gęsto zarośniętej, ciemnej alei, która została za nami. Jej daleki, jasny wylot wyglądał jak oddalony ekran filmowy. Na nim barwny, ruchomy obrazek, prześwietlony cały na wskroś jaskrawym jesiennym słońcem,

pokazywał nam boisko i biegających po nim za piłką chłopaków.

Andrzej zmarszczył gęste brwi. O czym myślał? Czy była mu przykrą myśl rozstania się z chłopakami, wśród których może już znalazł sobie przyjaciół? Czy też myślał o tym, jak to jest, jak to się dzieje, że i ci chłopcy, i on, i Agnieszka znaleźli się poza kręgiem domu i rodziny?

Mruknął gniewnie:

– Cholerny świat. Dlaczego ja stale muszę zjadać kaszę, którą starzy nawarzyli? Niech pan kapitan powie, dlaczego? No bo jeżeli tak jest, jak pan kapitan mówi, to jasne, że z moich planów nici. Ktoś przecież musi zająć się tym szczeniakiem. Nie Mariolka i nie mój stary, na pewno. Oni by ją wychowali, że nie daj Boże!«

## 15.

Czuję się już trochę zmęczona lekturą. Toteż właściwie jestem zadowolona, że następna zszywka w teczce Chmury pod znaczącym kryptonimem „Ćmy”, jest szczuplejsza objętościowo. Mieści się w niej to, co pozostało z protokołów przesłuchań reszty półświadków czy półpodejrzanych, po wycięciu przez Chmurę fragmentów już mi znanych jako prezentacja problemów: „Skąd wziął się cyjanek na pazurach kota Yogi” oraz „Sympatie i antypatie kota Yogi”.

Przerzucam dość pobieżnie te kartki. Stwierdzam, że nie ma w nich prawie nic ciekawego. To, co istotne i rzucające nowe światło na znane już okoliczności sprawy, Chmura podkreślił czerwoną

kreską, ułatwiając mi w ten sposób pracę. Strzępy protokołów ułożone są przy tym dość chaotycznie, nie można dopatrzeć się jakiejś celowości czy metody. Ani według dat, ani według ważności składających zeznania osób.

I tak, na samym wierzchu mam to, co pozostało z przesłuchania gospośi państwa Barsów, obywatelki Katarzyny Nalepy.

Niewiele tego. W każdym bądź razie dowiedzieć się można przy okazji, iż obywatelka Katarzyna Nalepa pochodzi ze wsi Kazimierówka, ma lat 59 i jest wdową. Przed wojną pracowała u jednej sławnej artystki, ale ta, jak wyjechała we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku ze swoim protektorem, czyli „rządowym przyjacielem”, tak i nie wróciła. Nie zniechęciło to pani Katarzyny do sfer artystycznych. Odwrotnie. Odziedziczywszy po aktorce mieszkanie z pełnym umeblowaniem i urządzeniem, zorganizowała sobie podczas wojny w tym lokalu coś w rodzaju pensjonatu, a oficjalnie nazywało się to prywatną jadalnią. Dawała dach nad głową i żywiła wielu dawnych kolegów swojej byłej chlebodawczyni; jak kto był w biedzie, to niejednemu „na wieczne nieoddanie” obiady kredytowała. Mimo to byłaby dziś bogatą panią, bo z tym wszystkim dobrze się jej wiodło, gdyby cały ten kram nie spalił się podczas powstania. A że akurat pierwszego sierpnia poniosło ją na drugi koniec miasta, na Wolę, bo tam jeden znajomek wieprzka bił i rąbanekę jej obiecał, więc już do domu nie wróciła i nawet oszczędności, które w żelaznej puszcze zawieszzone na sznurku w kominie chowała, przepadły jej z kretesem. Cała kamienica spaliła się i runęła. Katarzyna uważała to za wyjątkową złośliwość losu, który to los w jej pojęciu miał postać jej dawnej pani. No bo po niej to wszystko nieoczekiwanie miała,

ona Katarzynie to wszystko jak gdyby cudem darowała, któż więc Katarzynie ów cudowny dar odebrał, jak nie ona właśnie? Zauroczyła – przez zemstę. Pewnie jej tam kto doniósł za granicą, że Kaśka w jej kapeluszu z piórem i pelerynce z lisów na mszę świętą w niedzielę do kościoła biega i w pierwszych ławkach siada, żeby widziały te wszystkie, z którymi dawniej wieczorami na kuchennych schodach albo na podwórku przy śmietnikach plotkowała, jakie to toalety ma aktorzyca – i z czego to sobie wszystko posprawiła...

Sądzę, że Chmura ze swoją słynną stoicką cierpliwością wysłuchał owych Kasinych wynurzeń tylko po to, aby się w końcu dowiedzieć, dlaczego Katarzyna Nalepa nienawidzi Bożeny Norskiej.

Bo Jolantę raczej lubiła. Powiedziała:

»Pani Jolanta to był ludzki człowiek. Przychodziła do mnie do kuchni, patrzyła, co robię i dziwiła się, jak mi to wszystko sprawnie leci. Mówiła, że nie potrafi tak gospodarować. Żał mi jej było. Nie-wydarzone toto jakieś, ni z mięsa, ni z pirza. Jak za przeproszeniem pana kapitana, taka przerastała mąka, wie pan kapitan, co to takiego? Kluski z niej zrobisz, ciągną się jak guma, ciasto upieczesz – zakalec jak amen w pacierzu. A wszyscy wariatkę z niej strugali. Tylko ona za drzwiami, już szu-szu-szu przy stole i w śmiech. Nieraz na to patrzyłam. Tego wieczora też do mnie przyszła. Zaparzyłam jej mocnej herbaty, bo taką lubiła. Usiadła przy kuchennym stole i tak długo mieszała łyżeczką cukier, że tylko patrzeć, w denku szklanki dziurę by zrobiła. Jak tak poruszała ręką, zaświeciło coś. „Ładną ma pani bransoletkę” – powiedziałam. – „Ja mam oko na takie rzeczy, moja przedwojenna pani lubiła obwieszać się takim czymś jak choinka”.

Pani Jolanta wyciągnęła do mnie rękę, żebym sobie obejrzała. Gałązki konwalijek to były, fikuśnie zmajstrowane, na srebrnych łożkach, listki były zielonymi kamykami wysadzone, a kwiatki z brylancików, wszystko trzymało się na szerokiej, złotej, podwójnej obręczy. „Oho” – powiedziałam. – „Piękna rzecz. I pewnie droga...” Roześmiała się, ale tak jakoś dziwnie, jakby się jej więcej na płacz, niż na śmiech zbierało. Powiedziała: „Eh, moja pani Kasiu, żeby to było prawdziwe... Ale to fałszywe. Sztuczne, rozumie pani?” Dlaczego miałam nie rozumieć. Jak sobie we wojnę pieniądze na starość ciułałam, to też to i owo kupowałam i dobrze patrzyłam, czy mi tombak i szkieleka nie wtryniają. Coś mi jednak po głowie chodziło: gdzie to ja podobną bransoletkę nie tak dawno widziałam? I przypomniałam sobie, więc mówię: „To pewnie teraz modne, bo takusieńką ma nasza pani, znaczy się, pani Barsowa”. „Skąd pani wie o tym?” – zapytała pani Jolanta. Odpowiedziałam: „Weszłam kiedyś do jej sypialni, żeby posprzątać. Przymierzała na sobie przed lustrem, ale tego więcej było. Bransoletka i kolczyki, i naszyjnik. Jak mnie we drzwiach zobaczyła, zaraz zdjęła i do szuflady wrzuciła. I na mnie z krzykiem: „Nie widzi Katarzyna, że się ubieram? Trzeba pukać, kiedy się tu wchodzi”. Myślałby kto, wielka pani... Pani Jolanta słucha, słucha, i widzę, że blednie. Bieluśka na twarzy się zrobiła jak papier. „Niedobrze pani? Pewnie wódki za dużo było. Dam krople”. Ale ona tylko głową kiwnęła, że nie trzeba, i z kuchni wybiegła, jakby ją kto gonił «.

Ten fragment zeznań Katarzyny Chmura obwiódł czerwoną kreską. Drugi fragment dotyczył uczuć, jakie żywiła Katarzyna Nalepa w stosunku do swojej chlebodawczyni i również zainteresował

Sebastiana Chmurę – a tym samym i mnie:

»Pani Barsowa? Jaka tam ona pani! Ja znałam prawdziwe panie, to potrafię odróżnić. Paniusia, nie pani. Jak ją pedikiurzystka kiedyś niechcący w palec zacięła, to ta „pani” całą michę wody, w której nogi moczyła, dziewczyninie na łeb wylała. Suszyło się później u mnie w kuchni, biedactwo, i płakało rzewnymi łzami. Tak żadna prawdziwa pani nie robi. Mój pan, znaczy się, pan Bars też ma z nią krzyż pański. Wścieka się nasza pani o byle co. I po co mu było to małżeństwo? Tak nam było dobrze i spokojnie, kiedy byliśmy we dwoje, mój pan i ja. Wszystko, jak się należy, na czas miał uszykowane. Mówił zawsze, że już się więcej nie ożeni. Bo tak naprawdę to kochał tylko tę swoją pierwszą żonę. Widziałam nieraz, jak fotografię jej przed sobą na biurku postawił i patrzył a patrzył. Ładna była pani, ale we wojnę w obozie zdrowie straciła, no i zmarło się, nie-szczęśnicy. Ta druga, nie powiem, dość grzeczna była i nawet mało wymagająca. W nic się nie wtrącała. Raz, że nie знаła się, cielęciny od wołowiny nie odróżniła, a dwa, że czasu nie miała, bo z jednego zebrania na drugie latała. Żeby tylko nie mówiła do mnie „towarzystwo”. „Towarzystka może już podać obiad”. Jaka tam ja dla niej towarzyska?! Gęsi ze mną nie pasła. No i uczyła mnie bez przerwy, żebym Marksa czytała, i jak ktoś dzwoni, żebym inaczej o panu Barsie nie mówiła, jak „towarzystwo”. A ja jej na to, żeby mi lepiej „Trędowatą” gdzieś znalazła, bo po pierwszej mojej pani, tej przedwojennej, tę książkę miałam i przez całą wojnę w kółko czytałam. Ale mi się spaliła. A to taka cudna książka, że drugiej takiej na świecie chyba nie ma. Powiedziała mi, że jestem nieuświadomiona

proletariuszka. A ja na to: „Jaka tam nieświadomiona, przecież wdowa”. To był ten jeden raz, cośmy się posprzeczały. A z tym towarzyszem to tak było, że z tego całego pouczenia w głowie mi się wszystko pokręciło i tak mi język skołowaciał, że raz, jak ktoś zadzwonił, powiedziałam: „Mój pan towarzysz wyszedł z domu i będzie dopiero na obiedzie”. To mi już potem zakazali telefony przyjmować... No i rozeszli się, mój pan i ta jego towarzyszka żona. Parę lat byliśmy sami. Pan Bars mówił: „Co ja bym bez ciebie robił, Kasiu? Prócz ciebie nikt mi na świecie niepotrzebny. A jak umrę, i ty mnie przeżyjesz, wszystko, co mam, tobie zostawię. Mój dom to twój dom do samej śmierci”. Ale chłop, jak to chłop. Zakręciła się koło niego byle lafirynda i po krzyku. Po obietnicach. Ja to tak jej nie cierpię, tej sekutnicy, że w łyżce wody bym ją utopiła. Ją razem z tym kociskiem, co takie było do niej podobne...«

Ostatnie dwa zdania protokołu z przesłuchania Katarzyny Nalepy Chmura podkreślił czerwonym ołówkiem. Na marginesie dopisał:

„Animoszja do aktorek! Czyżby Katarzyna była zdolna do morderstwa, powodowana nadzieją na spadek po Barsie?”

Znak zapytania, który Chmura postawił na końcu tej uwagi jest takiego formatu i takiej grubości, że właściwie stanowi sam w sobie odpowiedź przeczącą na to pytanie. Katarzyna Nalepa należy chyba do kobiet, które załatwiają swoje porachunki raczej parasolką niż trucizną. A chyba najchętniej za pomocą języka, ostrego jak nóż dobrej gospodyni.

Drugi z kolei protokół w tej zszrywce dotyczy zeznań Marioli Protowej.



Z Mariolą Chmura obchodzi się łagodnie. Widocznie czuje do niej słabość. Przypominam sobie, co mówił do Prota. „Jestem wielbicielem talentu pańskiej żony” czy coś w tym rodzaju. Właściwie najistotniejsze byłyby fragmenty wycięte, umieszczone osobno i znane mi już, a dotyczące cyjanku potasu oraz kota Yogi, gdyby nie dwie jeszcze sprawy, które Chmura umieścił znów w czerwonej ramce jako ważne.

Pierwsza z nich dotyczy Michała Prota. Chmura ciekaw jest, jak to było naprawdę z matką Prota. Czy rzeczywiście był takim niedobrym, nieczułym synem?

Mariola odpowiada:

«Nieprawda. Sprawa matki to była wielka tragedia Michała. Bardzo ją kochał. Ale ona Jolanty nie lubiła, nie wiem, dlaczego. Może uważała, że jej synowi przystoi mieć ładniejszą, bardziej interesującą żonę, a już w każdym razie zaradniejszą życiowo. Bo matka uwielbiała Michała i była przekonana, że jej pięknemu synowi należy się od życia wszystko, co najlepsze. Mieszkała razem z Protami, ale nie czuła się dobrze w ich domu. Podobno mawiała, że bardziej swojsko było jej we własnym pokoiku bez wygod gdzieś tam na dalekiej Pradze czy Targówku. Krępowała się znajomych i przyjaciół Michała, byli to dla niej „wielcy państwo”, nie miała z nimi wspólnego języka. Zamykała się w swoim pokoju, kiedy przychodzili, albo umykała do kuchni i nie było ludzkiej siły, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Po paru daremnych próbach, nieudanych i żenujących, Michał zrezygnował z oswojenia matki z jego nowym życiem. Potem starszuszka zachorowała. Proces sklerotyczny miał u niej gwałtowny i dramatyczny przebieg. Przekształcił się w zaburzenia psychiczne, w

ostrą manię prześladowczą. Potrafiła otworzyć na roścież okno i krzyczeć na całe podwórze, że ją biją i mordują. Kiedy przybiegali sąsiedzi na ratunek, okazywało się, że jest samiuteńka w domu i nic jej nie grozi. Kiedyś nawet milicję sprowadziła, Jolanta musiała zapewniać, że nikt jej teściowej palcem nie tknął i że to starcze urojenia. Albo na przykład taka rzecz: lubiła chodzić po sąsiadach i skarżyć się, że jest głodna, że jeść jej nie dają. A przecież to ona prowadziła gospodarstwo, mogła jeść, ile chciała i co tylko chciała. W końcu zaczęło się mówić o tym, żeby starszkę oddać do szpitala na leczenie, bo do ośrodka nie chciała chodzić, a jak już raz wezwana do domu lekarka zapisała jej jakiś specyfik, krzyczała, że chcą ją otruć. Starsza pani podsłuchiwała jedną taką rozmowę i zaczęła lamentować: że ona takiego wstydu nie przeżyje, jeżeli syn rodzony, taki sławny i taki bogaty, do przytułku ją odda. Że rzuci się pod tramwaj albo do Wisły. Ale tramwaj ją przejechał przypadkiem. Biegła nieprawidłowo przez jezdnię, no i dostała się pod koła«. Na marginesie protokołu Chmura dopisał: „Chodzi mi o to, jakim człowiekiem jest Prot. Mariola nie wie, co napisał Bodziaczek, a sama wie o tych sprawach od Prota. Muszę spytać jeszcze kogoś, co naprawdę mówiła Jolanta na ten temat. Bo jeżeli Prot istotnie postępował z matką, jak twierdziła Jolanta według relacji Bodziaczka, to może być zdolny i do uśmiercenia kogoś, kto mu stanął na drodze. Na przykład – Jolanty. Na przykład – Barsa, który przestaje obsadzać go w czołowych rolach. Na przykład – Marioli, która go zdradza jawnie z Trokiewiczem. Ktoś tu kłamie, ale kto? Bodziaczek czy Mariola? Czy Jolanta?”

Po tych uwagach Chmury, pełnych wątpliwości, czytam drugi fragment zeznań Marioli Protowej.

»Po co poszłam do sypialni Bożeny? Hm... Mogłabym panu kapitanowi opowiedzieć zwykłą kobiecą bajeczkę. Żeby poprawić makijaż i fryzurę. I musiałby mi pan uwierzyć. Ktoś podobno słyszał, że krzyknęłam: „Zobaczysz, ja cię zabiję” czy coś w tym guście. Ale ten ktoś źle słuchał. Ja powiedziałam: „Jak nie przestaniesz, to się zabiję”. „Się”, ale nie „cię”. A powiedziałam tak dlatego, że dotarła do mnie wiadomość o namawianiu Michała przez Bożenę, aby razem z nią i z Barsem pojechał za granicę. Przyrzekała, że wyrobi mu tam zaangażowanie do filmu. Bo ja wiem, po co go tam ciągnie? Może dlatego, że Michał jest o wiele lepszym aktorem od niej, łatwiej byłoby jej działać w zagranicznych wytwórniach czy wśród impresariów opierając się na nim. I myślę też, że gdyby taki wyjazd doszedł do skutku, Bożena puściłaby Barsa kantem, a zostawiłaby przy sobie Michała, przynajmniej na jakiś czas. Bo to jest taka strzyga: musi na kimś żerować. A ja Michała bardzo kocham. I wcale nie chcę, żebyśmy się rozstali i żeby ona zrobiła sobie z niego ofiarę. I jeszcze jedno. Michał ma syna, Andrzeja. To trudny chłopiec, ale ja lubię sprawy trudne. Lubię trudne przeszkody. Kiedy przeszkodę pokonam, to za każdym razem czuję się, jak gdybym się na nowo na świat narodziła. Nie tylko lubię Andrzeja, ale bardzo przywiązałam się do niego. Chciałabym go wychować, lepiej, inaczej niż Jolanta. Chciałabym, żeby był moim synem, bo ja własnych dzieci mieć nie mogę. Tak orzekli lekarze. Michał nosił się z zamiarem wystąpienia do sądu o odebranie opieki nad dzieckiem Jolancie i o przyznanie tych praw nam, to znaczy jemu, Michałowi. I taka

Bożena miałyby mi zabrać tę szansę? I Michała, i Andrzeja, obu na raz? No bo bez Michała nie mogłabym mieć Andrzeja. Dlatego właśnie prosiłam Bożenę o rozmowę i poszłyśmy razem z nią na górę, do jej sypialni, żeby rozmawiać swobodnie, bez świadków. Potwierdziła moje przypuszczenia. Tak, powiedziała, chce zabrać mi Michała – i zabierze. Bo Bars już się jej znudził. I ma już taką sławę, że Bars jest jej niepotrzebny. Wyśmiała mnie i moje macierzyńskie zapędy. „To barbarzyński przeżytek, ten przesąd, że macierzyństwo jest najważniejszą sprawą w życiu kobiety” – tak powiedziała. „A ja z Musia zrobię za granicą bożyszczę kobiet całego świata”... Na to właśnie ja krzyknęłam, chyba za głośno, skoro aż na dworze było słychać: że się zabiję, jeżeli ona nie przestanie tak mówić i tak postępować. Mruknęła: „To się zabij” i zaczęła szukać po kątach Yogi. Nie mogłam już dłużej na nią patrzeć. Zbiegłam na dół, trzaskając drzwiami«.

Gustaw Nieczułło jest stanowczo mało frapującym rozmówcą. Przeważnie odpowiada na zadawane mu pytania lakonicznie: „tak”, „nie”, „możliwe”, „nie pamiętam”. Przede wszystkim jednak: „nie pamiętam”. Ciekawe, jak może mieć taką krótką pamięć reżyser, który przecież jest odpowiedzialny za cały przebieg kręcenia filmu. Czy przy końcowych scenach nie zapomina czasem, o co chodziło w pierwszej sekwencji? A może po prostu wyznaje zasadę: krótka pamięć – długie życie?

Czy spiskował z Bodziaczkim przeciwko Barsowi? Nie. Czy rzeczywiście „wypożyczył” od Jolanty biżuterię, ofiarowaną jej przez Prota, w celu zrobienia z niej kopii, a potem, być może przez omyłkę, zwrócił Jolancie duplikaty zamiast oryginałów? Nie. Czy

rozmawiał z Michałem Protem o ewentualnym obsadzeniu go w dobrej roli, jeżeli sytuacja w „Wirze” się zmieni i on, Nieczułło, zastąpi Barsa? Nie pamięta. Ale spacerował z Protem po ogrodzie tamtego wieczora? Możliwe. Czy gryzła go zazdrość, gdy Bodzia-czek emablował Lilianę Runicz? Skądże! Czy Jolanta oskarżała Michała Prota o znęcanie się nad starą matką? Nie pamięta. W tym jednym wypadku Nieczułło okazuje się bardziej rozmowny i dodaje lekceważąco:

„Zdaje się, że coś tam plotła na ten temat. Ale nic takiego strasznego. Tyle, że za mało dbał o staruszkę. I zdaje się, że gdyby posłuchał jej rady i umieścił matkę w Domu Starców, to nie byłaby wpadła pod tramwaj”.

Kto pierwszy roześmiał się podczas tańca Jolanty? Bars.

Czy może opisać przebieg hulanki w jednym z warszawskich hoteli, podczas której poniosła śmierć pewna dziewczyna? Nie pamięta, był wtedy za bardzo pijany.

Wiem, że Chmura nie lubi podobnych delikwentów. Woli nawet gadułów, chociaż są dość męczący, od takich małowównych facetów. Gotów ich zawsze podejrzewać o najgorsze. Na marginesie tego protokołu brak jakiegokolwiek adnotacji Chmury: widomy znak jego rozczarowania i złego humoru.

Liliana Runicz jest bardziej skłonna do wynurzeń. Przyznaje bez oporu, iż jest od pewnego czasu kochanką Gustawa Nieczułły, nie tai jednak faktu, że ma tego związku już dość. Po uszy. Przepuszcza, że zmieni sobie partnera w najbliższym czasie, ale nie po to, by wyjść za mąż. Ma ochotę jeszcze zabawić się.

Poza tym wydaje się, że to porządna dziewczyna. Porządna, to znaczy znająca granice zabawy w życie. Nie znosi szachrajstwa. Oto,

co zeznaje w sprawie biżuterii: «Kiedyś Gustaw przyniósł do mnie komplet bardzo pięknej biżuterii. Starej, stylowej. Powiedział, że Jolanta życzyłaby sobie, żebym zrobiła dla niej dokładną kopię tego kompletu. Wyroby te są bardzo delikatne, nosząc je bałaby się, że je uszkodzi lub zgubi, bo bywa, roztargniona. Będzie więc nosić duplikaty, a oryginały ma zamiar trzymać gdzieś w depozycie, w pewnym schowku. Dodatkowym argumentem było i to, że Andrzejek ma różnych dziwnych kolegów i mogłaby któremuś z nich przyjść chętka na takie ładne świecidełka. Względy te były dla mnie jasne i przekonywujące. Zrobiłam kopie. Tak wierne, jak tylko potrafiłam. Wypadły świetnie. Muszę powiedzieć, że sama kilkakrotnie omyliłam się, kiedy porównywałam leżące obok siebie identyczne okazy. O tym, jak wyglądała prawda, dowiedziałam się dopiero podczas przyjęcia u Barsów. Kiedy już Jolanta wykrzyczała swoje oskarżenie pod moim adresem, chciałam stamtąd uciec jak najprędzej. Tak mi było wstyd wobec wszystkich. W przedpokoju dopadł mnie Gustaw. Pamiętam, że był tam też przez chwilę Michał Prot, szukający szala Marioli. Przy Michale Gustaw plótł jakieś nic nie znaczące głupstwa o tym, że nie wypada i tak dalej, ale kiedy Michał już wyszedł, wyjaśnił mi, w czym rzecz. Że nie mam się kogo wstydzić, bo nie takie sprawy bywają w jego towarzystwie na porządku dziennym. Wyznał mi, gdy zażądałam wyjaśnień, że to wcale nie Jolanta zamawiała u mnie te kopie, tylko on sam je zamówił, zabrawszy biżuterię z mieszkania Jolanty, kiedy nie było jej w domu. Jolancie podłożył kopie, a oryginały przysłużyły mu się w bardzo ważnej sprawie. Jolanta zorientowała się po jakimś czasie, że została oszukana.

Z początku myślała, że to Prot ją naciął. Potem, kiedy jej syn ofiarował jakiejś przygodnie poznanej dziewczynie cenny pierścionek, była skłonna podejrzewać chłopaka o całą tę kombinację. Zastanawiała się tylko, w jaki sposób spreparował te kopie, kto mu w tym pomógł. A ten pierścionek – wyjaśniał mi dalej Gustaw – on sam wręczył Andrzejowi, który go przyłapał przypadkiem z biżuterią w rękę. Po pierwsze jako łapówkę za milczenie, po drugie, żeby na chłopca o nie najlepszej opinii przerzucić podejrzenia Jolanty, co mu się też udało. I w ogóle mam być cicho, oświadczył mi beczelnie. Do niczego się nie przyznawać. Bo teraz z kolei Jolanta podejrzewa Bożenę Norską. „Dlaczego Bożenę?” – zapytałam zdumiona. „Bo teraz tę biżuterię ma Bożena i dziś Jolanta dowiedziała się o tym od gosposi Barsów, tej plotkary Kaśki. Sam byłem świadkiem, jak Jolanta podeszła do Bożeny jeszcze przed tańcami i powiedziała jej o tym”. Wciąż jeszcze nie mogłam zrozumieć celu tej przedziwnej wędrownki klejnotów. Gustaw palnął wtedy zniecierpliwiony: „Zrobiłem to dla nas, dla naszego dobra, zrozum. Bożena była chora na tę biżuterię, bo ją kiedyś zobaczyła u Jolanty. Niby nazywa się, że ja jej tę biżuterię sprzedałem, ale faktycznie dałem. Bo kupiła ją ode mnie za psi grosz, za jedną trzecią prawdziwej oceny. Ale za to zobowiązała się, że wywabi Barsa z kraju, za granicę, na stałe. Jak Bars wyjedzie, to ja obejmę zespół. Ten nasz «Wir» czy jakiś inny, który na jego miejsce powstanie. Jako kierownik zespołu, masz pojęcie, ile będę zarabiał? Będziesz miała taką samą Dzieźmołę, jak ta, a nie klitkę z pracownią na Starówce. Widzisz. To posunięcie stokrotnie nam się opłaci...” No nie. Tego już było dla mnie za wiele. Trzasnęłam

go w policzek. I byłabym uciekła z tej Dzieźmoli, ile sił w nogach, gdyby nie ten straszny krzyk Jolanty, który wtedy usłyszałam. Wpadliśmy do salonu i tam zobaczyliśmy ją leżącą na podłodze koło otwartego na taras okna, a nad nią rozwścieczonego Bodziaczka z podniesioną do góry ręką«.

Pod protokołem Chmura dopisał:

»Jedno mi się tu nie bardzo zgadza. Ustawmy fakty po kolei. Jolanta, która podejrzewała o fałszerstwo klejnotów najpierw Prota, a potem Andrzeja, dowiaduje się od Katarzyny, że jej prawdziwa biżuteria znajduje się w ręku Bożeny Norskiej. Mówi o tym Bożenie, ale nie wiemy, co ta jej odpowiedziała, bo Bożena nie przyzna się w ogóle do tej rozmowy, a Nieczułło powie mi: „Nie pamiętam”. Wobec tego: czemu Jolanta w czasie swojej oskarżycielskiej mowy wskazuje palcem na Lilianę Runicz i woła, że to ona sfalszowała jej klejnoty? Wnioski mogą być dwa. Albo Bożena Norska jej o tym powiedziała, żeby skierować wściekłość Jolanty na Lilianę, albo Jolanta domyśliła się całej intrygi. Wydedukowała sobie, że tak musiało być, jak właśnie było naprawdę. Z tego drugiego wniosku płynąłby trzeci: Jolanta wcale nie była taką ślamazarą, za jaką ją powszechnie uważano. Albo jeszcze: oni wszyscy dobrze wiedzieli, że ona nie jest głupia, odwrotnie, że jest może nawet od nich mądrzejsza. I bali się jej oczu, jej krytyki, jej talentu. I dlatego ją tak niszczyli, ogłaszając publicznie idiotką...«

W tym miejscu zszywki zupełnie niespodziewanie znajdują papierek, który chyba zawieruszył się przypadkowo. Powinien leżeć w sąsiedztwie oficjalnych, urzędowych ekspertyz, co najmniej w pierwszej połowie teczki. Jest to jedna z ekspertyz Zakładu



Kryminologii. Wymienione są w niej różnorodne środki, za pomocą których badano odciski palców na parapecie okna pracowni Sławomira Barsa oraz na eksykatorze, czyli owym naczyniu, w którym Bars uśmiercał swoje nocne branki, ómy. Z treści ekspertyzy wynika, że na eksykatorze widnieją odciski palców wyłącznie Sławomira Barsa. Natomiast sam parapet i przylegająca do niego dolna część okiennej framugi:

„...noszą liczne odciski palców, a nawet częściowo dłoni co najmniej kilku osób. Udało się je zidentyfikować jako ślady dotyku: Bożeny Bars-Norskiej, Marioli Protowej, Jolanty Kordes, Tadeusza Firki i Romualda Dudki”.

Jolanta nie żyje. Bożena i Mariola jakoś się wykręca. Ale co robili Firko i Dudko przy oknie pracowni Sławomira Barsa? Chyba Chmura nie omieszka ich o to zapytać.

Romuald Dudko, recenzent filmowy, przypadkowo również recenzent zespołu „Wir” (na przychodne), a także przypadkowo pozostający w zażyłych, prywatnych stosunkach z osobami z kręgu „Wiru”, nie wyłączając samego Sławomira Barsa, autor ekstatycznego reportażu z Dzieźmoli i coś w rodzaju herolda niszczycielskiej kampanii, skierowanej przeciwko Jolancie Kordes, ma lat trzydzieści osiem i żonaty nie jest. Jak uchował się w kawalerskim stanie jeszcze w tym wieku, to jego tajemnica.

Sebastian Chmura podkreśla, że Romuald Dudko prawdopodobnie jedyny z całego towarzystwa był obecny w salonie podczas finałowej sceny poskramiania Jolanty Kordes przez Pawła Bodziaczka. Czy mógłby w związku z tym powiedzieć coś bliższego na temat: jaki przebieg miała ta scena? Co takiego powiedziała, czy też zaczęła

mówić Jolanta Kordes o sprawach Pawła Bodziaczka, iż ten, niepomny zasad dobrego obyczaju, uderzył ją w twarz? Mężczyzna – kobietę, W porządnym towarzystwie. Jak to się stało?

Romułd Dudko, po swojemu bezceremonialny i nonszalancki w sposobie wyrażania się, nie będzie jednak mógł, ku swojemu ubolewaniu, udzielić Chmurze pożądanых przezeń informacji:

»Pech, kochany kapitanie. Prawdziwy pech. Ja trochę tego... hm... niedomagam na nerki. Za dużo wypiję – szkodzi. Za bardzo przejmę się czymś – tak samo. A u Barsów piliśmy jak smoki. W dodatku mieszane trunki. Przez cały czas, jak Jolanta wylewała żółć, jeszcze wytrzymałem. Ale w pewnej chwili musiałem. No, musiałem wymknąć się do dwóch zerek i to szybko. Traf chciał, że stało się to akurat wtedy, kiedy Jolanta przypuściła szturm na Pawcia, jak go między sobą nazywamy. Że tak było, mogę udowodnić. Wyszedłem przez drzwi, prowadzące do przedpokoju, bo tamtędy jest przejście do korytarzyka, z którego wchodzi się albo do kuchni, albo do ubikacji. Za mną wszedł do przedpokoju Prot i grzebał wśród płaszczy, nie wiem, czego szukał, czy co tam chował. Po nim wpadła jak bomba Liliana, a za nią Gucio. Oni mnie nie widzieli, ale ja ich słyszałem. Mogę słowo w słowo powtórzyć, o czym gaworzyli. Pan kapitan zaraz mi powie, że tym gorzej dla mnie, bo z przedpokoju można przedostać się na taras i ja pewnie szybciotko obleciałem tym tarasem dworzyszczę księcia Barsa dookoła, żeby kota z zatrutymi pazurami cisnąć Jolci na jej kudłaty, niedomyty łeb. Ale to nieprawda. Niepotrzebne mi były takie sztuczki, żeby unieszkodliwić tę jędzę. Nie musiałem jej ani bić jak Pawcio, ani truć jak... nie wiem

już kto. Mógłbym ją jeszcze raz czy dwa opaskudzić na tak zwanych łamach prasowych i koniec. Kropka. *Finis Jolantae*. No i tak się właśnie złożyło, kochany kapitanie, że nie wiem nic o ostatnim słowie naszej nieodżałowanej mistrzyni pióra... I w ogóle pojęcia nie mam, co takiego wymyśliła czy też wywachała Jolanta na temat sprawek Pawcia. Mówiła, ale to jeszcze przedtem, o tym, że koledzy odpalają mu coś tam z honorariów, jeżeli uda mu się przepchnąć w „Wirze” ich utwory. To przecież nie jest taka znów wielka granda. Musiała wiedzieć coś jeszcze. Ale co...? Sam bardzo bym chciał wiedzieć...«

Czerwona kreska, stanowiąca ramkę tego fragmentu protokołu, jest przerywana. Oznacza to, że Chmura zapamiętał sobie wprawdzie tę część zeznania i wziął ją pod uwagę, ale nie widzi w tych enuncjacjach nic takiego, co podbudowałoby końcowy wniosek śledztwa. Z kolei Chmura zapytuje, czy istotnie Nieczułło i Bodziaczek podgryzali Barsa, trzymali ze sobą sztamę i w ogóle, co myśli Dudko jako osoba w pewnym sensie postronna o stosunkach w „Wirze”. Akapit protokołu, zawierający odpowiedź Dudki na to pytanie, obwiedziony jest podwójną czerwoną Unią. Należy się domyślać, iż Chmura poczuł się jak rybak, który złowił na wędkę nie płotkę, lecz co najmniej szczupaka, i to dużego. Dudko mówi:

»Wiem, że Bodziaczek i Nieczułło coś tam spiskują przeciwko Barsowi. Podobno mają przedłożyć memoriał odpowiednim czynnikom, w którym nie tylko zarzucają Barsowi zaprowadzenie w zespole feudalnych stosunków i wielkopański tryb życia, zamrażanie młodych talentów i ześlizgiwanie się na artystowskie, rewizjonistyczne pozycje – ale też wysuwają swoje propozycje uzdrowienia

stosunków w polskiej kinematografii, a w zespole „Wir” w szczególności. To jest jednak alians doraźny. W momencie detronizacji Barsa ta spółka rozsypie się. Nieczułło wprawdzie nie orzeł, ale taki głupi to on nie jest, żeby na kierownika literackiego brać sobie face-ta, przewyższającego jego miernotę o dużo, dużo pięt. On wie, że Bodziaczek to bardzo niebezpieczny, groźny typ. Bodziaczek poluje tylko z zasadki. Zawsze niewidoczny, nikt mu nie udowodni, że to on wystrzelił. Nie, nie, nie. Nieczułło nigdy nie pójdzie na stałą współpracę, na zależność od Bodziaczka. Skąd to wiem? A stąd chociażby, że Nieczułło już proponował komuś stanowisko kierownika literackiego w swoim przyszłym zespole. Komu? Mnie. Bo wie, że ja mu w niczym nie zagrażam. Ja jeszcze nie jestem z jądra kniei, z samego matecznika tej branży. Ja dopiero grasuję na skraju puszczy. Grałbym drugie skrzypce. Tyle tylko bym miał, ile mi Nieczułło raczyłby udzielić. Jeszcze nie wiem, czy się na to zgodzę. Muszę to sobie przemyśleć. Czy Bars wie o tych krecich poczynaniach swoich drogich współpracowników? Myślę, że tak. To szczwany lis. Ma swoje chody, swoje stosunki, gdzie trzeba. Nie podda się bez walki. Wie pan kapitan, co mi przyszło do głowy? Że Bars wymyślił sobie to dzieźmolskie przyjęcie jako jedno z posunięć w tej walce. To on przecież ściągnął na nie Jolantę, rozgoryczoną, rozwścieczoną, ze wszystkimi zadrażnioną Jolantę. Wiedział, że wiele nie trzeba, aby nam skoczyła do oczu. To on ją na nas napuścił. Może nawet sam jej to i owo podpowiedział. Jej słowami rozliczył się z nami wszystkimi. Po co? Żeby nam unaocznić, jacy jesteśmy, żebyśmy zrozumieli, że nic z naszych grzeszków nie pozostanie w ukryciu, że ma nas w garści. I jeszcze po to, żebyśmy się pogryźli wszyscy między sobą.

I jeszcze po to, żeby mieć argument na wypadek frontalnego ataku na „Wir” z zewnątrz czy też od góry: „proszę, oto kto mnie oczernia!”...Mógłby mówić: „Czy można wierzyć takim ludziom? Komu chcecie powierzyć schedę po Barsie?”«.

Myślę, że protokół wiernie oddaje pasję i pewnego rodzaju uniesienie, z jakim Dudko wygłosił Chmurze swoją filipikę. Ciekawa rzecz: jak zmienił styl, jak innego używa języka, gdy jest czymś rzeczywiście do głębi poruszony. Oto przestał zgrywać się, zdjął maskę cynika i drobnego cwaniaczka, objawił się jako wnikliwy obserwator ludzkich charakterów, konfliktów i poczynań. Może ta maska jest jego tarczą obronną na co dzień? Może, gdyby jej nie nakładał, postąpiono by z nim tak, jak z Jolantą? Jak długo będzie tę maskę nosił? Czy nie ulegnie z czasem deformacji ta jego prawdziwa twarz, czy maska nie zrośnie się z jego rysami na stałe?

Czeka mnie wszakże jeszcze jedna niespodzianka. Za chwilę poznam jeszcze jedno wcielenie Romualda Dudki. Stanie się to, gdy indagowany przez Chmurę w arcydrażliwej, drastycznej sprawie dziewczyny, która wypadła z okna podczas kawalerskiej hulanki (o czym wspominała Jolanta) – opowie, jak to się stało:

»Nieczułło skończył wtedy właśnie kręcić swój film „Pomruki burzy”. Firko tradycyjnie upomniał się o wódkę. Stary pijus, żadnej okazji nie przepuści. Barsów nie było w kraju, Prot nie miał głowy do niczego, bo zmieniał żonę. Żeby nie być z Firką sam na sam zaprosił jeszcze mnie z moją dziewczyną, dwóch młodych aktorów i trzy kociaki, jakieś początkujące piosenkarki czy aktoreczki. Szaleliśmy cały wieczór po mieście, zmienialiśmy lokale. Nie jest ich znów w Warszawie tak dużo. W jednych było nudno, w drugich brudno,

trzecie zamykano, bo pora była późna. Któraś z tych dziewczyn zaprosiła nas do siebie; nie miała jeszcze mieszkania w Warszawie i koczowała w jednym z hoteli, dzięki protekcji portiera. Kupiliśmy w nocnych Delikatesach różne trunki i zakąski, no i dopiero zabawa zaczęła się na dobre. Mam mocną głowę, ale upiłem się wtedy, jak rzadko mi się zdarza. Gdyby tak nie było, nie dopuściłbym do tego, co się stało. W pewnej chwili straciłem przytomność, wydawało mi się, że tonę, że poruszam się po omacku, jak we śnie, dźwięki i obrazy dobiegały do mnie wyciszone i oddalone, wszystko zasnuwała mgła. Wyrwał mnie z tego stanu odrętwienia czyjś krzyk. Ktoś rozpaczliwie wołał mnie po imieniu i wzywał mojej pomocy. Ocknąłem się i zobaczyłem na tle otwartego okna moją dziewczynę, na wpół nagą, w podartej sukience. Broniła się przed Firką, który wyglądał przerażająco, bo on w ogóle do piękniśków nie należy, a jak się spije, można się go przestraszyć. Pomagali mu ci dwaj młodzi aktorzy, których nazwisk wolałbym nie wymieniać, też kompletnie pijani. Dwie dziewczyny chyba uciekły, bo już ich nie było w pokoju, a Nieczułło spał w objęciach gospodyni naszego lokum. Z tranzystorowego radia dobiegały dźwięki piosenki „Volare”. Wszystko to pamiętam dziś tak jasno i ostro, że aż dreszcz mnie przejmuje. Moja dziewczyna, Kama, lubiła tę melodię, kiedy trochę wypija, zaczynała wygłupiać się i kaprysiła, że chce fruwać jak ptak. Pewnie i tym razem tak było, a oni pchali ją w stronę otwartego okna i rechotali wstrętnie, rzeli jak konie i bełkotali: „Polataj, polataj, no, pokaż, że umiesz fruwać...” Nie wiem, co się ze mną wtedy działo, bo chociaż widziałem to wszystko, obraz docierał do mnie i dźwięk, jak gdybym

był najtrzeźwiejszym człowiekiem na świecie, ruszyć się z miejsca nie mogłem. W całym ciele czułem ciężar nie do udźwignięcia. Jakiś rodzaj paraliżu czy co, nie mam pojęcia. I pchnęli ją. Spadała, krzycząc strasznie. A ja, jak gdybym spadał razem z nią na ulicę z czwartego piętra, znów zapadłem się w jakąś straszną przepaść...

Nie będę się już więcej wdawał w szczegóły, panie kapitanie, niech mi pan tego oszczędzi. Ale przecież... pan musiał słyszeć o tej sprawie, bo była swego czasu dość głośna. Zakończenie jej wyglądało tak: stwierdzono, że to był nieszczęśliwy wypadek. Wszyscy trzej panowie zgodnie zeznali, iż Kama była bardzo zalana, podeszła do okna, przechyliła się przez parapet i straciła równowagę. Moim zeznaniom nikt nie dał wiary, bo tak długo musiano mnie cucić, że nieprawdopodobnym wydawało się, abym w tym stanie mógł cokolwiek widzieć albo słyszeć. Bars puścił oczywiście w ruch swoje chody, nie byłoby w jego ówczesnym stylu dopuścić do skandalu, w który zamieszany byłby ktoś z JEGO zespołu. Jeden z tych młodych ludzi miał ustosunkowanego ojca, drugi zaś miał talent. Mówiło się, iż nie należy łamać im życia i kariery. Sprawę zatuszowano. Nikt nie odpowiadał za śmierć mojej Kamy. Ale ja do dziś dnia nie mogę się otrząsnąć. Kama była dla mnie najbliższym człowiekiem na świecie. To była naprawdę czarująca, piękna dziewczyna. Firkę... jeszcze dziś chętnie udusiłbym własnymi rękoma. Dlaczego więc nadal obracam się w tym towarzystwie, dlaczego nie zerwałem z ludźmi, do których nie czuję nic oprócz nienawiści i pogardy? Widzi pan, w moim zawodzie posiadam specjalność. Znam się na kinematografii, na sztuce filmowej. Tu moje słowo, moja ocena, moja recenzja coś znaczą.

W innym dziale pracy dziennikarskiej byłbym niczym. Jeśli więc pragnę zachować moją pozycję w zawodzie, nie mogę sobie pozwolić na wojnę z grupą Barsa. Trafiałbym na „czarną listę”, bo i taka, niepisana wprawdzie, istnieje. Nikt – nie tylko od Barsa, ale i od Trokiewicza, i od innych – nie przysłałby mi zaproszenia na premierę, nie udzielił wywiadu, nie wpuścił na plan, jak to się mówi. Wyrzucono by mnie za drzwi naszej filmowej świątyni, jak wyrzuca się z lokalu gościa, który narozrabiał i zachował się nieprzyzwoicie. A tak – mam spokój. Są dla mnie łaskawi, bo mają jakieś tam resztki wstydu i świadomość, że coś tam jednak kiedyś zrobili. Jestem oportunistą – zgoda. Ale kto nie byłby nim na moim miejscu? Patrzę na różnych ludzi, „wykończonych” przez swoje środowiska, i normalny, ludzki instynkt samozachowawczy każe mi unikać ich losu. Ale... panie kapitanie, niech mi pan nie każe... Niech mi pan nie każe opisywać sceny, kiedy Bodziaczek bije po twarzy Jolantę na tle otwartego okna, za którym widać nocne niebo. Bo nawet gdyby nie było prawdą, że musiałem wtedy wyjść z salonu, i tak bym tego panu nie umiał opisać. Bo moje oczy patrzyłyby na Jolantę, ale widziałyby Kamę. Patrzyłyby na Bodziaczka, lecz widziałyby Firkę. A w tamtej sprawie pan, niestety, nie prowadził śledztwa«.

Z całego tego dość obszernego akapitu Chmura podkreślił czerwonym ołówkiem tylko jedno zdanie: „Firkę jeszcze dziś chętnie udusiłbym własnymi rękoma”. Pozostawił jednak całość bez komentarza. Uznał też widocznie temat Kamy za wyczerpany, gdyż nie wraca już do niego w przesłuchaniu Tadeusza Firki, kierownika administracyjnego zespołu „Wir”, wdowca, liczącego lat 58. Z Firką



Chmura omawia niemal wyłącznie sprawy finansowe „Wiru”, gdyż jest to niewątpliwie człowiek w tym zakresie całkowicie kompetentny.

Firko mówi dużo i rozwlekle, sypiąc fachowymi terminami i cyframi. Nie wiem, czy Chmura słuchał tego uważnie – ja prześlizguję się wzrokiem po tych wyjaśnieniach dość pobieżnie i utrwalam sobie w pamięci tylko dwa sformułowania, które wydają mi się dość istotne dla dochodzenia:

„Czy można stwierdzić, że «Wir» znalazł się na krawędzi bankructwa? Może zbyt ostra konkluzja, ale graniczy ze stanem faktycznym. W każdym razie bank zamknął nam konto i odmawia dalszych wypłat...”

„Dlaczego pan kapitan pyta mnie o zalecenia pokontrolne NIK-u? Przecież pan kapitan już się z nimi zapoznał. Skąd wiem? Ktoś mi o tym mówił, ale nie pamiętam, kto. Zanim zespół «Wir» zostanie rozwiązany, należy ustalić stopień osobistej odpowiedzialności finansowej poszczególnych osób, kierujących zespołem i należących do zespołu... Tak to brzmi dosłownie. Bardzo nieprzyjemna sprawa. Ale, na szczęście, nie dla mnie. Ja mam na wszystko pokrycie, podkładki, rachunki i tak dalej, z podpisami Barsa i Bodziaczka. A zwłaszcza Barsa. Co on kazał wypłacać, to ja wypłacałem. Mnie nic nie grozi. Niech on się tłumaczy”.

Nie wiem, czy tak to rzeczywiście będzie, jak wyobraża sobie Firko i czy uda mu się wymigać od odpowiedzialności. Wątpię, chociaż, jak widać, wódka nie zabiła w nim jeszcze umiejętności korzystania z wszelkiego rodzaju kruczków prawnych, wśród których tak dogodnie ukryć można prawdziwy stan rzeczy.

Zdaje się, że Chmurę mierzi ta postać, gdyż nie pyta go, o dziwo,

ani o Mariolę, której rzekomo jest ojcem, ani o niechęć do Bożeny i Prota, ani o wiele innych spraw, o które, moim zdaniem, powinien być pytać. Może Chmura skreślił je z rejestru? Może są dla niego aż nazbyt jasne i oczywiste? Jedną natomiast sprawę Chmura walczy uparcie, bo nie pierwsze to przesłuchanie, w którym zapytuje: jaką rolę odgrywa w zespole Bodziaczek i jakie są jego stosunki z Barssem?

Firko okaże się niewątpliwie jednym z pierwszych dezerterów z pobitej armii Barsa, gdyż nie kryje tego, co wie i co myśli o obu panach:

»Jeżeli Bars w ogóle kiedykolwiek i kogokolwiek się obawiał, to tylko Bodziaczka. Za wszelką cenę chciał się go pozbyć z zespołu i to już od dawna, ale mu się to nie udawało. Bodziaczek niby płaszczyl się, niby udawał prześladowanego w zespole czy zagrożonego, lecz swoje robił, nie mówił „pas”. Ostatnio usiłował mnie podejść. Może liczył na to, że go poprę, może chciał się czegoś więcej ode mnie dowiedzieć. Zwierzył mi się z zamiaru wystąpienia z zespołu i napisania wielkiego, demaskatorskiego artykułu o stosunkach w filmie w ogóle, a w „Wirze” w szczególności. Ja podejrzewam, że on tym artykułem chce ubiec memoriał, który podobno pisze dla władz razem z Nieczułą. Nieczuło zna więcej faktów, bez niego taki memoriał rnie mógłby powstać. Ale pod artykułem byłby już podpisany tylko Bodziaczek, bez Nieczuły. Memoriał zaś – to sprawa wewnętrzna, nie publiczna. I tak Pawcio przeskoczyłby Nieczułą. Wyszedłby na pierwszą linię jako zbawca polskiego filmu, no i ten, prawy, niepokalany obrońca moralności. Rycerz bez skazy i zmayı. To by mu się podobało: odegrać taką rolę. Odkułyby się na różnych ludziach za swoje złe czasy. O to, tylko o to mu przecież

chodzi. Miejsca Barsa i tak zająć nie może, nie jest reżyserem, filmowcem, tylko literatem. W każdym razie jego próba ze mną spaliła na panewce. Jemu odradziłem drukowanie podobnej enuncjacji, a Barsa ostrzegłem, że Bodziaczek ma takie zamiary. Nakazywała mi to lojalność wobec kierownika zespołu i mojego wieloletniego przyjaciela. Chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie pochwalałem rozrzutności Barsa i złożyłem w tym duchu utrzymane oświadczenie na ręce inspektora z NIK-u. Nieczułą też uprzedziłem, co knuje Bodziaczek. Przez cały wieczór patrzył na Pawła jak na wroga. Ale ja muszę rozbijać te ich wszystkie porozumienia. Tak długo mnie nie zjedzą, dopóki się zrą między sobą...«

I tak okazuje się, że można ustrzelić nie dwa, lecz trzy i cztery zające za jednym wystrzałem. Firko jest dobry dla Pawła, dobry dla Barsa, dla Nieczuły – i dobry dla Najwyższej Izby Kontroli, mimo iż cele działania tej czwórki są sobie absolutnie przeciwstawne. Nie doceniałam dotychczas Firki. To jednak wielki gracz.

Protokół z przesłuchania Sławomira Barsa Chmura umieścił na końcu zszywkę. Nie wiem, przypadkowo czy celowo. Chyba, to ostatnie. Po to, aby wystawić moją cierpliwość na próbę. Żebym dopiero teraz, na końcu, dowiedziała się, dlaczego Paweł Bodziaczek musiał przerwać za wszelką cenę potok wymowy Jolanty Kordes.

Całe mnóstwo wynurzeń Sławomira Barsa Chmura puszcza mimo uszu. Jego czerwony ołówek unosi się szybkim lotem nad długimi wywodami mistrza o nielojalności Prota, o błędzie młodych lat Bożeny, o podwójnej grze, jaką niektórzy członkowie zespołu prowadzą... Ołówek nie ląduje nigdzie, nie pozostawia nawet kropki. Tak z wysokości lotnik beznamiętnie ogląda szachownice pól, lasów i łąk, drogi i rzeki podobne do niteczek, ledwie spojrzy na malutkie punkciki, które przecież są ludźmi, noszącymi w sobie wielkie i małe

sprawy. To jeszcze nie jest cel jego lotu. Dopiero gdy zamajaczy w dole lotnisko, pilot zniża swój samolot i oto za chwilę koła wysuniętego podwozia kreślą długi ślad na powierzchni trasy lądowania.

Chmura chciwie dopada akapitu, który sam sprowokował swoim pytaniem: o czym rozmawiał Sławomir Bars przez całą długą godzinę przed przyjęciem z Jolantą Kordes? Tu jego ołówek ląduje i nie rozstaje się z zeznaniem Sławomira Barsa aż do ostatniego jego słowa, jadąc po marginesie z góry w dół grubą, wyzywająco czerwoną krechą.

Sławomir Bars odpowiada:

»Żona miała do mnie w ogóle żal, że zaprosiłem Jolantę na nasze przyjęcie. Niestety, nie dało się tego uniknąć. Jolanta zadzwoniła do mnie któregoś dnia i po prostu mnie zaszantażowała. Powiedziała, że wie o naszym planowanym przyjęciu i że chce być na nim obecna. A jeżeli jej nie zaprosimy, i tak przyjdzie. Musi ze mną porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie. Chce także widzieć się z kilkoma osobami, które na pewno u nas będą; byłoby jej dogodnie spotkać się z nimi niby przypadkiem. Proponowałem, żebyśmy się umówili gdzieś na mieście, jeżeli nie chce przyjść do zespołu. Odmówiła. Tłumaczyła się, że kończy powieść dla wydawnictwa i musi ją oddać w nieprzekraczalnym terminie. Do piątego września będzie ogromnie zajęta, ale właśnie już piątego jest wolna i byłby to piękny dzień na omówienie sprawy, która również mnie dotyczy. Powiedziała nawet, że bardziej mnie niż osobiście jej samej. Wymieniła przy tym nazwisko Bodziaczka, to zaważyło na mojej decyzji. Zgodziłem się, żeby przyjechała do Dziezmoli. Ostatecznie, pomyślałem sobie, możemy to wielkie przyjęcie przełożyć na inny termin, nic się nie stanie. Powiedziałem o tym Bożenie. Nie spodziewałem się, że zrobi mi kawał i zaprosi Protów. Można było łatwo przewidzieć, iż ze

spotkania Jolanty z Protami nic dobrego nie wyniknie. Jolanta przyjechała o godzinę wcześniej, bo tak się z nią umówiłem. Poszliśmy do mojej pracowni, żeby nam nikt nie przeszkadzał w rozmowie. Bez mojego zezwolenia nikt nie ma prawa tam wchodzić. Jolanta bardzo narzekała na brak pieniędzy. Napisała jakąś powieść, miał to być jej debiut, bo dotychczas pisywała tylko te swoje artykułiki i opowiadanka. Nie była jednak pewna, czy wydawnictwo przyjmie to dzieło, gdyż, jak to określiła, za dużo w nim czarnych barw i kontrowersji.. Zaniebdała przy tym swoje inne prace i oto znalazła się niemal na skraju nędzy. Wróciła jeszcze raz do sprawy tego nieszczęsnego filmu „Ich dwoje i nic”. Żądała, abym podzielił się z nią pieniędzmi, jakie zarobiłem przy kręceniu tego filmu jako scenarzysty. Powiedziała: „Musisz wyrównać mi moją krzywdę”. Pokazywała mi różne dokumenty, jakieś orzeczenie ZAIKS-u, jakąś opinię zaprzyjaźnionego z nią członka Sądu Koleżeńskiego Związku Literatów. Oświadczyła, że poda mnie do sądu i zrobi wszystko, żeby ta precedensowa sprawa stała się pokazówką. Jednym słowem – groziła skandalem. Wprawdzie ja z łatwością odparowałbym jej ciosy. Za mocną mam pozycję, zbyt doświadczonym jestem fachowcem, żeby się miał obawiać jakiejś Jolanty Kordes. Wygrałbym tę sprawę. Na pewno. Ale Jolanta, moim zdaniem, była psychopatką. Cóż ja będę tłumaczyć wariatce, że chce porwać się Jak Don Kichot z lancą na wiatraki? Zresztą... przyznam się panu, panie kapitanie, że znajduję się obecnie w sytuacji dość szczególnej. My, twórcy, nie mamy w naszym kraju swobody. Jesteśmy skrępowani tysiącem przepisów i ograniczeń. A jeżeli się chce tworzyć dzieła rzeczywiście wielkie – to musi kosztować. Genialny rzeźbiarz zepsuje niejedną bryłę marmuru, zanim wykuje posąg, którego sława przetrwa wieki. A u nas liczą każdy kawałek taśmy, rzekomo „niepotrzebnie” zużytej, każdy

rekwizyt. I robią to ludzie bez pojęcia. Na przykład kręciłem kiedyś batalistyczny film historyczny. Potrzebne mi były stare szable. Wiele szabel, bo chciałem pokazać zmasowany atak konnicy. Na to mi jeden z takich mędrków kontrolerów powiada: „A nie wystarczą panu trzy, cztery? Mogliby sobie ci jeźdźcy podawać je z ręki do ręki...” No i masz. Kręć tu historyczne panoramy. Ale przepraszam pana, kapitanie. Zboczyłem z tematu, chociaż nie tak bardzo, jakby się zdawało. Chodzi o to, że mam teraz w zespole właśnie kontrolę, przeprowadzaną przez takich mądrali, którzy w dodatku bardzo mnie nie lubią, tak jak nie lubi szary urzędnik artysty i jego sławy. Gra tu rolę jeszcze także zazdrość o zarobki, wyższe w filmie niż w innych zawodach. Jak to się mówi, „mają na nas ząb”. Ale niechby spróbowali, jak taka praca wygląda, taka katorga przy kręceniu filmu. Niechby spróbowali w ogóle nakręcić jakikolwiek film... Jeszcze raz przepraszam, wracam do bezpośredniego tematu. Otóż byłoby mi raczej nie na rękę, gdyby Jolanta wystąpiła publicznie ze swymi pretensjami do mnie akurat w chwili, kiedy ci kontrolerzy z NIK-u dosłownie przetrząsają kosze na śmieci i liczą arkusze zużywanego przez nas papieru. Mieliby dodatkowy argument przeciwko naszemu zespołowi, którego zasłużona dobra sława jest mi niezwykle droga. Postanowiłem w związku z tym spacyfikować naszą wielce rozsierdzoną grafomankę. Wypomniałem jej przede wszystkim, że kupiłem od niej swego czasu to błahe opowiadanie tylko na usilną prośbę Bożeny i w momencie, kiedy Jolanta miała jakieś, finansowe kłopoty. Zrobiłem to z łaski. Dzięki mnie awansowała o szczebel wyżej w swojej pisarskiej karierze. Czyż mogła spodziewać się czegoś więcej niż tego, iż w zapowiedzi filmu ukaże się jej nazwisko jako autorki

opowiadki, według której – czy na motywach której – powstał scenariusz filmu i sam film? Czy naprawdę sądziła, że ja, Bars, będę kręcić film według scenariusza jakiejś nikomu nie znanej dziennikarreczki? Że mnie w ogóle wypada kręcić film według czyjegokolwiek scenariusza, nie mojego własnego? Milczała, wysłuchując tych argumentów z miną dość kwaśną. Wtedy ją spauzowałem, bo dobijając jej nie zamierzałem ani przeciągać struny. Oświadczyłem, że mimo wszystko pragnę wnikać w jej sytuację i gotów jestem wydobyć ją z tarapatów, nie dlatego, abym się czuł w jakiegokolwiek mierze nie w porządku wobec niej, ale ze względu na mój życzliwy do niej stosunek. Powiedziałem, że, oczywiście, nie ma mowy o żadnym „dziesięciu się” z mojej strony jakimkolwiek honorarium, bo to śmieszne. Wysuwam jednak następującą propozycję: zakupię od niej jako filmową nowelę jakiegokolwiek opowiadanie, ot, chociażby tę powieść, o której wspomniała. Nie wiem, czy pan kapitan orientuje się, co to znaczy zakup noweli filmowej. To znaczy, że kupuje się jak gdyby temat, pomysł. Płaci się za takie coś kilka tysięcy złotych i autor nie może już zgłaszać żadnych pretensji ani wtrącać się w to, co z jego tematu zrobi scenarzysta. Czasami autor „noweli” robi również scenariusz, ale tylko w takim wypadku, jeżeli mamy do czynienia z rutynowanym już specem. Robienie scenariuszy przez ludzi spoza filmu, czyli dyletantów w filmowym rzemiośle, rodzi przeważnie niewypał. Za scenariusz otrzymuje się wyższe honorarium. Najczęściej autorami scenariusza bywają do spółki scenarzysta i reżyser filmu. No bo on już wtedy opracowuje pewne koncepcje ujęcia dzieła. Mogłem bez ryzyk? zaproponować Jolancie zakupienie czegokolwiek od niej w charakterze noweli filmowej. To nie zobowiązuje nas do wykorzystania zakupionego dzieła, nie musi powstać

z tego film. Czasami nowela leży w naszym zespole rok, dwa lub dłużej, aż znajdzie się wreszcie ktoś, komu właśnie ten temat „leży”, czyli pasuje. A nieraz zakupione nowele pozostają towarem martwym. Trudno. Niełatwo jest kształtować politykę repertuarową takiego ambitnego, reprezentacyjnego zespołu, jak nasz „Wir”. Jolanta bardzo obruszyła się na moją propozycję. Krzyknęła histerycznie: „Ty mi chcesz dać zapomogę! Ja nie po jałmużnę przychodzę do ciebie, ale po to, co mi się sprawiedliwie należy! Nie, już wiem: nie zapomogę chcesz mi dać! Łapówkę za milczenie. Za to, żebym się uspokoiła. A ja jej nie wezmę, rozumiesz?!”... „Nie, to nie” – odpowiedziałem chłodno. „Pożałujesz” – mruknęła i na tym nasza rozmowa zakończyła się. Przeszliśmy do ogrodu, gdzie już gromadzili się nasi goście«.

Po tym wyznaniu Barsa w protokole widnieje duża dziura: w tym miejscu znajdowały się fragmenty dotyczące Yogiego oraz cyjanku. Widocznie Chmurę uderzyło to, co i mnie, a mianowicie fakt, że zrelacjonowana przez Barsa rozmowa z Jolantą w żadnym wypadku nie mogła im zająć aż godziny. No, powiedzmy, że kłótnia o należną Jolancie „dolę” zajęła pół godziny. Czym wypełnili pozostałe trzydzieści minut? Chyba nie opowiadaniem sobie ploteczek rodzinnych ani pytaniami nawzajem o zdrowie i o spędzony urlop. Stopień wrogości był zbyt wysoki na takie sielankowe czy też zdawkowe pogaduszki. Musiał Chmura o tym myśleć, gdyż powraca do tego zagadnienia podczas następnego, drugiego z kolei przesłuchania Sławomira Barsa.

Zanim jednak Chmura zaatakuje Sławomira Barsa wprost, pragnie wyświetlić dwie niezbyt jasne okoliczności: skąd mogły się wziąć na parapecie okna pracowni Sławomira Barsa odciski palców Romualda Dudki oraz Tadeusza Firki? Ciekawe, dlaczego Chmura nie indaguje o to obu tych panów. Czyżby im nie dowierzał?



Niespodziewanie Bars może służyć Chmurze w tej mierze pomocą. Przypomina sobie, jak to było:

»Kiedy preparałem moją ćmę, Dudko zajrzał przez okno. Przechylając się do wnętrza, oparł obie dłonie o parapet. Nie interesował się moją pracą. To Bożena, nie wiedząc, iż jestem w pracowni, prosiła, żeby mnie odnalazł i przyprowadził z powrotem do gości. Szukał mnie w parku. Z tarasu zobaczył oświetlone i otwarte okno pracowni, więc podszedł do niego i zawołał mnie. A z Firką... Jak było z Firką? Niech sobie przypomnę. Aha, już wiem. Kiedy inni tańczyli, myśmy zaczęli rozmawiać o naszych sprawach, sprawach „Wiru”. Firko kompletuje teraz materiał, służący jako kontrargument wobec pokontrolnych zaleceń NIK-u. Hałas muzyki nam przeszkadzał, więc wyszliśmy na taras i tam rozmawialiśmy trochę stojąc, oparci o balustradę, trochę przechadzając się. W jakiejś chwili wydało mi się, że stuknęło okno mojej pracowni. Sam nie wiem, dlaczego przestraszyłem się. Widocznie przeczułem coś złego. Zrobiliśmy kilka kroków w tamtym kierunku. Zdziwiłem się: okno było otwarte szeroko, a ja, gdy wychodziłem z pracowni, zostawiłem je na wpół przymknięte. Wiatru nie było ani przeciągu. Kto więc je otworzył i dlaczego? „Może tam w środku ktoś jest?” – powiedział do mnie Firko. Podałem mu małą, kieszonkową latarkę, którą zawsze noszę przy sobie. Japońska. Wielkości zapalniczki, prawdziwe чудо. Nieraz latem siadam na ławce w ogrodzie i zapalam ją. Zlatują się do niej ćmy i obserwuję, czy nie ma wśród nich okazów, których nie posiadam. Firko wziął ode mnie latarkę i oświetlił wnętrze pracowni. Nikogo w niej jednak nie było. Firko oddał mi latarkę i przymknął okienną ramę. Wtedy pewnie zostawił na niej ślady swoich palców. Odwróciłem się od okna, bo teraz dla odmiany wydało mi się, iż coś

poruszyło się, czy też westchnęło za moimi plecami. Na tle ciemności, z której światło padające z domu wydobywało tylko kontury pierwszych drzew i krzaków, widniała jaśniejsza nieco, nieduża plama. To kot Yogi siedział na balustradzie tarasu. Sierść miał zjeżoną i sprawiał wrażenie, że się czegoś przeraził. Wyciągnąłem do niego rękę, ale fuknął na mnie ze złością, więc dałem spokój. Pomyślałem, że Bożena zapomniała go zamknąć, a jego zły humor wynika ze zdenerwowania hałasem i nadmiarem obcych ludzi w domu. Nie skojarzyłem sobie wtedy tego otwartego okna i dziwnego zachowania się Yogiego. Bo teraz, kiedy tak myślę o tym, coraz bardziej nabieram przekonania, że jednak Yogi, szukając schronienia w mojej pracowni, niechcący, przez przypadek wdepnął łapami w otwarty eksykator, na którego dnie znajdował się cyjanek potasu. Firko w ogóle jak gdyby nie zwrócił uwagi na kota. Wziął mnie pod rękę i powiedział: „Chodź, wracajmy do salonu, zobaczmy, co tam się dzieje. Nie podoba mi się zachowanie Jolanty. A o tych naszych wyjaśnieniach dla NIK-u porozmawiamy jutro w zespole”. Trafiliśmy właśnie na moment, kiedy Jolanta rozpoczęła ten swój zwariowany taniec...»

Z protokołu wynika, że Chmura nie prostuje zbyt naiwnego domniemania Barsa o samobójczym spacerze kota Yogi po dnie eksykatora. Zadowolona się wyjaśnieniem w interesującej go kwestii śladów palców i dłoni Firki oraz Dudki na okiennym parapecie pracowni i koncentruje się na temacie, w którym jakby widział kłucz do rozwiązania zagadki. Tym razem więc i ja czytam bardzo uważnie i to me tylko odpowiedzi Barsa, lecz również pytania Chmury, sprawnie okrążającego przeciwnika.

Chmura: Chciałbym powrócić do tej części pana poprzednich zeznań, w której opowiadał mi pan o swojej rozmowie z Jolantą Kordes w pańskiej pracowni.

- Bars: Ach tak... Ale musi mi pan kapitan przypomnieć, co ja tam mówiłem, bo to było już kilkanaście dni temu, a ja mam teraz tyle spraw na głowie, że doprawdy trudno mi pamiętać każde słowo, które kiedyś wypowiedziałem.
- Chmura: Rozmawialiście państwo godzinę. Jolanta zgłaszała swoje urojone czy też prawdziwe pretensje, a pan jej zaproponował zadośćuczynienie w formie zakupu jej utworu jako noweli filmowej.
- Bars: Ach, tak, tak. Pamiętam. Tak mówiłem. I tak naprawdę było. Czy pan kapitan ma jakieś wątpliwości? Chodzi może o dodatkowe szczegóły tej rozmowy?
- Chmura: Właśnie. Chodzi mi o bardziej szczegółowe zreferowanie tej wymiany zdań.
- Bars: Kiedy ja nic więcej do tego, co powiedziałem, nie mogę dodać. Ta „wymiana zdań, jak mówi pan kapitan, była dość zwięzła.
- Chmura: Jeżeli tak, to nie mogła trwać godziny. Najwyżej dwadzieścia, trzydzieści minut. Zrobiłem taką próbę: rozpisałem waszą rozmowę na dwa głosy, nawet uwzględniłem przerwy na chwilę namysłu czy tak zwane „głuche milczenie” i odczytaliśmy to sobie w kolumnie razem z jedną koleżanką. Robiliśmy, co tylko można, żeby przedłużyć kwestie. No i

załatwiliśmy się z całością rozmowy w niecałe pół godziny.

Bars:

Nie przeczę. Tak mogło być.

Chmura:

A pan twierdzi, iż to był jedyny temat waszej rozmowy. Cóż więc robiliście państwo przez pozostałe pół godziny, zanim pojawiliście się w ogrodzie wśród gości? Chyba też rozmawialiście. Ale o czym? Chciałbym wiedzieć.

Bars:

Nie pamiętam już. Zdaje się, że to były jakieś zdawkowe uprzejmości.

Chmura:

Wątpię. Nikt nie pyta przeciwnika o zdrowie podczas pojedynku. Między wami istniał konflikt zbyt ostry, abyście mieli świadczyć sobie reweranse. Nie chce pan mówić, to ja panu powiem, o czym rozmawialiście, nawet dłużej niż pół godziny. Rozmawialiście o Pawle Bodziaczku.

Bars:

To są tak osobiste sprawy, że wolałem o tym nie wspominać. Sądzę, że nie mają one nic wspólnego ze śledztwem. Ale skąd pan to wie, panie kapitanie? Czy ktoś nas podsłuchał?

Chmura:

Czy te „osobiste sprawy” mają coś wspólnego ze śledztwem, czy nie mają, pozwoli pan, że ja osądzę. A skąd wiem... to należy do tajemnic tego właśnie śledztwa.

Bars:

Skoro tak, nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać panu rację. Tak. Rozmawialiśmy z Jolantą o sprawach Pawła Bodziaczka.

- Chmura: Cóż ona takiego panu powiedziała? Przypomnę, że sam naprowadził mnie pan na ten ślad. Podobno zgodził się pan na rozmowę z Jolantą dopiero wtedy, gdy wspomniała, że ma dla pana jakąś nowinę o Bodziaczku.
- Bars: Poddaję się. I powiem, co mówiła Jolanta. Ale proszę, żeby to pozostało między nami. Nie chciałbym być tym, który rozpozna oszczerstwa, dotyczące człowieka, niezbyt lojalnego wobec mnie. Jolanta zdawała sobie sprawę, że ma zbyt słabą pozycję, aby jej publiczne oskarżenie Bodziaczka poskutkowało. Szukała więc we mnie sojusznika. Daremnie.
- Chmura: Wezmę pod uwagę pańskie zastrzeżenia. Więc słucham.
- Bars- Postaram się przytoczyć panu z pamięci rewelacje Jolanty o Bodziaczku, możliwie w dosłownym ich brzmieniu. Powiedziała mniej więcej tak: »Bodziaczek ciebie wykańcza, to wiesz. Ale możesz się go łatwo pozbyć. Dowiedziałam się przypadkiem o jednej jego aferze. Przypomnij sobie początki pisarskiej kariery Bodziaczka. Nikomu nie znany młody literat, pisujący recenzyjki z książek dla młodzieży w rubrykach kulturalnych gazet i agencji prasowych, nagle zaskoczył wszystkich świetną powieścią „Podziemna rzeka”. Pamiętasz, to była rewelacja. Nowe, głębokie spojrzenie na okres okupacji, na konspirację, na partyzantkę. No i styl, język tej książki!

Odmienny od wszystkiego, co cię wtedy pisało i czytało. Kiedy dostał za tę książkę nagrodę, ktoś napisał: oto urodził się nam świetny, nowoczesny pisarz, nadzieja i przyszłość naszej literatury. A jeszcze ktoś przyrównywał ten jego styl, niby suchy, niby powściągliwy, a w rzeczywistości aż kipiący od żarliwych polemik, od emocji – właśnie do głębokiej rzeki skutej lodem. Czegóż to jeszcze wtedy nie wypisywano o Bodziaczku i jego „Podziemnej rzece”! Przeczytałam to sobie wszystko od nowa, całymi dniami wysiadywałam w bibliotece Stowarzyszenia Dziennikarzy. „Podziemna rzeka” miała sporo wydań, kilkanaście tłumaczeń, zrobiono z niej słuchowisko w radio, potem film. I stąd Bodziaczek Wziął się w naszej kinematografii, czy nie tak? Kiwasz głową, dobrze pamiętasz... No a potem? Co napisał Paweł Bodziaczek? Po paru latach, kiedy wyczerpały się dochody z „Podziemnej rzeki”, napisał „Witaj, słoneczny dniu”. To było o spółdzielni produkcyjnej na wsi i o niefortunnej miłości dojarki Marysi do młodego eksdziejca, wroga klasowego. To było okropne i nie miało nic wspólnego z gatunkiem, jaki reprezentował debiut Bodziaczka. Nie wiadomo było, śmiać się czy płakać. Wielka krytyka poczuła się ogromnie zawstydzona, że jej faworyt tak nawalił. Ktoś gorliwy pochwalił go za temat, ale w sumie książkę przemilczano, bo milczenie było najlepszą przysługą, jaką

można było zrobić autorowi. Cóż jeszcze napisał i wydał nasz Pawełek? Tomik reportaży z podróży po Europie, mały tomik kiepskich opowiadań. I już. To wszystko. Podobno szykuje zbiór swoich felietonów. W każdym razie jako autor „Podziemnej rzeki” nie sprawdził się w wielkiej, ambitnej prozie. A dlaczego? A dlatego, że on tej „Podziemnej rzeki” nie napisał. Co, zaskoczyło to ciebie? Dowody? Mam dowody. W jednej z bibliotek – nie powiem ci, w której, bo ty albo ktoś z twoich gotowicie zepsuć mi sprawę – w archiwum po pewnym sławnym, nieżyjącym już pisarzu, szukając jakichś nowych, mało znanych szczegółów z jego życia do rocznicowego felietonu, przypadkiem trafiłam na zapisany ręcznie brulion. Był to brulion powieści pod tytułem „Rzeka podziemna”, którą napisał niejaki Stefan Wojmir, co wynikało z załączonego listu. List datowany jest w styczniu 1944 roku, a powieść została napisana podczas okupacji. Wojmir prosi sławnego pisarza, żeby ocenił tę jego debiutancką próbę. I żeby przetrzymał u siebie ten brulion, bo młody człowiek z pewnych względów musi opuścić miasto. Można się domyślić, że Wojmir, biorąc udział w jakiejś akcji, i nie mógł i nie chciał zabierać ze sobą takich rzeczy, jak manuskrypty. Właśnie w czasie tej akcji zginął, zdaje się, że był to zamach na niemiecki transport broni. Porównałam „Rzeką

podziemną” i „Podziemną rzekę”. Słowo w słowo to samo. Nie masz pojęcia, ile czasu i trudu kosztowało mnie odnalezienie kogoś z rodziny Wojmira. Pewne realia z książki wskazały mi trop. W małym miasteczku na Pomorzu odnalazłam żonę i córkę Wojmira. Wojmirowa powiedziała: „Byliśmy bardzo młodzi podczas okupacji i samotni. Całą rodzinę Stefana wymordowali hitlerowcy. Chciał mnie ocalić, nigdy nie wtajemniczał mnie w to, co robił. Czułam tylko, że konspiruje, wiedziałam, że pisze. Ale nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Wiersze mi tylko czasami czytał. Piękne. Szkoda, że wszystkie spaliły mi się podczas powstania. On jakby wstydził się tego, że pisze. Nie był chyba pewny, czy to coś warte. Ja zajęta wtedy byłam pracą i dzieckiem. Nie wiedziałam do dziś, że posłał swoją powieść temu pisarzowi. Może mnie ten pan nawet szukał po wojnie, ale ja w takich sferach znajomości nie miałam, to i skąd mógłby wiedzieć, gdzie się podziałam. Po powstaniu byłam na robotach w Niemczech, a potem tu osiadłam, gdzie Stefan się urodził. Odwiedził mnie tylko raz, kilka lat po wojnie, przyjaciel Stefana, kolega jeszcze ze szkoły, a później i z konspiracji, Paweł Bodziaczek. Z nim Stefan podczas wojny często się widywał, ten Paweł nawet jakiś czas u nas mieszkał. Pytał mnie, czy po Stefanie nie zostały jakieś notatki, utwory, zeszyty. Mówił, że chętnie zająłby się



wydaniem. Na to ja go zapytałam, czy jemu czasem właśnie Stefan czegoś nie powierzył, bo przypomniało mi się, że kiedyś Stefan mi powiedział: «W razie gdyby ze mną coś się stało, zwróć się do Pawła. Dałem mu coś, co może ci się po wojnie przyda». Ale Bodziaczek odpowiedział mi, że nie ma nic po Stefanie, że w ogóle wszystko spaliło mu się w czasie powstania, tak jak i mnie. No i pojechał, i nie odezwał się więcej. Pani pyta, czy ja czytałam tę «Podziemną rzekę». Nie. Pani kochana, widzi pani, mam tu pracownię krawiecką. Zaraz po wojnie za robotę musiałam się brać, żeby Helenkę wychować. Kiedy miałabym czas, żeby książki czytać!» Tyle mi powiedziała Wojmirowa. Więc musiało być tak, że Wojmir jeden egzemplarz swojego rękopisu posłał pisarzowi, na którego opinii mu zależało, a drugi zostawił Bodziaczkowi, na wszelki wypadek. Nie wiem, czy Bodziaczek wiedział o tym drugim egzemplarzu, chyba nie, bo postarałby się o jego usunięcie z archiwum. A dlaczego nasz sławny pisarz się w to nie wtrącił? Po prostu kiedy wyszła „Podziemna rzeka” jako dzieło Pawła Bodziaczka, nie żył już, a rodzina zdeponowała całe jego wielkie archiwum w bibliotece. To trwa całe lata, zanim takie archiwum uporządkują. Więc gdyby nie ja, dopiero za sto lat poloniści głowiliby się, czy czasem Wojmir i Bodziaczek to nie ta sama osoba. A jeśli nie, to kto naprawdę napisał „Podziemną rzekę”. No i co ty na to?».

To już wszystko, panie kapitanie. Powtórzyłem możliwie dokładnie, co doniosła mi Jolanta.

Chmura:

Co pan w tej sprawie poradził Jolancie?

Bars:

Żeby dała spokój, żeby nie wyciągała tego na forum publiczne. Chociaż przyznam się, że mnie osobiście byłoby na rękę, gdyby zarzut plagiatu przeciwko Bodziaczkowi podniesiony został otwarcie. Jeżeli mam kłopoty z zespołem, to przez niego.

Chmura:

Nie wierzę panu. Niestety. Przykro mi, ale nie wierzę.

Bars:

Nie rozumiem.

Chmura:

Po prostu nie wierzę, że postąpił pan tego dnia z Jolantą Kordes tak, jak mi to pan opowiedział.

Bars:

Ciekawe.

Chmura:

Lepiej niech pan nie ironizuje. Ja panu teraz opowiem moją wersję zdarzeń. Myślę, że będzie ona bliższa prawdy niż pańska.

Bars:

Zamieniam się cały w słuch.

Chmura:

Otóż przede wszystkim to pan pierwszy zadzwonił do Jolanty, a nie ona do pana. Pan jako „znakomity reżyser, wytrawny psycholog i umiejący logicznie wiązać fakty, a przy tym znający do samego dna wszystkie sprawy waszego środowiska i znający Jolantę, zaprogramował sobie przedstawienie. Bezbłędnie przewidział pan wszystkie kolejne reakcje wszystkich osób, które pana zamysł wprawił w ruch. Zatelefonował pan do Jolanty zaraz po tym, jak pani Bożena zaplanowała wasze wielkie przyjęcie. Powiedział pan

Jolancie, że chciałby pan jakoś uregulować z nią waszą sporną sprawę. Jolanta była nieufna, ale ucieszyła się. Przemawiał pan do niej tak miło, że odważyła się napomknąć panu, iż zrewanżuje się, przekazując panu ciekawe informacje o Bodziaczkku. Pani Bożena zareagowała tak, jak pan się spodziewał. Nie znosiła siostry, bała się skandalu zbyt jawnego, ale nie mogła odmówić sobie małej zemsty i zamiast całe przyjęcie odwołać, ograniczyła je do grona waszych tak zwanych przyjaciół. Kiedy Jolanta przyszła i wyciągnął już pan od niej na samym wstępie informację o brzydkiej sprawie Pawła Bodziaczka, radykalnie zmienił pan front. Nie było już mowy o żadnym kompromisowym załatwieniu sprawy honorarium dla Jolanty. Postanowił pan rozwścieczyć ją, rozjątrzyć, proponując tę jałmużnę czy też łapówkę, jak to ona sama nazwała. Wyszła od pana znów pełna pragnienia zemsty. Być może nawet pan sam pod koniec rozmowy podsunął jej pomysł, który zrealizowała w trakcie wieczoru. Może pan jej powiedział tak: „Byłoby mi bardzo na rękę, gdybyś publicznie powiedziała Pawłowi, co o nim wiesz. Przy okazji ulżyj sobie, ulżyj na całym pozostałym towarzystwie. Będę ci za to wdzięczny. Ja też mam ich wszystkich dość. Ale ciebie skrzywdzono najbardziej i ty masz prawo wygarnąć im, co o nich myślisz. Jeżeli to zrobisz, możesz na mnie liczyć. Może właśnie ani Bodziaczek, ani

Dudko, tylko ty zostaniesz moim nowym kierownikiem literackim, kiedy zreorganizuję zespół...” To była czcza obietnica, ale co szkodziło tak powiedzieć. Potem już wystarczyło dać Jolancie trochę więcej wódki, niż było trzeba. I pobudzić towarzystwo do śmiechu, kiedy rozpoczęła swoje solowe taneczne popisy. Bo pan pierwszy się roześmiał, prawda? Osiągnął pan swój cel. Wsadził pan kij w mrowisko rękoma Jolanty. Odegrał się pan na wszystkich za ich intrygi, nikt nie pozostał czysty, a dodatkowy pana zysk polega na tym, że ma pan na kogo teraz zwalać wszystkie duże i małe grzechy „Wiru”. A może pan jeszcze nie omieszkał donieść Bodziaczkowi podczas przyjęcia, że Jolanta rozpowszechnia o nim takie wieści? Nie tak było? I to był powód, który kazał Bodziaczkowi dopaść Jolanty w ostatniej chwili, by zamknąć jej usta? Czy nie tak było?

Bars: Jestem zbyt już tym wszystkim zmęczony, panie kapitanie, żeby zaprzeczać. Ale jednego nie przewidziałem. Śmierci Jolanty. Przysięgam, panie kapitanie, że to nie ja ją zabiłem.

Na tym kończy się protokół z przesłuchania Sławomira Barsa przez kapitana Sebastiana Chmurę. Kończy się też szeroka gruba czerwona krecha na marginesie. Chmura wyładował. Zmusił Barsa do bardzo dla niego niemiłej rzeczy: do odkrycia kart. Ale czy Chmura na tym bagnistym lądowisku znalazł to, czego szukał i co było celem jego upartych wędrówek po labiryncie „Wiru”? Chyba nie. Na samym bowiem końcu, protokołu Chmura zrobił mały dopisek:

**Kto i dlaczego zabił Jolantę Kordes?**

## 16.

Czyli: wracamy do punktu wyjścia całego dochodzenia. Chmura też to zrozumiał i doszedł do wniosku, że pora na podsumowanie wszystkich elementów, jakie udało mu się w tej sprawie zebrać. Odkładam zszywkę z protokołami i, biorę do ręki plik ręcznie robionych przez Chmurę notatek. Są to już jego własne próby, jego dociekania, jego wnioski. Widać, że robione dorywczo, chyba po nocach, może w domu, pisane są rozmaicie, raz ołówkiem, raz długopisem, na wolnych miejscach widnieją różne esy-floresy, kwiatki, ptaszki, kobiece główki, splątane linie, układające się czasami w postać kota z wygiętym grzbietem. Te malunki świadczą o głębokiej zadumie, w jaką nieraz musiał wpadać mój Chmura, zanim napisał następane zdanie swoich rozważań. A oto treść tych notatek:

»Bodziaczka już nie przesłuchuję. Nie mam do niego zdrowia. Dość mi nałgał. Nie napisał na przykład, że Dudko rozmawiał z Barsem przez okno, a musiał to widzieć. Pewnie kręci z tego bat na Dudkę. Nie wątpię, że pod jakimś tam pseudonimem wyda swój utwór o zbrodni w Dzieźmoli w serii zeszytów sensacyjnych „Iskier” albo wydrukuje to jako odcinek w prasie.

Mam wątpliwość. Jeżeli ktoś zaplanował uśmiercenie Jolanty – to w jaki sposób mógł przewidzieć, że w pewnej chwili stanie ona właśnie pod tym, a nie innym oknem i że, uderzona przez Pawła, pchnie ramieniem na pół przymkniętą ramę okienną? Że okno otworzy się wtedy na rościęz i Yogi będzie miał wolną drogę do ramienia

Jolanty? Chyba, że ktoś czytał na taki dogodny moment. Gdyby złożyło się inaczej, wpakowałby Jolancie kota na przykład na kolana w jakiejś innej chwili. Ale to wszystko i tak mi nie gra.

Bożena Norska jest amoralna. Nie „niemoralna”, lecz właśnie „amoralna”. Dochodzę do takiego wniosku po przesłuchaniu wszystkich osób zamieszanych w tę sprawę. Każdy w jakiejś chwili ma ludzki odruch. Ona ani razu. Nie dziwiłbym się, gdyby to ona...

Na pewno nikt nie chciał struć kota Bożenie na złość. Wszyscy wiedzieli, że to dla niej tylko zabawka.

Barsa przygwoździłem. To duża satysfakcja. Tym bardziej iż dowodów na to, że było tak, a nie inaczej między nim i Jolantą – nie mam żadnych. Bluffowałem – ale okazuje się, że miałem rację. Skoro jednak Bars napuścił Jolantę na całe towarzystwo, myślę, że byłby jednym z pierwszych zainteresowanych w tym, aby się jej zmarło. Umarły nie jest już w stanie zdemaskować inicjatora intrygi. Stał za oknem. Więc może to jednak on rzucił kota na Jolantę?

Zaprzeczenie tej wersji: strach na twarzy Barsa, który zauważył Bodziaczek. To było wtedy, gdy przestraszył go Yogi.

A może to nie Jolanta pchnęła ramieniem okno, tylko ktoś stojący na zewnątrz, na tarasie, otworzył je w momencie, kiedy Jolanta oparła się o futrynę? Mógłby to być każdy prócz Bodziaczka i Marioli, którzy byli w salonie.

Czy Bars nie zamierzał już wcześniej zabić Jolanty? Może wiedziała o nim zbyt wiele? I może dlatego zaprosił ją na przyjęcie, na którym byli obecni wszyscy skłóceni z nią – po to, aby na każdego z nich mogło paść podejrzenie o zamordowanie Jolanty?

Dlaczego wciąż wracam do Barsa?

Stanowczo zbyt wiele tych wszystkich moich „może”. Muszę uporządkować te wszystkie ewentualności. Sprowadzę je do dwóch mianowników. Pierwszy: ktoś chciał zabić Jolantę i zabił ją. Drugi: ktoś chciał zabić kogoś, ale przez przypadek zabił Jolantę.

Mianownik pierwszy: Jolanta jako cel. Licznik pierwszy: Sławomir Bars. Powód: Jolanta chciała go skompromitować za pomocą sprawy sądowej o podział honorarium. Szerzyła plotki o jego zamiarze ucieczki za granicę. O rozrzutności w szafowaniu pieniędzmi „Wiru”. Kontrargument: Sławomir Bars jest za wielki. Nie z takimi jak Jolanta dawał sobie radę. Jeżeli mu nawet zlikwidują „Wir” i tak zawsze będzie miał co robić, bo to „dobra firma”. Za granica może jeździć tam i z powrotem, ile razy zechce. I – wzorem innych twórców – może przebywać za granicą, jak długo chce. Tam też znajdzie pracę. Naiwnością byłoby posądzanie go o zamordowanie Jolanty.

Licznik drugi: Bożena Bars-Norska. Powód: Jolanta Ujawnia jej romans z Protem i fakt urodzenia dziecka. Gorzej: fakt porzucenia tego dziecka. Jolanta trafia na ślad swoich ukradzionych klejnotów,

które są w posiadaniu Bożeny. Kontrargument: Bożenie nie zależy już tak na Barsie, jak kiedyś, ma własną pozycję w świecie filmu i może sobie pozwolić na różne dąsy. A kogo kompromituje dzisiaj nieślubne dziecko? Nikogo. W najgorszym razie odebrałyby Agnieszkę z Domu Dziecka, wynajęłyby do niej niańkę, fotografowałyby się z Agnieszką w różnych ujęciach, Agnieszka zaraz zaczęłaby występować w telewizji jako córka swojej matki, a Bars latałby po sklepach, żeby kupować małej co dzień nowe zabawki. Klejnoty: ta sprawa obciąża Nieczułą. Bożena nie musiała wiedzieć, skąd pochodzi biżuteria, którą kupiła. O przetargach z Nieczułą Bars do dziś nic nie wie. Jolanta nie jest dla Bożeny groźna. Cóż z tego, że gada? Miech gada. Nie, Bożena nie zabiła Jolanty.

Licznik trzeci: Michał Prot. Powód: Jolanta demaskuje go jako gogusia, oskarża o znęcanie się nad matką. Wobec Barsa ujawnia jego zakulisowe dogadywanie się z reżyserem Trokiewiczem. Kontrargument: mało to takich mężczyzn chodzi po świecie, którzy żerują na ciężkiej harówce swoich żon, kochanek albo matek? Otepieliśmy na to zjawisko, a Prot zawsze może powiedzieć: po prostu mam powodzenie u kobiet, tak mnie kochają, że wszystko gotowe są dla mnie poświęcić. Próbowałem wyjaśnić sprawę stosunku Prota do matki. Przepytałem sąsiadów, milicjantów, którzy w tamtym czasie pełnili służbę w tej dzielnicy, lekarzę z ośrodka zdrowia. Wszyscy potwierdzają, że staruszka miała istotnie zaburzenia psychiczne i manię prześladowczą. Więc chyba Mariola ma rację. To nienawiść do Michała kazała Jolancie przekręcać fakty. I to nie powód, aby Prot uśmiercał swoją byłą żonę, podobnie jak niezbyt groźne było



dla niego ujawnienie wobec Barsa pertraktacji z Trokiewiczem. U Barsa czy u Trokiewicza jeszcze przez dłuższy czas będzie grać czołowe role, bo publiczność lubi go i pójdzie na każdy jego film. Najwyżej Bars, nie chcąc dopuścić, by jego aktor przeszedł do konkurencji, stałby się dla Prota łaskawszy. Dochodzę do wniosku, że Prot jako morderca Jolanty stanowczo odpada.

Licznik czwarty: Mariola Protowa. Powód: śmierć Jolanty stwarza jej szanse przywłaszczenia sobie Andrzeja i utrwala jej pozycję rodzinną. Jolanta opowiada publicznie o jej kobiecej tajemnicy i rozszyfrowuje flirt z Trokiewiczem. Kontrargument: Prot i tak miał szansę wyprocesowania chłopca dla siebie, gdyż opieka matki okazała się bardzo zawodna. O flircie z Trokiewiczem Prot wiedział, ta „rewelacja” nie groziła Marioli żadnymi konsekwencjami. Publiczne opowiadanie o bezpłodności kobiety oczywiście nie jest przyjemne dla delikwentki i Mariola zareagowała okrzykiem: „Milcz, bo cię zabiję”, ale kładę to na karb jej wybuchowego temperamentu. Ludzie z takim usposobieniem mogą rzeczywiście zabić kogoś w pasji. Natomiast nie są przeważnie zdolni do planowania zbrodni na zimno, nie mordują z premedytacją. A sprawa kota Yogi nie ma znamion spontaniczności, opracowana została z rozmysłem, nawet jeżeli zorganizowano ją na poczekaniu, a nie zawczasu, jeszcze przed przyjęciem. Mariola w ogóle była górą: miała Prota i prawie miała Andrzeja. Cóż by jej dała śmierć zwyciężonej przez siebie rywalki?

Licznik piąty: Andrzej Prot. Zanim go poznałem, gotów byłem myśleć, że w młodszej histerii targnął się na życie matki, której nieporadność życiowa zniszczyła mu dom i stworzyła warunki,

sprzyjające jego wykolejeniu. Teraz w ogóle nie rozpatruję takiej ewentualności.

Licznik szósty: Gustaw Nieczułło. Powód: Jolanta mogła mu udowodnić kradzież biżuterii i wytoczyć bardzo nieprzyjemną sprawę sądową. Kontrargument: aby takiego skandalu uniknąć, Nieczułło mógłby ułożyć się z Bożeną, odkupić od niej klejnoty i zwrócić je Jolancie. Byłoby po krzyku. Nie musiał mordować Jolanty. Tacy karierowicze jak on, świadomi swojej przeciętności, unikają sytuacji, które w rezultacie mogłyby doprowadzić ich do katastrofy. Rzykują zawsze trochę, ale nigdy wszystko. Co innego kradzież biżuterii, co innego morderstwo.

Licznik siódmy: Liliana Runicz. Powód: Jolanta mogła jej udowodnić sfałszowanie biżuterii. Ale Liliana nie miała z tego fałszerstwa żadnych korzyści. Jej zachowanie się podczas śledztwa samo w sobie stanowi kontrargument.

Licznik ósmy: Romuald Dudko. Powód: oskarżenie o śmierć Kamy. Jolanta od pewnego czasu, pisząc swoją powieść o środowisku, „rozgryzała” sprawy poszczególnych osób. Przypomniała sobie historię dziewczyny, która wypadła czy też – jak mówiono – została wyrzucona przez okno w hotelu z czwartego piętra na ulicę. Podczas rewizji w mieszkaniu Jolanty znalazłem krążek taśmy magnetofonowej. Jolanta odnalazła różne osoby, których, niestety, swego czasu podczas dochodzenia w tej sprawie, z różnych powodów nie przesłuchano. Jakaś pokojówka z piętra, jacyś sąsiedzi z innych hotelowych pokoi. Ich zeznania, nagrane przez Jolantę na taśmie, potwierdzają, że nie był to nieszczęśliwy wypadek, lecz zabójstwo. Ale Dudko też twierdzi to samo, byłby więc raczej sprzymierzeńcem Jolanty

w wyjaśnieniu tej tragedii do końca. I to jest kontrargument. Dudko nie zabiłby Jolanty.

Licznik dziewiąty: Tadeusz Firko. Powód: Jolanta rozgłasza wiadomość o jego notorycznym alkoholizmie. Jolanta i jego oskarża o śmierć dziewczyny w hotelu. Kontrargument: o pijaństwie Firki i tak wszyscy wiedzą, a nie należymy do społeczności, które za bardzo potępiają ten nałóg, nad czym zresztą należy ubolewać. Z nadużyć finansowych w „Wirze” Firko potrafi się wykręcić, oskarżenia Jolanty w tym względzie okazałyby się gołosłowne. Śmierć dziewczyny w hotelu została swego czasu zatuszowana przez wpływowego Barsa. Nikomu dziś – poza Dudką i Jolantą – nie należałoby na rozgrzebywaniu tej historii. Nie wydaje mi się, aby Firko do tego stopnia miał się bać Jolanty, żeby opłacało mu się ją zabijać.

Licznik dziesiąty: Paweł Bodziaczek. Powód: Jolanta była współwłaścicielką jego sekretu, dotyczącego autorstwa „Podziemnej rzeki”. Ze wszystkich osób, które rozpatrywałem dotychczas, Bodziaczek miałby najbardziej i istotny powód, by zmusić Jolantę do milczenia za każdą cenę. Twierdzę, że do dokonania zbrodni, jaką popełniono w Dzieźmoli, trzeba tak zwanego pomysłu. Mam na myśli pewien rodzaj twórczej fantazji, właściwy na przykład reżyserom i pisarzom. Bodziaczek jako człowiek pióra, w dodatku obznajomiony z filmem, czyli sztuką snucia intrygi i zawiązywania akcji, niewątpliwie posiada dane, by wymyślić otrucie kogoś cyjankiem, rozartym na końcach kocich pazurów. W dodatku istnieją okoliczności, które mogły mu ułatwić wykonanie tego pomysłu. Przebywał przez dłuższą chwilę podczas przyjęcia sam w ogrodzie, mógł wtedy dostrzec i schwytać Yogiego. Widział, co robi Bars ze złapaną ćmą

przy oknie pracowni. Mógł też zauważyć, że Bars pozostawił wszystko na parapecie i wyszedł do salonu. Ciekawe, że me wspomina w swoim opowiadaniu o Dudce, który rozmawiał z Barsem przez okno. Ale takie napomknienie świadczyłoby, iż bardzo uważnie obserwował pracownię, pominął więc ten szczegół milczeniem. To bardziej prawdopodobne niż zatajenie tego faktu w celu szantazowania Dudki. Bodziaczek jest niezwykle bystry, pamięta o wszystkim. O tym więc także, aby nie zostawić na oknie siadów swoich palców, gdy bierze z eksykatora lub ze słoika cyjanek i naciera nim pazury Yogiego. Może robi to w rękawiczkach, w swoich grubych, łośowych rękawiczkach, które podobno zgubił gdzieś, jak twierdzi jego żona, zapytana o to przeze mnie przez telefon. Idę dalej: Podczas przemówienia Jolanty Bodziaczek w świetle padającym na taras z drzwi i okien domu widzi kota, czającego się do skoku na balustradzie czy też parapecie okna salonu. Interweniuje w odpowiednim momencie, kiedy Jolanta przebrała już miarę i dobiera się do jego skóry. Nikogo w salonie nie ma, tylko Mariola szłocha w fotela, na nic nie zwraca uwagi. Bodziaczek popycha Jolantę w stronę okna. Gdyby kot sam na nią nie skoczył, nie wiem, czy Bodziaczek nie złapałby go i nie cisnął nim w Jolantę – co dałoby taki sam skutek.

Wyprowadziłem sobie teraz całą tę teorię i głęboko się nad nią zastanawiam. Czy prawdopodobna? Czy nie naciągnięta? Dochodzę do wniosku, że realizacja pomysłu według tego wzoru wymagałaby ogromnej precyzji i zbiegu wielu okoliczności. Alę całkowicie wykluczać takiego obrotu sprawy nie należy. Chociaż... tyle finezji w tym wszystkim. Aż strach, jak dużo.

### Kontrargument:

Jolanta nie miała szans na publiczne wystąpienie z oskarżeniem Bodziaczka o plagiat. Znalazłoby się wielu, którzy w imię godności polskiego pisarstwa próbowaliby zatuszować niemiłą sprawę. Tak twierdzi Bars i dodaje, że od niego dopiero oczekiwała pomocy i poparcia przeciwko Bodziaczkiowi. Na tym etapie Jolanta nie była aż tak groźna dla Bodziaczki, że musiałby ją zabić, aby zamilkła. Zresztą nie załatwiłoby mu to sprawy. Wojmirowa i tak już wie o wszystkim od Jolanty i chyba nie daruje swego. Bodziaczek mógł łatwo zgębnąć Jolantę w inny sposób, nie sięgając po truciznę. Jej klęska i tak była już prawie ostateczna. Niewiele by trzeba, aby ją do reszty wykończyć. Wydawnictwo nie przyjęłoby jej książki, jej artykuły leżałyby tygodniami w redakcjach, a potem ukazywałyby się skrócone do połowy. Mogłyby też zająć się jej pisaniną gorliwe „kąciki osobliwości” w tygodnikach i gazetach, gdzie wyśmiewa się różne omyłki, gafy i głupstwa, wydziobane ze szpalt czasopism. Dawni znajomi i koledzy zaczęliby jej unikać i nie znalazłby się nikt, kto by jej pożyczył sto złotych w nagłej potrzebie. Zaczęłaby się unosić wokół niej atmosferka pełna niedomówień, nieufności, niejasnych insynuacji. I tak umarłaby dla środowiska. To jest morderstwo bardziej w stylu Bodziaczki. Przecież, prawdę mówiąc, zabitemu na wojnie przyjacielowi sprawił powtórny pogrzeb: jako pisarzowi, ograbiając go z jedyne go dzieła, z pośmiertnej sławy – a jego żonę i dziecko z pieniędzy. To on nakręcałby z ukrycia nieprzyjazną dla Jolanty koniunkturę. W końcu okazałoby się, że to Jolanta ukradła komuś biżuterię, że ona popełniła plagiat i to byłoby pięknym epitafium nad jej grobem.

Mógłbym właściwie postawić Bodziaczka w stan oskarżenia. On zabił Jolantę Kordes. Ale – nie zrobił tego za pomocą trucizny na pazurach kota Yogi. Moje śledztwo dotyczy, niestety, tylko tych konkretnych realiów.

Podsumowuję wszystko, co dotychczas napisałem. Skreśliam poprzednie liczniki, kolejno stawiane nad kreską. Mianownik, któremu dałem nazwę „Jolanta jako cel”, pozostaje bez licznika, samotny, bo ma za towarzysza zero. Nie widzę nikogo, kto z tamtego grona miałby wystarczające motywy, aby zgładzić Jolantę Kordes. Mniej, czy bardziej usprawiedliwiony wybuch gniewu Jolanty dekonspirował morale środowiska, które ją odrzuciło – ale nie miał dość siły, by wysadzić w powietrze którąkolwiek z twierdz, gdzie ten światek rezyduje. Mogłaby być mowa najwyżej o nieszkodliwym wyłomie w murach obronnych, jakimi potrafili otoczyć się ludzie uważający, że wszystko im wolno. Cegłami tego muru są pieniądze, stosunki, sława – zasłużona czy rozdmuchana – a przede wszystkim środowiskowa solidarność, o której wcale niegłupio napisał Paweł Bodziaczek w swoim elaboracie. Teraz to rozumiem. Niemoralność przez nasze kodeksy karne przemyka się chyłkiem. Oskarżycielska mowa Jolanty nie mogłaby przekształcić się automatycznie w prokuratorską mowę w sądzie. Każdy, oskarżony przez Jolantę, wywinąłby się z sieci gładko jak piskorz. Skreśliam mianownik „Jolanta jako cel”. Nikt z obecnych na przyjęciu w Dzieźmoli w dniu 5 września 1966 roku nie zamierzał zabić fizycznie Jolanty Kordes.

Rozpatrzę teraz drugi wariant: ktoś chciał zabić kogoś, ale przez przypadek zabił Jolantę. Wariant ten przypomina mi rozłożyste drzewo o licznych, splecionych między sobą gałęziach. Rezygnuję tu z matematyki. Musiałbym wdać się w równania nie wiem już którego stopnia.

Tak więc: Bożena chciałaby się pozbyć Barsa – a Bożeny chciałaby się pozbyć Mariola. Bars miał powody, aby nie nosić w sercu Michała Prota, ale jeszcze bardziej dotyczy to Bodziaczka. Barsa za to chętnie zmiotłby z tego świata Nieczułto, żywiący się nadzieją objęcia po nim tronu. Bodziaczek również robi wszystko, by zniszczyć Barsa, lecz łatwo mu to nie idzie, mógłby sięgnąć po bardziej radykalne rozwiązanie. Dudko nienawidzi Firki, Firko zaś Prota. Liliana Runicz jest dla Nieczułty niewygodnym świadkiem jego manipulacji z bizuterią Jolanty od chwili, gdy zaczyna myśleć o porzuceniu go.

Nawet mały Andrzej Prot ma w tym światku swoje porachunki. Mógł być myśleć nieraz: „Zabiłbym tego łobuza, Gucia Nieczułtę, jak pluskwę”... Ale ja jestem podobno niepoprawnym romantykiem czy też idealistą i muszę, chcę w coś wierzyć. Więc między innymi chcę – jakkolwiek by było – wierzyć w małego Andrzeja Prota, A skoro tak, wyłączam go z kręgu podejrzanych. Do tej sprawy już nie wrócę, przyrzekam sobie uroczyście.

Wracam za to do świata ludzi dorosłych i oczom moim przedstawia się coś w rodzaju poloneza, w którym pary schodzą się, rozchodzą i potem znowu schodzą, zmieniając w niektórych konfiguracjach partnerom partnerki.

A Michał Prot, dobroduszny, beztroski Musio – czy rzeczywiście tak wyrozumiale patrzył na romans Marioli z reżyserem Trokiewiczem? Może mnie zwiodła jego mina „ulubieńca naszych pań”?

Jest przecież aktorem, zmieniać maski to jego zawód...

Polonez, polonez. Właśnie. Narzuciłem sam sobie to porównanie i teraz męczę się, bo z czymś mi się kojarzy, coś mi nasuwa, co znów oddali ode mnie upragniony cel: zakończenie tego piekielnego śledztwa. Określona liczba tancerzy w polonezie musi pozostać nie zmieniona do końca, żeby wszystko szło, jak trzeba. Można odstawić wprawdzie na bok jedną parę, dwie lub więcej, ale zawsze parę. Nie pojedynczego tancerza. Bo wtedy szyk się pomiesza. Taniec trzeba wtedy przerwać.

Otóż w konfiguracjach Barsowego państwka też nie może nikogo zabraknąć. Ci wszyscy ludzie są sobie niezbędni, nawzajem nieodwołalnie sobie potrzebni. Nie tyle przyjaciel przyjacielowi, ile wróg wrogowi. Weźmy na przykład Nieczułłę albo Bodziaczka. Nienawidzą Barsa, wyłazą ze skóry, żeby go zniszczyć, ale właśnie ta działalność jest treścią, sensem ich istnienia, fundamentem ich pozycji, nadzieją kariery. Sam Nieczułło jest niczym. Ale Nieczułło, który pokona Barsa, staje się kimś. Potrzebny mu Bars jak powietrze, bo dopiero w walce z nim mógłby wyjść na czoło falangi. Podobnie ma się sprawa z Bodziaczkiem. Kto z jego kolegów miałby do niego interes jako do samego Bodziaczka, literata drugiej kategorii? Ale przez niego można ze swoim utworem trafić do Barsa. Do samego Barsa. Wielkiego – jeszcze na razie – Barsa. Firce i Barsowi potrzebny jest Michał Prot, bo mu do twarzy i z miłością, i z melancholią, i w szyszaku, i w cylindrze – a im nie, i dalibóg, żaden z nich czołowej roli w żadnym filmie zagrać by nie mógł. Koń by ze śmiechu pękł, gdyby Bars na niego wsiadł, a Prot robi to z nieporównaną



brawurą. I Dudce Firko potrzebny. A Firce i całemu „Wirowi” taki Dudko, pisujący, co trzeba i jak trzeba. Bożenie potrzebny „Wir” i Bars jak skoczkowi trampolina, bo bez Barsa Bożena nie skoczy w wielkie wody zagranicznej kinematografii. Może i są tu jakieś wyjątki: że komuś ktoś niekoniecznie jest potrzebny do szczęścia i kariery, ale w sumie suną przez nasz światek i nasze ani jak wąż poloneza, ciasno spleciony rękoma tancerzy. Będą się kuksać w tańcu jak niesforne dzieci, będą sobie deptać nawzajem po nogach, ale będą tak tańczyć, dopóki im ktoś gra. „Jestem wśród swoich” – piszę w swoim elaboracie Bodziaczek. Ich wzajemne interesy tak się splatają, tak bardzo są wszyscy od siebie wzajemnie współzależni, że...

...że nie widzę doprawdy, kto kogo miałby tu zamiar uśmiercić – bez zepsucia sobie samemu interesu.

Już przypomniałem sobie, skąd mi się nasunął pomysł z polonezem. Oczywiście: z wywiadu Romualda Dudki, przeprowadzonego w Dzieźmoli ze Sławomirem Barsem jeszcze przed fatalnym przyjęciem. Wtedy to Bars opowiadał o swoich projektach ekranizacji „Pana Tadeusza”. To w tym filmie miał być ów polonez – jako finał. Polonez wśród zamieci śnieżnej, z cmentarzem gdzieś tuż obok, na którym nie wiadomo w końcu, kto spoczął...

Ale rozegrałem się! Zupełnie jak gdybym zamierzał pisać scenariusz dla Sławomira Barsa i jego „Wiru”. A ja po prostu chciałem wysnuć z moich rozważań wniosek: drugi mianownik pod kryptonimem „Ktoś chciał zabić kogoś, ale przez przypadek zabił Jolantę” – również pozostaje goły, bez żadnego licznika, z zerem nad kreską. Czyli również muszę go skreślić.

Nikt nie chciał nikogo zabić, chociaż przez przypadek została zabita Jolanta Kordes.

Zupełny absurd. Przecież ktoś to zrobił, skoro jednak Jolanta Kordes nie żyje.

Zobaczymy, może okaże mi się pomocny w tej zagadce biedny kot Yogi, niewinna ofiara ludzkiego szaleństwa.

Zeznania obecnych na przyjęciu, dotyczące sympatii i antypatii kota Yogi, są sprzeczne. Nie będę w tej chwili powoływać się od nowa na konkretne nazwiska zeznających, bo mi to niepotrzebne. Zestawiam tylko owe sympatie i antypatie kocura.

Otóż według tych zeznań kot Yogi: nie lubił Bożeny i lubił Bożenę. Nie lubił Barsa i lubił Barsa. Nie cierpiał Marioli i lubił Mariolę. Lubiał Prota i nie lubił go. Nie cierpiał Katarzyny – i wzajemnie ona go nie znosiła. Lubiał Yogiego Andrzej Prot, ale nie wiemy, czy ze wzajemnością. Stanowczo Yogi nie cierpiał Firki, Nieczuły, Bodziaczka i Dudki. Lubiał Lilianę Runicz. Lubiał Jolantę – i nie lubiał Jolanty. Bał się jej i uciekał przed nią – ale ona przechadzała się po trawniku z Yogim na ramieniu...

Wśród tych sprzecznych wypowiedzi muszę wybrać te, które wydają mi się najbardziej prawdopodobne. Będą to te, które zawierają powtarzające się kilkakrotnie nazwiska zarówno po stronie sympatii, jak i antypatii kota Yogi. Selekcja daje mi rezultat następujący: najbardziej znenawidzonym przez kota Yogi był Bodziaczek. Wśród swoich sympatii Yogi stanowczo preferował Barsa i Jolantę Kordes.

Co nam to daje?

Wyklucza Bodziaczka jako potencjalnego mordercę. Yogi nie dałby mu się złapać. Ale gdyby ktoś chciał zabić Bodziaczka, miałby szansę – duże prawdopodobieństwo, iż wytrącony z równowagi kot w pewnym momencie skoczy na najbardziej przez siebie znieawidzonego człowieka. No tak, ale zgodziliśmy się już, że nikt nie chciał, bo nikomu by się nie opłacało, zabić Pawła Bodziaczka, jednego ze „swoich”.

Przypuścimy więc, że chodzi tu o Barsa. Barsowi kot dałby się wziąć na ręce i Bars mógł dokonać na nim zabiegu z natarciem cyjankiem końców pazurów. Patrz jednak wyżej: „nikt nikogo w tym zespole”... i tak dalej. A gdyby ktoś chciał uśmiercić Barsa? Yogi miał dwa razy okazję skoczyć na Barsa mając już truciznę na pazurach: wtedy, gdy Bars z Firką zamykali otwarte okno pracowni, i Bars zauważył Yogiego, czającego się na balustradzie tarasu – i wówczas, gdy Bars z Firką stali na tarasie tuż za drzwiami wejściowymi salonu w pobliżu okna, przez które Yogi skoczył na Jolantę. Bars był bliżej i łatwiej osiągalny. Dlaczego Yogi nie skoczył na niego, tylko na Jolantę?

Skoczył na Jolantę, którą lubił. Skoczył jej na ramię, na którym często siadywał, zapewne mrużąc rozkosznie i ocierając się o policzek, jak to lubią robić koty. I w to ramię wpił z całej siły pazury. Przypadkiem – czy rozmyślnie?

Uzgodniłem już jednak sam ze sobą, że nikt nie chciał zabić Jolanty.

Może to więc Jolanta chciała kogoś zabić? Zastanówmy się.

Bodziaczek widział ją przy oknie pracowni Barsa. Kot Yogi, wypuszczony przez, nieuwagę Bożeny z zamknięcia albo po prostu

uwolniony przez samą Jolantę, łązi po tarasie. Pozwala wziąć się Jolancie na ręce. Jolanta przechyla się przez parapet, sięga po truciznę. Kot z początku protestuje, wrywa się jej i pozostawia ślady pazurów na farbie okiennej ramy. Pozostają tam także odciski palców Jolanty. Jolanta naciera kotu pazury cyjankiem, nieopatrznie pozostawionym w eksykatorze przez Barsa, albo zaczerpniętym ze słoika. Używa do tego na przykład ligniny, którą też posługuje się Bars przy pracy. Jolanta puszcza kota albo kot wrywa się jej i ucieka. Jolanta jest wściekła i rozgoryczona, że nie udało się jej doprowadzić dzieła do końca i naprowadzić kota prosto na upatrzoną ofiarę. Stąd ten histeryczny wybuch po owym zwariowanym tańcu.

To wszystko układa mi się dość logicznie.

Tak, tylko kogo i dlaczego chciała zabić Jolanta Kordes?

Minęło już kilka dni, odkąd sformułowałem to ekscentryczne przypuszczenie, tak dziwaczne, że z nikim z wydziału jeszcze się nim nie podzieliłem. I wciąż nie umiem odpowiedzieć sobie na pytanie: kogo i dlaczego chciała Jolanta uśmiercić. Paradoksalna sytuacja: nie chciała przecież chyba uśmiercić siebie samej? Są inne, bardziej poręczne sposoby samobójstwa, czyli samozniszczenia.

Już wiem, gdzie znajdę odpowiedź na to pytanie. W powieści, którą napisała Jolanta Kordes. Jeżeli ją rzeczywiście napisała, jeżeli to nie był bluff.

Szukam usilnie powieści Jolanty Kordes. Przetrzęsnałem jeszcze raz jej mieszkanie. Ani śladu. Nawet żadnych notatek nie ma, ani brulionu, ani kopii.

Obdzwaniamy wszystkie warszawskie wydawnictwa, ich działy umów i działy literatury pięknej. Czy któreś z nich podpisało umowę z Jolantą Kordes na powieść? Nie, żadne nie podpisywało takiej umowy. Komu by przyszło do głowy podpisywać umowę z Jolantą Kordes? Co innego, gdyby przyniosła coś gotowego... Wtedy można zaryzykować chociażby przeczytanie maszynopisu i, powiedzmy, jedną recenzję.

Nie mogę trafić na ślad legendarnej przyjaciółki Jolanty, pracującej w jakimś wydawnictwie. Nie będę przecież wypytywał Boddziaczka, czy nie mieli z Jolantą takiej wspólnej znajomej. Jeszcze gotów włamać się w nocy do biurka tej pani i zniszczyć maszynopis Jolanty, gdyby tam przypadkiem leżał...

Uroczy Musio nie pamięta przyjaciółek swojej byłej żony. Pewnie była nieurodziwa i równie nudna jak Jolanta – owa koleżanka, pracująca w wydawnictwie. Dlatego jego pamięć nie zachowała jej obrazu.

Wreszcie natrafiam na człowieka, który mi pomoże. Dzwonię do Romualda Dudki. Nie jest zachwycony moim telefonem, wolałby zapomnieć, że taki Chmura pałęta się po świecie, ale topnieje, gdy dowiaduje się, o co mi chodzi. Ależ to głupstwo:

– Oczywiście, pamiętam. Antologię o kotach Jolanta chciała robić dla „Promienia”.

Jadę do wydawnictwa „Promień”. Długo błąkam się po labiryncie korytarzy, zanim trafiam do mrocznego pokoiku, w którym rezyduje poszukiwana przeze mnie redaktorka.

Tak, to jej proponowała Jolanta antologię „Wszystko o kotach”. Ale nic z tego nie wyszło. Jolanta często miewała świetne pomysły, których nie potrafiła później zrealizować. Czego jej brakowało?

Chyba nigdy nie była praktyczna. Przy pisaniu książek to też jest potrzebne. Trzeba umieć uporządkować sobie materiał, obudować nim solidnie szkielet pomysłu. Redaktorka, najwidoczniej życzliwie, choć nieco krytycznie ustosunkowana do Jolanty, chętnie udziela mi informacji:

– Znałam Jolantę jeszcze ze szkoły w Kielcach. Ale potem straciłyśmy się z oczu i spotkałyśmy się dopiero tu, w Warszawie. Nie tak dawno. Skarżyła mi się, że życie się jej nie udało. Próbowалаm jakoś pomóc. Opowiedziała mi o różnych sprawach i sprawkach, dziejących się w jej środowisku, a raczej środowisku jej męża. Wtedy zaproponowałam: „Wiesz co, opisz ty to wszystko. Wspaniały temat, byłaby znakomita powieść współczesna, tylko wymyśl jeszcze do tego jakąś intrygę. Zrób z tego kryminał, łatwiej przejdzie. Na kryminały jest u nas zawsze popyt”. Popatrzyła na mnie wtedy tak, jak gdybym jej oczy na świat otworzyła. Uprzedziłam ją jednak, że umowy podpisać z nią nie będziemy mogli. Plan mamy na ten rok zapięty na ostatni guzik, z drukarniami kłopoty i jedyne wyjście to przynieść gotową, wystrzałową pozycję, którą wepchnie się do produkcji na zasadzie szlagieru. Telefonowała do mnie kilkakrotnie i mówiła, że pisze. W ostatniej rozmowie oświadczyła mi, że skończyła już i dała maszynistce do przepisania, bo jej maszyna jest malutka i delikatna, kilku wyraźnych kopii nie wystuka. Miała mi przynieść ten maszynopis rano szóstego września. Byłyśmy umówione na dwunastą. Nie przyszła, nie przyniosła. Potem dowiedziałam się o tym, co się z nią stało. To straszne...

Więc znów nie ma tego maszynopisu. Komu, jakiej maszynistce dała Jolanta Kordes do przepisania swoją powieść? Dlaczego ta

pani nie poczuwa się do obowiązku oddania tekstu chociażby do wydawnictwa, aby ono poszukało osoby, mającej prawo do spadku po nieżyjącej autorce?

Znów mija kilka dni. Szef naciska: „co z Dzieźmołą?”, a ja siedzę i czekam jak rybak nad wodą na taką pogodę, żeby ryba brała. Bo na co innego mogę czekać?

Dziś z samego rana zadzwoniła do mnie redaktorka z „Promienia”. Prosi, żebym przyszedł do niej.

Znów miotam się po zakamarkach i znów ten sam mroczny po-koik, kłócący się jawnie z nazwą, nadaną wydawnictwu. Na biurku leży bardzo gruba koperta, a raczej nie tyle koperta, co paczka, przewiązana sznurkiem. Na paczce wyraźnymi, dużymi literami starannie wykaligrafowano:

„Dla pani Jolanty Kordes”.

Krasnoludki przyniosły czy co? Dowiedziały się, że Chmura ma zmartwienie. A ja zawsze byłem dobry dla krasnali.

Pani redaktor wyjaśnia mi:

– Niech pan sobie wyobrazi, co za historia. Jolanta dała do przepisania powieść pewnej maszynistce, już nie pracującej w naszej redakcji, bo przeszła na rentę. Ta pani właśnie wyjeżdżała z mężem na trzy tygodnie do Bułgarii i umówiła się z Jolantą, że wszystko, co przepisała dla niej, zostawi u dozorczyni, w paczce, zaadresowanej na imię Jolanty. Jolanta już się nie zgłosiła, a paczka leżała spokojnie w dozorcówce. Kiedy nasza pani maszynistka wróciła z wczasów, dozorczyni oddała jej z powrotem paczkę, mówiąc, że ta pani

„nie odebrała”. Maszynistka wiedziała, że Jolanta pisze tę powieść dla nas i dziś rano przyniosła mi to... Nie otwierałam, czekałam na pana.

Odwijam papier, jeden, drugi. W środku oryginał: pomazany, pokreślony wzdłuż i w szerz maszynopis – i cztery egzemplarze starannie, czyściutko przepisane. Na tytułowej stronie nazwisko autorki: Jolanta Kordes, a niżej nieco, na środku tytuł powieści: „Kto wypije ten kieliszek?”

Porozumiewamy się z ciemnooką panią bez słowa. Kiwa mi głową na znak zgody.. Ona bierze jeden egzemplarz do czytania, ja drugi. Zapada między nami milczenie, pełne napięcia.

Przerzucam kartki. Oczywiście wieczorem, w domu, zasiądem sobie (ku oburzeniu Marianny) na całą noc przy dobrej, mocnej herbacie, którą wolę od morderczej kawy – i przestudiuję całość słowo po słowie. Ale już teraz wiem. Poznaję wszystkich. Zadufanego w sobie Barsa, który tu nazywa się Lepieszko (nie wiem, czemu? Żeby było śmiesznie?), zimną egocentryczkę Bożenę, która nosi tu imię Marzena, niewiernego Nieczułą przemienionego w Paczułą, Michała Prota i Mariolę, których nazwisko autorka zmieniła na Strachota... Oczywiście: elastyczny jak plastelina dziennikarz-recenzent filmowy Rudzik to Dudko, ponury Jonatan to Firko, ekscentryczna plastyczka Zuza to Liliana Runicz, a demoniczny intrygant, zimny łotr o manierach angielskiego lorda z nierozłączną fajką w zębach, Zwoleń – to Paweł Bodziaczek. Jest i sama Jolanta, która zmieniła sobie imię na Joannę. I nawet kot Yogi, na którego woła się Kalif, dla odmiany nie syjam, tylko puszysty, czarny pers.

Są wszyscy, i, o ile mogę zorientować się z pobieżnej lektury,



dzieją się między nimi te same sprawy, które objawiły mi się podczas dochodzenia.

Głos redaktorki wyrывa mnie z zadumy:

– Niech pan kapitan zwróci uwagę na ostatnią stronę.

Co to znaczy redaktorska wprawa! Pani o ciemnych oczach dotarła już do końca powieści. A może znała ją wcześniej? Może tylko zakończenie stanowiło dla niej do dziś tajemnicę?

Biorę tę ostatnią kartkę maszynopisu do ręki i czytam:

„Nie, nie żałuję, że zaprosiłam ich wszystkich do mnie na imieninowy wieczór. Mógłby ktoś pomyśleć: wariatka, zamiast życzliwych przyjaciół sprasza sobie samych wrogów. Nie ma tu ani jednego wśród nich, kto nie zrobiłby mi takiej krzywdy, jakiej nie zapomina się do końca życia. Pogardzam nimi: to mali, źli, podli ludzie i każdy z nich utopiłby pozostałych w łyżce wody. Mogłabym pluć im pod nogi i pójść sobie, gdzie mnie oczy poniosą. Na przykład zostać bibliotekarką w jakimś wiejskim klubie albo kucharką w domu wczasowym «Słoneczko». Ale moja nienawiść do nich szybko sprowadziłaby mnie z powrotem. Muszę być wśród nich, bo dopiero prawdziwą radość sprawia mi obserwowanie, jak brną od jednego świństwa do drugiego. Nienawidzę ich za to, co ze mną zrobili. A jeszcze bardziej za to, czym nie zostałam, czego nie zrobiłam, czego nie napisałam, za to, czym nie jestem – przez nich. Przez to, że mnie «przyciosali», nakleili mi etykietkę miernoty, stłumili żywe myśli i odczucia, skazali na wegetację. Nienawidzę ich za moje niespełnione życie.

Nienawiść moja jest tego rzędu, iż nie wystarczyłoby mi rzuć

im w twarz obelg, na jakie zasłużyli. Najchętniej zabiłabym ich wszystkich – ale tego nie zrobię, bo tyle nie są warci, żebym za ich śmierć miała iść za kraty. Zabiję kogoś z nich. Trudno będzie milicji dojść, kto popełnił zbrodnię: przecież między nimi aż kotłuje się od konfliktów. Tu każdy mógłby zabić każdego z najzimniejszą krwią i miałby za co. Nikt nie posądzi mnie, gospodyni przyjęcia, każdy powie. «To nonsens, taka naiwna przecież nie jest»... Nie będę wybierać mojej ofiary. Ponieważ zabiłabym chętnie każdego z nich, wszystko mi jedno, kto tu dziś straci swoje podłe, nędzne życie. Moja perwersja dochodzi do tego, że chcę, aby oni sami wybrali. Żeby sami zdecydowali, kto z nich umrze za chwilę. Każdy, kto umrze – to jakaś moja załatwiona sprawa.

Idę do kuchni, ustawiam na tacy kieliszki, jest ich dziesięć, tyle co nas. Nalewam do nich dobry, francuski koniak. Ma mocny zapach i gorzkawy smak. Nikt nie poczuje w nim tej odrobiny cyjanku potasu, który wrzucam do jednego z tych kieliszków. Nie poczuje, zanim nie łyknie zawartości kieliszka. Kieliszek z cyjankiem ustawiam na samym środku tacy.

Wnoszę tacę z kieliszkami do jadalni. Są trochę zdziwieni. Cóż to za zwyczaj przynosić już nalane kieliszki, ale ja robię momentalnie moją minę zażenowanej idiotki, która nigdy nie wie, co i jak należy robić. Wzruszają ramionami. Po dziesięć kieliszków wyciąga się dziesięć rąk.

Kto wypije ten kieliszek? Chce mi się śmiać: ja już sama w tej chwili nie odróżniam, w którym kieliszku jest trucizna...”

Pod tym zdaniem widnieje wydrukowane rozstrzeloną czcionką słowo: „Koniec”.

Odkładam kartkę. Redaktorka i ja patrzymy na siebie w milczeniu.

Dziś złożyłem raport szefowi. Ująłem rzecz krótko. Moja konkluzja po przeprowadzonym dochodzeniu brzmi:

Jolanta Kordes zabiła Jolantę Kordes  
przy pomocy syjamskiego kota”.

## 17.

To już ostatnia kartka w teczce z aktami sprawy, zatytułowanej przez Chmurę kryptonimem „Ćmy”.

Odkładam ją, porządkuję porozrzucane trochę przeze mnie zszywki, pliki kartek, pojedyncze karteluszki, wyrównuję brzegi, wkładam wszystko z powrotem do teczki, zaginam skrzydełka obwoluty i zawiązuję starannie tasiemkę na kokardkę. Oddam to Chmurze tak, jak wzięłam: w największym porządku.

Nie zauważyłam, zaczytana, że drzwi otworzyły się i swoim cichym, zwinnym krokiem wszedł do pokoju Sebastian Chmura. Na jego twarzy widać zmęczenie. Odprawa trwała długo i widocznie wymagała dużego skupienia.

Siada przy biurku i patrzy na mnie wyczekująco.

– Czy to jest to, o co pani chodziło, pani Barbaro? – pyta, częstując mnie papierosem.

– Chyba tak – mówię z wahaniem. – Ale mam takie wrażenie, że przeczytałam niedobrą, okrutną bajkę. Z niesprawiedliwym zakończeniem. A bajki przecież zawsze kończą się zwycięstwem

dobra, sprawiedliwości. Powieści kryminalne, nasze współczesne bajki dla dorosłych o walce szlachetnego rycerza ze złym duchem, też zazwyczaj kończą się wykryciem i ukaraniem winnego, przestępcy, mordercy. To taki obowiązujący nas, autorów kryminałów „happy end”, czyli „szczęśliwe zakończenie”. Ludzie tego od „kryminałów” oczekują, bo sami w życiu, niestety, doznają często krzywd, za które nie ma zadośćuczynienia. Szukają zaspokojenia swojego instynktownego poczucia sprawiedliwości. A gdzie tu sprawiedliwość w historii Jolanty Kordes?

Chmura oponuje:

– Ależ pani Barbaro, ja pani dałem do czytania akta sprawy, a nie gotową powieść. To jest właśnie życie. I śmierć w tym życiu. A już pani niech sobie z tego zrobi literaturę. Jeżeli pani chce...

Mój fachowy doradca w zakresie kryminalnej tematyki jest najwyraźniej w złym humorze. Możliwe, że miał jakieś przykrości na odprawie. Podobno od miesięcy siedzi nad zawiłą sprawą, której nie udało mu się jeszcze rozwikłać, ale nie pytam go o to, bo wiem, że nie lubi mówić o swoich bieżących zadaniach, zresztą po prostu nie wolno mu. Tajemnica służbowa.

Przez chwilę zastanawiam się, czy sprawa, której groteskową treścią kazał mi się Chmura zabawić przez kilka godzin swej nieobecności, nie jest czasem z jego strony pewnego rodzaju mistyfikacją. Może to materiał szkoleniowy dla młodych kadr jego wydziału, takie sobie wydumane ćwiczenie, dość skomplikowany sprawdzian znajomości logiki i psychologii? A może to jego własna próba pisarska, bo ostatnio już kilku jego kolegów próbowało swych sił na tym polu? Ich dobre prawo, materiał mają obfity, aż pióro śwędzi, no, a

pod względem znajomości realiów śledztwa z pewnością biją nas, literatów, na głowę. Dochodzę jednak do wniosku, że Chmura nie zrobiłby mi takiego kawału.

– Chciałam jeszcze zapytać pana o kilka szczegółów tej sprawy – bąkam potulnie.

– Słucham.

– Jak to się stało, że Yogi nie zginął od razu, gdy tylko Jolanta powlekła powierzchnię jego pazurów cyjankiem?

– Pazur składa się z komórek zrogowaciałych, nie są higroskopijne, czyli przesiąkliwe. Przez ich powierzchnię trucizna nie mogła wnikać do organizmu kota. Kot nie wciąga do samego końca pazurów do środka poduszczek. Pani, wielbicielka zwierząt, wie przecież, jaką potęgą jest zwierzęcy instynkt. Yogi rozumiał, czy przeczuwał, jak pani woli to nazwać, że dzieje się z nim coś złego, coś, co zagraża jego życiu. Potrzeba dużego sprytu i podstępności ze strony człowieka, aby pies lub kot połknął truciznę. Yogi czuł to „coś” na pazurach, ale bał się to „coś” zlizać. Wstrzymał się od tego normalnego odruchu, jakim byłoby z jego strony zlizanie niemiłej substancji z pazurów. Zrobił to dopiero, kiedy miał na nich krew.

– A jak pan sądzi, czy to przypadek, że Yogi rzucił się właśnie na Jolantę? Może polował na nią?

– Myślę, że to drugie. Polował, jak pani mówi, albo raczej czyhał. Czaił się na tarasie i wypatrywał odpowiedniej chwili, żeby się na nią rzucić.

– Mimo że ją lubił?

– Właśnie dlatego. Tym gorzej dla Jolanty. Zwierzęta miewają różne charaktery i usposobienia. Yogi był dumny i mściwy. I mądry,

bo syjamy należą do najmądrzejszych kotów. Znam taki wypadek na przykład: Było to na wsi. Jeden człowiek chciał uśmiercić kota. Wyniósł go na pole, żeby nie było drzew, na które kot mógłby uciec i poszczuł na kota psa. Uciekając przed psem, kot skoczył na tego człowieka. Potraktował go jak drzewo. Ale nie tylko. Zemścił się, bo wydrapał swojemu niedoszłemu zabójcy oczy. Człowiek zmarł w strasznych męczarniach. Ten wypadek, który przypomniał mi się w trakcie dochodzenia, bardzo mi pomógł w rozumowaniu. Jako analogia. Nie wątpię, że Yogi chciał się na Jolancie zemścić, chciał jej odpłacić za dokonaną na nim przemocą operację. Przecież bliżej niego stali Bars i Firko. Nie zbliżył się do Barsa ze skargą na to, co się z nim stało. Nie skoczył na Firkę, którego miał zwyczaj prześladować. Skoczył właśnie na Jolantę, gdy tylko stanęła w oknie. Myślę, że gdyby nie nadarzyła mu się ta dogodna okazja, poszukałby innej. Zaatakowałby Jolantę w jakimkolwiek innym momencie. Za to, że tak zawiodła jego zaufanie.

– Żał mi Jolanty. Nie tylko ludzie ją krzywdzili, ale nawet zwierzę wyrządziło jej zło. Nie dziwię się, że taka zaszczuta i poniewierana chciała wziąć odwet na swym otoczeniu.

– Tak już jest, pani Barbaro – zauważył filozoficznie Sebastian – życie jest okrutne i bezwzględne wobec safandulów. Moim zdaniem Jolanta sama sobie dużo napsuła. Po co tak uparcie tkwiła w tej zgniliznie? Zabrakło jej siły woli, żeby wydobyć się z tego bagna i poszukać sobie innego miejsca w życiu. Trzymała ją przy tych ludziach nie tyle nienawiść, ile zawiść, zazdrość i przekora. Źle skalkulowała swoje możliwości. Ot, życiowy błąd taktyczny. Gdyby się oderwała od tych ludzi, na pewno znalazłaby jeszcze w życiu jakąś

satysfakcję. A już w żadnym wypadku nie wolno nikomu na własną rękę wymierzać sprawiedliwości.

Nie bardzo zgadzałam się z Chmurą w ocenie postępowania Jolanty. Ludzie słabi budzą we mnie współczucie – tak, jak w innych wyzwalają pewien rodzaj sadyzmu – nie wdałam się jednak w spór z moim przyjacielem, niech każdy z nas pozostanie przy swoim punkcie widzenia. Chmura powiedział jednak o sprawiedliwości. O to go zagadnęłam:

– Właśnie. Sprawiedliwość. Ta sprawa miała dużo wątków i nie wszystkie pańska teczka doprowadza do końca.

– Na przykład?

– No, na przykład odpowiedzialność za śmierć Kamy, dziewczyny z hotelu, dziewczyny Romualda Dudki. Na podstawie materiałów, zebranych przez Jolantę, można by było wznowić śledztwo.

Chmura skrzywił się niechętnie:

– Ale przeciwko komu, pani Barbaro? Firko został uznany przez lekarzy za nieodpowiedzialnego jako nałogowy alkoholik. Już po tych wypadkach w Dzieźmoli. To był zresztą jeden z chwytów jego i Barsa, aby wykręcić się od odpowiedzialności za finansową ruinę „Wiru”. Bars zrobił z niego wariata... Teraz od dłuższego czasu przebywa na leczeniu w zamkniętym zakładzie, żeby nie mówiono, że to była lipa. A zresztą on naprawdę pił nałogowo.

– A ci dwaj młodzi aktorzy?

– Jeden z nich, ten zdolny, zginął tragicznie. Drugi rozstał się ze swoim zawodem i wyjechał za granicę. Miał tam ponoć zrobić

karierę, ale słyszałem, że myje samochody w stacji benzynowej.

– Więc nie ma winnych. Rozumiem. A Bożena... Czy oddała biżuterię Jolanty?

– Zdaje się, że Prot zmusił ją do tego, by przekazała te błyskotki jemu jako opiekunowi Andrzeja, spadkobiercy Jolanty. Co jeszcze chce pani wiedzieć?

– Bodziaczek. Paweł Bodziaczek...

– Podobno wdowa po Stefanie Wojmirze złożyła na niego skargę w Związku Literatów. Ale nie wiem, jak dalej potoczyła się ta sprawa. Myślę, że Bodziaczek ofiaruje jej pewną sumę za milczenie i odstąpienie od roszczeń. I nie dziwiłbym się, gdyby się na to zgodziła, bo zdaje się, że nie przywiązywała szczególnej wagi do twórczości swego męża.

Westchnęłam. Iloma pułapkami i wyrwami najeżona jest droga, po której chadza sprawiedliwość...

## 18.

Pożegnałam się z Chmurą i pojechałam na drugi koniec miasta, do kawiarni Związku Literatów. Czułam nieodpartą potrzebę przyjrzenia się kilku uczestnikom dzieźmolskiego dramatu, a nie wątpiłam, że tam ich o tej porze zastanę. Stołówka literacka przyciąga nie tylko pisarzy, ale i wiele innych osób z pokrewnych branż artystycznych.

Usiadłam sobie w kąciku, tak jak lubię. Pani Stasia postawiła przede mną dużą kawę. Zapaliłam papierosa i rozejrzałam się po obu salkach, połączonych w amfiladę szerokim środkowym przejściem.



Oto w pierwszej, licząc od wejścia, centralne miejsce zajmuje duży, okrągły stół z wygodnymi fotelami. To bastion aktorów i reżyserów z przewagą tych, którzy związani są z filmem. Dostrzegam wśród nich charakterystyczną, nieco przygarbioną sylwetkę mojego ulubionego aktora, którego podziwiam za jego zarazem gorzką i pobłażliwą, drapieżną i jednocześnie subtelną zadumę nad nieprawościami tego świata. Obok – ciemna, kędzierzawa głowa reżysera najpopularniejszego serialu telewizyjnego. Długonogie, ekscentrycznie ubrane dziewczyny. Głównym obiektem ich zainteresowania jest oczywiście Trokiewicz. To on, z lekka nonszalancki i długowłosy, panuje miłościwie w tym gronie. Ku niemu obracają się twarze, gdy wchodzi. Jego zamierzenia twórcze stanowią nie ustający przedmiot poufnych i publicznych komentarzy i dociekań. Co kręci? Kogo obsadzi? Przeżywa chyba szczytowe lata swojej kariery i przyjmuje ten fakt do wiadomości jako daninę całkowicie mu należną.

Wiem, kogo nie zobaczę przy tym stoliku. Nie zobaczę już pewnie nigdy Sławomira Barsa ani Bożeny Bars-Norskiej. Obracają się od dłuższego czasu poza granicami kraju. Nie usłyszałam jednak dotychczas jeszcze nic o sukcesach twórczych Barsa i nikt nie umie powiedzieć tak naprawdę, jak mu się powodzi. Widocznie zawiódł kolega po fachu, Pipstock. O Bożenie natomiast mówi się. Dość uszczypliwie. Ktoś pokazuje jakieś zagraniczne pismo. Bogato i barwnie ilustrowany magazyn krąży z rąk do rąk. Można w nim obejrzeć naszą dawną gwiazdę, reklamującą znakomite budynie i proszki do pieczenia ciast. Bożena figuruje na reklamowym zdjęciu jako solidna pani domu, mama, otoczona gronem roześmianych pociech, wyciągających rączki po smakołyk, przyrządzony przez

wytrawną gospodynię. Do twarzy ma przyklepiony rozczulający, cukierkowy uśmiech...

Do stolika przysiadła się Nieczuŕło. Po koleżeŕsku wita się z Trokiewiczem, który nieznacznie krzywi się na tę poufałość. Nieczuŕło ma teraz swój własny zespół, powstały na gruzach „Wiru”. Poklepuje którąś z aktoreczek, widocznie obiecuje jej rolę, namawia głoŕno na wódkę młodego, zdolnego aktora, pamięta dobrze, że jeszcze Bars, łowca talentów, chciał zastąpić nim Prota jako amanta. Aktor chyba nie ma ochoty na tę wódkę, uŕmiecha się z zażenowaniem, odwracając swoją chłopięco zawadiacką twarz o wypukłych, jak gdyby jeszcze prawie dziecięcych wargach. Jeżeli pójdzie z Guciem, oczywiście będzie musiał mu stawiać.

Liliany Runicz też tu nie zobaczę. Podobno odsunęła się od wszystkich i przeżywa jakiś kryzys psychiczny, Mogę tylko podziwiać na ścianach naszej kawiarenki wystawione przez nią prace. Taki tu zwyczaj: co jakiś czas ktoś prezentuje swój dorobek. Tym razem Liliana wystawia projekty scenografii do „Balladyny” Słowackiego. Są to dekoracje piękne, ale posępne, wieje od nich grozą i tajemnicą. Co ciekawe, naszkicowane postacie zarówno Balladyny, jak i Aliny mają niemal identyczną twarz. Ofiara i jej morderczyni, która przy końcu sztuki sama na siebie wydaje wyrok i ginie, są w ujęciu Liliany Runicz jak gdyby tą samą osobą. Obie mają twarze trochę podłużne, obramowane długimi, gładko opadającymi na ramiona włosami, oczy zaś piwne, osadzone głęboko i nieco za blisko nasady wąskiego nosa. Już gdzieś widziałam te rysy. Nigdy nie oglądałam żywej Jolanty, ale pamięć podrzuca mi teraz jej obraz, zapamiętany z fotografii w teczce Chmury. Fotografii, którą Jolanta

ofiarowała swojemu mężowi, Michałowi, w piętnastą rocznicę ich ślubu.

A oto Michał Prot. Wchodzi do szatni i robi się od razu wielkie zamieszanie. Nie jest bowiem sam. Wraz z nim przyszła na obiad do stołówki cała rodzina. Mariola, Andrzej i Agnieszka. Zajęcia Marioli nie pozostawiają jej zbyt wiele czasu na zajmowanie się gospodarstwem domowym, a to robota nie byle jaka: gotować na cztery osoby. Andrzej ciągnie za rękę Agnieszkę, która kokieterystycznie mizdrzy się do lustra. Chłopiec mówi coś do siostry, gniewnie marszcząc szerokie, ciemne brwi. Robi się w tej chwili zadziwiająco podobny do ojca. Agnieszka podnosi na niego pokorne spojrzenie wielkich niebieskich oczu i posłusznie drepcze za bratem po schodach na dół do dwóch salek w suterenie, gdzie jada się obiady. Andrzej Prot najwyraźniej spełnia dane Chmurze przyrzeczenie... Już z dołu dociera do mnie głośny, beztroski śmiech Michała Prota.

Czyżby to byli już wszyscy znajomi z Dzieźmoli, których zobaczę w tym miejscu, do którego wypada uczęszczać – przynajmniej od czasu do czasu?

Rozglądam się uważnie po obu salach. Są tu przeważnie stali bywalcy. W jednym kącie grupka literatek, piszących dla dzieci i młodzieży, omawia jakieś swoje sprawy. Ktoś nazwał kiedyś te panie: zawiesiste kobiety. Tak powinny wyglądać pisarki, wychowujące młode pokolenie: noszą się godnie, powściągliwie, ubrane z solidną elegancją, starannie uczesane, zadbane. Nie tak, jak ta tłumaczka, która siedzi obok nich i wygląda, jak gdyby nigdy nie chodziła do fryzjera. Roztargniona, krótkowzroczna, z wiecznie przekreconą spódnicą, z zawsze opadającymi fałdkami pończoch na

chudych nogach... W drugim kącie trwa tradycyjna batalia szachowa. Rej wodzi tu stary, zasłużony malarz i szczupły brunet, poeta-cyganolog. Nad nimi pochyla wysoką, barczystą postać jeden z matadorów związkowych, słynny z wybuchowego temperamentu. Ktoś źle przesunął figurę na szachownicy. Grozi mu szach i mat za tę omyłkę. Matador purpurowieje, chociaż jest tylko kibicem. Jeszcze moment i gotów wyrwać figurę z palców gracza. Potem z rezygnacją macha ręką i odplywa ku innym celom.

Jest na sali ktoś jeszcze, kto źle rozegrał swoją partię. W trzecim rogu, naprzeciwko mnie, siedzi samotny człowiek. Ze znudzoną miną ćmi fajkę i leniwie sączy małą kawę. Nie znaczy to jednak, aby Paweł Bodziaczek obojętnie przyglądał się temu, co dzieje się dookoła niego. Jego spojrzenie raz po raz zahacza o środkowe stoliki, które obsiadła ruchliwa, gadatliwa młodzież. Ci młodzi są butni, bezceremonialni, bezwzględni, chciwi uroków życia i sławy jak żarłoczna, młoda szarańcza; nie uznają kompromisów i autorytetów. Są wśród nich prawdziwe talenty i zdarzają się efemerydy, pokrywające wydziwaczoną pisaniną duchową i umysłową pustkę. Tacy, co nie wytrwają i tacy, co się sprawdzą. Tacy, którzy po kilku wierszach piszą już na podaniach: „zawód – pisarz”, i inni, nie gardzący żadną pracą, byleby tylko móc prócz tego tworzyć. Nihilisci i lirycy. Zapaleńcy i zimni cwaniacy. Różni. Różni. Ale wszyscy młodzi, tacy przerażająco młodzi i tacy liczni. Ten widok musi bardzo gnębić Pawła Bodziaczka, który też był kiedyś młody i pełen nadziei, a dziś jest niemalże nikim, bo pisarzem, o którym się nie mówi. Minęły dni jego potęgi i pobity został tą samą bronią, którą dawniej dobił pokonanych: milczeniem. Chciałby zapewne, aby te gromady

młodych zerkają ciekawie w stronę jego stolika, aby zabiegały o jego krytyczne lub pochwalne słowo. Chciałby, aby od czasu do czasu ktoś z nich, odłączając się od swoich rówieśników, podchodził nieśmiało do jego stolika i przysiadł się choć na chwilę, by usłyszeć, co mądry Paweł Bodziaczek sądzi o najnowszym dyskusyjnym artykule w „Kulturze”. A im na Bodziaczku nie zależy. Nie są ciekawi, co myśli o czymkolwiek. Oni w ogóle nie wiedzą, kto to jest...

Paweł Bodziaczek cofa wzrok od stolika młodzieży, nadaje spojrzeniu inny, bezpieczniejszy kierunek. Wędruje oczyma po sali i w wędrowce tej przystaje to przy; stoliku grupy „Kultury”, to znów „Literatury”, o „Twórczość” zahaczy, o ludzi z „Poezji” czy „Miesięcznika Literackiego”. Nigdzie jednak nie znajduje dla siebie przyjaznej i bezpiecznej przystani. Kręcą się wszyscy w tych swoich własnych, zamkniętych kółkach jak najeżone liszki émy korowódki, o której tak barwnie opowiadał Chmurze stary znawca świata zwierząt.

O mały włos byłby Paweł Bodziaczek mimo wszystko zdobył sobie na to popołudnie kompana, aby wspólnie ponarzekać na „trudną sytuację w literaturze i beznadziejną – w filmie”. Do kawiarni wbiegł szybkim krokiem Romuald Dudko. Rozgląda się: szuka miejsca lub kogoś, z kim się umówił. Paweł już unosi się lekko z krzesła, już robi gest, zapraszający dziennikarza, by z nim usiadł. Ale Dudko uśmiecha się półgębkiem i z daleka odpowiada mu ruchem ręki na wpół przeproszającym, na wpół odmownym, a jednoznacznym z obelgą. Cóż bowiem za interes mógłby mieć Dudko, by publicznie afiszować się z taką przegraną osobą, jak Paweł Bodziaczek? Dudko

ciągle jeszcze utrzymuje się na powierzchni na tej zasadzie, że co lekkie, to nie tonie. Szeroko rozłożywszy ramiona żegluj najpierw na chwilę ku filmowcom, potem kłania się w pas paniom-pisarkom, aby wreszcie niby od niechcienia przyszlusować do młodzieży. Dudko dobrze wie, z której strony i w którą wiatr wieje, kto trzyma klucz od przyszłości w rękę i z kim w tej sytuacji najlepiej jest się bratać. Na dziś – to prawdziwy przyjaciel młodzieży, i doradca, i kompan.

Twarz Bodziaczka szarzeje. Nie cofając wyciągniętej dłoni zmienia charakter swego gestu. On wcale nie zapraszał Dudki do stolika. Ot, po prostu przywołuje kelnerkę, panią Stasię, bo chce zapłacić za swoją małą czarną kawę i udać się do domu.

Kroczy ku wyjściu sztywno, nie patrząc na nikogo, z wyrazem goryczy i zadumy na przystojnej twarzy.

Kogo tam jeszcze pozostawiłam w Dzieźmoli? Aha, Katarzynę. Przypominam sobie o niej, kiedy patrzę na Trokiewicza.. Jego słońce świeci jasno, podczas gdy słońce Sławomira Barsa zaszło za horyzont. Trokiewicz nie kupił wprawdzie Dzieźmoli, bo mu jej styl nie odpowiadał, ale odziedziczył po Barsie Katarzynę. Podobno jest bardzo zadowolona ze zmiany posady. Przywykła do tego środowiska i nie lęka się żadnych fumów, grymasów i humorów geniuszy. Zwłaszcza że Trokiewicz prowadzi kawalerski tryb życia, gdyż rozszedł się z żoną. Katarzyna postawiła tylko jeden warunek: żadnych kotów. Żeby zabezpieczyć się przed taką ewentualnością, przyprowadziła skądś psa, ni to wyżła, ni to wilka. I jest podobno zupełnie szczęśliwa.

Posiadłość w Dzieźmoli kupił natomiast pewien przedstawiciel prywatnej inicjatywy, wyrabiający z plastyku maskotki: szkieleciki

poruszające piszczelami za pociągnięciem sznurka i główki diabełków wysuwające czerwone języczki, kiedy ściśnie się je palcami. Wyrzucił wszystkie murzyńskie, indiańskie i meksykańskie eksponaty Barsa, a kolekcją motyli obdarował szkołę imienia zasłużonego polityka. Jego dom to staropolski dwór, na ścianach jak nie kilim z karabelą i ryngrafem, to pas słucki albo kolekcja cynowych mis i dzbanów. Tyż piknie – jak powiadają górale.

Tak ku końcowi ma się moje zwiedzanie literackiej kawiarni z pozycji małego okopu w jej najcichszym kącie. I myślę sobie: oto kilku osobom, które tu dziś widziałam, przydarzyła się kiedyś historia, w którą wtajemniczył mnie Chmura. Czy to była jakaś wyjątkowa sprawa? Czy tylko tam, wśród filmowców mogła się wydarzyć? Czyż nie znam innych podobnych wysp nieszczęśliwych, gdzie duszno jest i podle, gdzie jeden drugiemu podstawia nogę i gdzie snują się Jolanty, świadome beznadziejności swego losu – nie zawsze z własnej winy... Podobna historia mogła przydarzyć się tak samo dobrze w jakiejś teatralnej koterii, w literackiej klice, wśród muzyków czy naukowców. Korowódki są wszędzie i biada stworzeniu, które one zamkną w swoim morderczym kręgu.

Ale przecież trzeba w coś wierzyć, jak powiada Chmura, skreślając Andrzeja Prota z listy osób podejrzanych o zbrodnię w Dzieżmoli. W co by tu uwierzyć?

Kawiarnia pustoszeje. Ci, którzy tylko pili kawę i przyszli załatwić różne swoje interesy, opuszczają lokal, tłoczą się w szatni, obiegają jedyny telefoniczny automat. Ale jeszcze z dołu, ze stołówki przychodzą na górę, na kawę lub herbatę ci, którzy właśnie skończyli obiad.

Na progu pustawej już salki kawiarni staje rodzina Protów. Mariola, potrząsając ogromną grzywą rozpuszczonych włosów biegnie, żeby zająć wygodny duży stolik, który zwolnili właśnie aktorzy. Michał rozsiada się w fotelu jak basza. Agnieszka kaprysi, chce lodów, których tu nie podają. Nie chce babki, prosi o makowy tort. Patrzą na tę grupkę i nagle oczy moje zderzają się ze spojrzeniem bardzo niebieskim, ale bardzo dojrzałym. Andrzej Prot spokojnie i krytycznie lustruje lokal. W tym chłopcu wyczuwa się jakąś wewnętrzną równowagę. W tak młodym wieku? Może to niektórych dziwić, mnie nie dziwi. Oczy Andrzeja mają taki wyraz, jak gdyby mnie o coś pytały. Nie wiem, czy potrafię mu na to pytanie odpowiedzieć, ale chciałabym bardzo, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

Jeżeli miałabym ochotę komukolwiek tu uwierzyć, to właśnie jemu.

Brwinów, 1969 r.